

Pyrć:
Nauka to przywilej

Tylmann:
Ocena ekspercka – ostrożny pesymizm

Ziębicki:
Nazwa buduje naszą przewagę

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 11/2025

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

Publiczne, praktyczne, regionalne

Kajtoch:
Utopia wspólnoty

Majewska:
Ewaluacja – kreowanie przyszłości

Knapska:
Zarażanie emocjami



100 lat Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie

Czytaj na str. 10, 40



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Regionalne centra doskonałości i kompetencji – Jerzy Nitychoruk	8
Ekonomiczny stulatek	10
Wykład po treningu, czyli studenci uprawiający sport – Marcin Muzyka	12
Dlaczego polskie firmy mają problem z przekształcaniem wyników badań w realne produkty i usługi? – artykuł sponsorowany	15
Zmiany na podium Ligi Akademickiej AZS – Robert Zakrzewski	18

ROZMOWA FORUM

„Nowe gwiazdy znajdziemy na niebie” – rozmowa z prof. Krzysztofem Pyrciem, prezesem FNP	20
--	----

ŻYCIE NAUKOWE

Ewaluacja i wydawnictwa – Małgorzata Adamczak i Aurelia Grejner	24
Czy jesteśmy gotowi na ocenę ekspercką? – Wojciech Tylmann	26
Ewaluacja u artystów – rozmowa z prof. Alicją Majewską, rzeźbiarką, nauczycielką akademicką na Wydziale Sztuk Pięknych UMK, członkinią KEN w latach 2019–2022	28
Kolejne Międzynarodowe Agendy Badawcze	33

Z archiwum nieuczciwości naukowej (217)

Najdłuższa sprawa dyscyplinarna – Marek Wroński	34
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Uniwersytet w starym przytułku – rozmowa z dr. hab. Bernardem Ziębickim, prof. UEK, rektorem UEK	40
Ręce opadają – Wojciech Kajtoch	44
Akademie małych ojczyzn – Mariusz Karwowski	49
Zgłaszam się na ochotnika – Jarosław Kaba	56

Strefy krzyków i ciszy – Zbigniew Drozdowicz	58
---	----

Z LABORATORIÓW

Czy szczury się zakochują? – rozmowa z prof. Ewelina Knapką z Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN, laureatką Nagrody FNP 2025 w obszarze nauk o życiu i o Ziemi	61
Przeczytać Mickiewicza raz jeszcze... – Ewa Hoffmann-Piotrowska	65

W STRONĘ HISTORII

Stanisław Ferdynand Serkowski (1871–1936) – Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało	68
---	----

Portrety nauki polskiej

Żeby akademik nie był „peleryniarzem” – Marcelina Smużewska	73
--	----

OKOLICE NAUKI

Książki	
Książki nadesłane	72, 76
Fakty i emocje – Jacek Hnidiuk	77
Sieć znaczeń – Weronika Zuzanna Jabłońska	77
Prawdziwe dzieci nieszczęścia – Małgorzata Pawełczyk	78
Wszyscy nadal są odwrócenii – Marek Misiak	78
Status społeczny w dystopii – Bogdan Bernat	79
Głos zza kulis – Anna Jawor	79

FELIETON

Rozmowy o języku

Przeciążone słowa – Krzysztof Goczyła	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal
(Na zdjęciu laboratorium w Państwowej Akademii Nauk
Stosowanych im. ks. Bronisława Markiewicza w Jarosławiu)

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr. hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapt” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Rok XXXII Nr 11 (384) Listopad 2025

Nie żyje były rektor UJK

WARSZAWA W czwartek 11 grudnia zmarł prof. Jacek Semaniak, prezes Głównego Urzędu Miar. Od 1988 r. związany był z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach. Pełnił funkcję prorektora ds. dydaktycz-



Fot. GUM

nych i studenckich (2008–2012), prorektora ds. ogólnych (2012–2020) oraz przez dwie kadencje rektora (2012–2020) tej uczelni. W latach 2020–2022 był członkiem Komitetu Polityki Naukowej przy ministrze nauki i szkolnictwa wyższego. W listopadzie 2020 r. został powołany na stanowisko prezesa GUM. Zrealizował budowę oraz uruchomił Świętokrzyski Kampus Laboratoryjny GUM w Kielcach. In-

stytucja ta otworzyła nowy rozdział w ponad 100-letniej działalności GUM. Dzięki jego staraniom powstał ministerialny program Polska Metrologia, który wspierał działalność badawczo-rozwojową instytucji naukowych na rzecz metrologii. On sam przewodniczył Polskiej Unii Metrologicznej, która integruje 40 podmiotów naukowych z całej Polski we współpracy badawczej i projektowej. Był profesorem nauk fizycznych. Jego działalność naukowa związana była z badaniem zderzeń elektronów swobodnych z jonami molekularnymi w warunkach niskotemperaturowej plazmy oraz badaniem mechanizmów jonizacji i emisji charakterystycznego promieniowania rentgenowskiego w zderzeniach jonów z atomami. Jest autorem kilkudziesięciu publikacji naukowych z zakresu fizyki atomowej i molekularnej, w tym artykułów publikowanych m.in. w „Nature”, „Physical Review Letters”, „Physical Review”, „The Astrophysical Journal”. Prof. Jacek Semaniak miał 61 lat. Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie.

Nowy przewodniczący KRePUZ

UNIEJÓW Prof. Jerzy Nitychoruk, od 2019 roku rektor Akademii Białskiej im. Jana Pawła II w Białej Podlaskiej, został jednogłośnie wybrany na przewodniczącego Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych. Zastąpił na tym stanowisku dr. Roberta Musiałkiewicza, który sprawował tę funkcję od maja 2023 r.



Fot. Akademia Białka

W skład Prezydium KRePUZ weszli ponadto: dr Elżbieta Stokowska-Zagdan z Akademii Nauk Stosowanych Stefana Batorego w Skierniewicach (zastępca przewodniczącego), dr hab. inż. Mateusz Kaczmarek z Uczelni Państwowej im. Jana Grodka w Sanoku (zastępca przewodniczącego), dr hab. Artur Żimny z Akademii Nauk Stosowanych w Koninie (skarbnik), dr Sonia Grychoł z Małopolskiej Uczelni Państwowej im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Oświęcimiu (członek), dr inż. Mariusz Kołosowski z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Nysie (członek), dr hab. Paweł Maciaszczyk z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych im. prof. Stanisława Tarnowskiego w Tarnobrzegu (członek). KRePUZ skupia obecnie rektorów 31 uczelni.

Bez zmian u politologów

POZNAŃ Prof. Magdalena Musiał-Karg z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza będzie nadal sprawować funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych. Została wybrana na drugą kadencję; kieruje organizacją od 2022 roku. Specjalizuje się w badaniach nad systemami politycznymi, demokracją bezpośrednią oraz wykorzystaniem nowych technologii w systemach demokratycznych, ze szczególnym uwzględnieniem procesów wyborczych (e-voting). Jej zainteresowania badawcze koncentrują się również na problemach związanych z rolą kobiet

w przestrzeni publicznej oraz ze współpracą transgraniczną na granicy polsko-niemieckiej. W lipcu została wiceprezydentką International Political Science Association. To międzynarodowe towarzystwo naukowe skupiające przedstawicieli nauk politycznych (obecnie około 4 tys. osób). PTNP powstało w listopadzie 1957 roku. Zrzesza obecnie około 550 członków zorganizowanych w 20 oddziałach krajowych i 12 sekcjach naukowych.



Fot. Arch. prywatne

Laury Uniwersyteckie rozdane

WARSZAWA Studenci Uniwersytetu Szczecińskiego rozbili bank podczas Gali Laurów Uniwersyteckich, zwyciężając w aż 5 z 9 kategorii. Nagrodzono takie ich inicjatywy, jak: międzynarodowy projekt naukowo-dydaktyczny „Matematyka w obiektywie”, Akademia Rozwoju Mł-



Fot. Uniwizja

dych Naukowców, przedsięwzięcie „Wślizgnij się w sesję – żywy z WNS”, International Students' Day oraz uczelnianą telewizję Uniwizja. Ponadto doceniono II Charytatywny Turniej Piłki Nożnej na rzecz Małopolskiego Hospicjum dla Dzieci (Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie), Papieżalia 2025 (Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie), projekt „Weź sprawy w swoje ręce – profilaktyka raka piersi” (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), Ogród Społeczny UJ (Uniwersytet Jagielloński). Zwycięzców wyłoniono spośród rekordowej liczby 57 zgłoszeń. Laury przyznawane są przez Forum Uniwersytetów Polskich.

Egzotyczny imbir coraz bliżej polskich pól

POZNAŃ Pierwszą krajową odmianę imbiru chcą stworzyć naukowcy z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Pierwsze kłącza mogą trafić do gospodarstw najdalej za cztery lata. Imbir to najczęściej importowana przyprawa w Unii Europejskiej, w 2023 roku sprowadzono ponad 114 tysięcy ton, głównie z Chin. Zespół pod kierunkiem prof. Piotra Szulca udowodnił, że roślina, która od wieków kojarzy się z tropikalnym klimatem Azji, potrafi rosnąć w naszym kraju. Jej uprawa jest realna również w rejonach o niższych opadach, takich jak Wielkopolska czy Dolny Śląsk. Jak się okazuje, imbir ma zaskakująco podobne wymagania glebowe do kukurydzy czy ziemniaka. Ten uprawiany w Polsce różni się jednak od swojego tropikalnego odpowiednika składem chemicznym:



Fot. UPP

zawiera około 50% mniej 6-gingerolu, związku odpowiedzialnego za jego pikantny smak. – Nasze kłaczka są delikatniejsze, subtelniejsze w smaku. Można powiedzieć, że to wersja „light”, bardziej przyjazna dla dzieci i osób, które nie przepadają za ostrymi przyprawami – opisuje prof. Szulc. Taki profil smakowy otwiera nowe możliwości dla branży spożywczej. Badacze odkryli, że cenne związki bioaktywne znajdują się nie tylko w podziemnych częściach rośliny, lecz w liściach i łodygach. Zawarte w nich substancje mogą być wykorzystane do produkcji suszów, herbat czy naturalnych przypraw. To oznacza, że każda część rośliny może znaleźć zastosowanie, zwiększając opłacalność całej uprawy.

Nagrody Miasta Krakowa

KRAKÓW Naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego znaleźli się w gronie laureatów tegorocznych Nagród Miasta Krakowa. W kategorii „nauka i technika” uhonorowano: prof. Gabriełę Matuszek-Stec – historyczkę literatury, krytyczkę, eseistkę, tłumaczkę literatury niemieckiej, założycielkę i kierowniczkę podyplomowego Studium Literacko-Artystycznego UJ (pierwszej w Polsce szkoły kreatywnego pisania, które powstało na podstawie jej autorskiego programu w 1994 roku); prof. Wojciecha Ligęzę – historyka literatury, krytyka, eseistę, felietonistę, badacza i popularyzatora humanistyki, wiceprezesa oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Krakowie. Z kolei w kategorii „kultura i sztuka” nagrodę odebrał dr hab. Michał Rusinek – literaturoznawca z UJ, członek PAU, tłumacz, pisarz, sekretarz Wisławy Szymborskiej, a po jej śmierci prezes fundacji jej imienia, którego działalność nieustannie popularyzuje kulturę słowa. Nagrody Miasta Krakowa przyznawane są wybitnym twórcom, ludziom nauki i sportu w uznaniu ich szczególnych osiągnięć i dokonań.



Fot. Bogusław Świerawski

StRuNy dla kół studenckich

WARSAWA Podwójnym sukcesem Studenckiego Koła Naukowego Fizyków „Bozon” z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie zakończył się ogólnopolski konkurs dla młodych naukowców StRuNa. Zostali zwycięzcami kategorii StRuNa-Science, zdobyli też nagrodę główną za



Fot. Jan Zych

Projekt Roku za budowę ognia przeznaczanego do pracy w niskich temperaturach. Kołem Naukowym Roku 2025 zostało KN Studentów Biotechnologii „Mygen” z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Za debiut nagrodzono Studenckie Koło Naukowe Biochemii i Biologii Molekularnej w Parazytologii „Paradise” z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Opiekunem Naukowym Roku uznano dr med. med. Joannę Agnieszka Ortyl (na fot.), wspierającą Koło Naukowe Fotochemii Stosowanej z Politechniki Krakowskiej. W kategoriach projektowych nagrodzono: Koło Naukowe Urbanmodel z Politechniki Śląskiej za stworzenie „Gry w Metropolię GZM”; Koło Naukowe 44 z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie za realizację projektu ogólnopolskiego sympozjum „Korzenie Rzeźby”; Stu-

denckie Koło Naukowe Neurobiologii z Uniwersytetu Warszawskiego za „NeuroHoryzonty 2025”; Koło Naukowe Biotechnologów „Herbion” oraz interdyscyplinarny zespół studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego za realizację projektu „HepaSwitch”; Studenckie Międzywydziałowe Koło Naukowe SAE AeroDesign z Politechniki Warszawskiej za realizację projektu samolotu bezzałogowego „Manta”; a także koła naukowe „Drones Renewables” oraz „Power Electronics And Plasma Applications” z Politechniki Warszawskiej za realizację projektu „Innowacyjny izolowany przekształtnik DC-DC o wysokiej sprawności i szybkiej odpowiedzi dynamicznej”.

Przyjadą naukowcy z zagranicy

WARSAWA Ponad trzystu naukowców z 52 krajów ubiegało się o możliwość realizacji badań w Polsce w tegorocznym naborze do programu Ułam NAWA. Ostatecznie nad Wisłę przyjedzie 71 z nich. Najlicniejszą grupę stanowią badacze z Indii, Włoch, Iranu, Polski, Chin, Brazylii, Pakistanu, Australii. Po raz pierwszy uczestnikami programu będą także naukowcy z Gruzji, Malezji, Ghany, Korei Południowej i Szwajcarii. Podobnie jak poprzednim razem, najwięcej projektów dotyczy nauk przyrodniczych (43), inżynieryjnych (17) oraz społecznych (4). Wśród 36 instytucji wybranych przez beneficjentów jako miejsca prowadzenia badań są m.in. Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński i Politechnika Wrocławska. Naukowcy spędzą w Polsce od pół roku do dwóch lat. Przez ten czas otrzymywać będą comiesięczne stypendium w wysokości 11 500 zł. Wsparcie pozwoli im prowadzić badania naukowe, realizować staże doktorskie, pozyskiwać materiały do badań lub publikacji naukowej. Ułam NAWA to kluczowa inicjatywa w zakresie umiędzynarodowienia polskiej nauki. Do tej pory wsparcie w ramach programu otrzymało już blisko 400 badaczy.

Dwie lubelskie uczelnie w EUA

LUBLIN Dwie lubelskie uczelnie dołączyły do grona członków European University Association. Uniwersytet Medyczny w Lublinie świętuje w tym roku swoje 75-lecie. Na pięciu wydziałach (Lekarski, Lekarsko-Dentystyczny, Farmaceutyczny, Nauk o Zdrowiu, Nauk Medycznych) studiuje obecnie prawie 7 tys. osób. Uczelnia zatrudnia ponad 2,5 tys. pracowników. Z kolei Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie kończy w tym roku 70 lat. Na 7 wydziałach: Agrobiotechnologii, Medycynie Weterynaryjnej, Naukach o Zwierzętach i Biogospodarce, Ogrodnictwie i Architekturze Krajobrazu, Inżynierii Produkcji, Naukach o Żywności i Biotechnologii, Biologii Środowiskowej kształci ponad 7 tys. studentów. Zatrudnia ok. 1400 pracowników, w tym ponad 600 nauczycieli akademickich (30% stanowią samodzielni pracownicy naukowcy). EUA to największa organizacja reprezentująca europejskie szkoły wyższe. Powstała w 2001 roku. Zrzesza ponad 900 uniwersytetów i krajowych konferencji rektorów z 49 krajów. Na wszystkich uniwersytetach należących do EUA studiuje ok. 20 mln osób. Członkami EUA jest 50 polskich podmiotów, w tym Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

Na pograniczu łączą siły

GREIFSWALD Dwanaście uczelni z polsko-niemieckiego pogranicza podpisało deklarację o utworzeniu „Sojuszu Uniwersytetów Pomorskich”. Nazwa sieci określa z jednej strony położenie geograficzne uczelni zlokalizowanych na polskim Pomorzu Zachodnim oraz niemieckiej Mekle-



Fot. Jan Zych

burgii-Pomorz Przednim i w Brandenburgii, a z drugiej wyraża ideę zacieśniania współpracy akademickiej. Porozumienie podpisali rektorzy: Akademii Sztuki w Szczecinie, Politechniki Koszalińskiej, Politechniki Morskiej w Szczecinie, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, Uniwersytetu Szczecińskiego, Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, Uniwersytetu Zrównoważonego Rozwoju w Eberswaldzie, Wyższej Szkoły Zawodowej w Neubrandenburgu, Wyższej Szkoły Zawodowej w Stralsundzie, Uniwersytetu w Greifswaldzie, Uniwersytetu Muzyki i Teatru w Rostocku oraz Uniwersytetu w Rostocku. Sojusz uniwersytetów regionu Pomerania ma promować zrównoważony rozwój oraz wzmacnianie wymiany między badaczami i studentami z uczelni obu państw.

Studenci-sportowcy w NRA

WARSZAWA Studenci i studentki z 40 uczelni (w tym dwóch niepublicznych) skorzystają ze wsparcia w szóstej edycji programu Narodowa Reprezentacja Akademicka. Na realizację zadań umożliwiających równoległe prowadzenie kariery sportowej i studiów Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyszczególniło ponad 20 mln zł. Największe dofinansowanie (4,4 mln zł) otrzymała Akademia Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach. Ponad 2,3 mln zł trafi do Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy. Powyżej 1 mln zł dostaną także: Akademia Wychowania Fizycznego im. E. Piaseckiego w Poznaniu (1,8 mln zł), Akademia Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie (1,8 mln zł), Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie (1,4 mln zł) oraz Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku (1,1 mln zł). Największym beneficjentem programu wśród uczelni publicznych poza akademiami wychowania fizycznego jest Politechnika Gdańska. Uczelnia, która w tym roku po raz szósty z rzędu triumfowała w Akademickich Mistrzostwach Polski, otrzymała w ramach NRA 1,2 mln zł, co pozwoli sfinansować dodatkowe zajęcia dydaktyczne (indywidualne i grupowe) dla 59 studentek i studentów, którzy są zawodowymi sportowcami z mistrzowską lub mistrzowską międzynarodową klasą sportową. Reprezentują oni wszystkie 8 wydziałów uczelni oraz 23 dyscypliny sportowe: amp futbol, badminton, biegi na orientację, boks, hokej, judo, karate, koszykówkę, łyżwiarstwo figurowe i synchroniczne, piłkę ręczną, rugby, sport taneczny, strzelectwo sportowe, szermierkę, taekwondo, unihokey, windsurfing, wioślarstwo, wrotkarstwo oraz żeglarstwo. NRA to wspólne przedsięwzięcie MNiSW oraz AZS. Wystartowała w 2019 roku.

Helios wśród najszybszych

KRAKÓW Działający w ACK Cyfronet AGH superkomputer Helios od momentu pełnej instalacji utrzymuje się w pierwszej setce najszybszych i pierwszej dziesiątce najefektywniejszych energetycznie maszyn obliczeniowych na świecie. Na najnowszych listach TOP500 i Green500



Fot. Cyfronet

utrzymał pozycję lidera w obu tych kategoriach w Polsce. Najwyżej, na 96 miejscu, odnotowano partycję Helios-GPU – część Heliosa wyposażoną w 440 superczipów NVIDIA Grace Hopper GH200. Oddzielnie zgłoszoną partycję Helios-CPU sklasyfikowano na 415 pozycji. Helios posiada łącznie 36 PFLOPS teoretycznej mocy obliczeniowej, ponad 108 tysięcy

rdzeni obliczeniowych, 460 TB pamięci operacyjnej i 18 PB pojemności systemów dyskowych, które łącznie oferują wydajność niemal 2 TB/s. Moc obliczeniowa dla obliczeń AI to 1,8 EXAFLOPS. W rankingu najbardziej energooszczędnych superkomputerów partycja Helios-GPU utrzymała wysokie ósme miejsce.

Polski artykuł najlepszy na świecie

SAN DIEGO Publikacja, której współautorami są polscy naukowcy, została nagrodzona jako najlepszy artykuł na najbardziej prestiżowej konferencji sztucznej inteligencji na świecie – NeurIPS'25. W tym roku spośród ponad 20 tys. prac przyjęto na nią około 5 tys. publikacji. Praca



Fot. PW

1000 Layer Networks for Self-Supervised RL: Scaling Depth Can Enable New Goal-Reaching Capabilities to dzieło naukowców z Princeton University oraz Politechniki Warszawskiej i Instytutu Badawczego IDEAS. Współautorami artykułu są prof. Tomasz Trzcinski z Wydziału Elektroniki i Techniki Informatycznych PW, dyrektor ds. badawczo-rozwojowych IDEAS, oraz Michał Bortkiewicz ze Szkoły Doktorskiej PW. Wskazali oni, jak zwiększenie głębokości sieci w uczeniu przez wzmacnianie z kilku do ponad 1000 warstw pozwala osiągnąć nawet 50-krotnie wyższą wydajność. – Przez lata w środowisku panowało przekonanie, że pogłębianie sieci (tzn. dodawanie kolejnych warstw) nie przynosi korzyści. Nasze badanie podważa ten pogląd, wykazując, że skalowanie głębokości sieci jest brakuującym elementem pozwalającym na osiągnięcie skokowego wzrostu wydajności. Badanie ujawnia, że głębokość sieci fundamentalnie zmienia sposób, w jaki agenci postrzegają świat. Podczas gdy płytkie sieci często polegają na prostych drogach na skróty, takich jak odległość w linii prostej, głębsze sieci uczą się złożonej topologii środowiska, co pozwala im omijać przeszkody, zamiast utykać w martwym punkcie. Ta dodatkowa głębia umożliwia agentom „zszywanie” krótkich doświadczeń w celu rozwiązywania zadań długoterminowych, z którymi wcześniej się nie spotkali, a także pozwala modelowi skupić moc obliczeniową na kluczowych momentach w pobliżu celu. Co istotne, głębokość poprawia jednocześnie eksplorację i zdolność uczenia się. Ta synergia pozwala gromadzić lepsze dane i zarazem pozwala lepiej je zrozumieć.

Publiczność nagrodziła doktorantkę PW

GENEWA Mgr inż. Natalia Izdebska z Politechniki Warszawskiej zdobyła nagrodę publiczności w międzynarodowym finale FameLabu, który odbył się w siedzibie CERN w Szwajcarii. To największy na świecie konkurs komunikacji naukowej. Jego uczestnicy mają za zadanie opowiedzieć w trzy minuty o swoich badaniach lub zagadnieniach naukowych.



Fot. Still Moving Media

W październiku na Uniwersytecie Śląskim odbył się finał krajowy, w którym zwyciężyła mgr inż. Natalia Izdebska, absolwentka Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej i doktorantka w Szkole Doktorskiej PW. W nagrodę otrzymała bilet na występ w finale międzynarodowym. W swoim wystąpieniu („Lepsze baterie – zbudowane z klocków LEGO?”) pokazała, że baterie magnezowe, którymi się zajmuje, mogą być tańsze, bezpieczniejsze i wydajniejsze niż znane i powszechnie dzisiaj stosowane baterie bazujące na litie – pierwiastku drogim i trudno dostępnym. Zdobyła nagrodę publiczności. Konkurs wygrała Tammy Lee z Australii.

Wydatki na B+R powyżej 400 mld euro

BRUKSELA Rekordową sumę 403,1 mld euro (średnio 897 euro na jednego mieszkańca) wydały w ubiegłym roku kraje Unii Europejskiej na badania i rozwój. To o 3,6% więcej niż w roku 2023 i aż o 62,2% więcej w porównaniu do nakładów sprzed dekady. Na podobnym poziomie co w 2023 r. utrzymał się udział wydatków na B+R w relacji do PKB – średnia europejska wynosi 2,24% PKB. W ciągu minionej dekady największy wzrost zanotowały Belgia (o 1 p.p.), Grecja (0,7 p.p.), Estonia i Chorwacja (0,60 p.p.) oraz Polska (0,46 p.p.). W sumie udział prac badawczo-rozwojowych w PKB wzrósł w tym okresie w 19 krajach UE. W ub.r. sześć państw mogło się pochwalić wydatkami na B+R wynoszącymi równo lub powyżej zakładanego przez UE celu 3% PKB. Liderem jest Szwecja (3,6%), przed Belgią (3,4%), Austrią (3,3%), Finlandią (3,2%), Niemcami (3,1%) i Danią (3,0%). W Polsce wartość ta wyniosła 1,41% PKB. Największy udział w europejskich wydatkach na badania i rozwój ma sektor przedsiębiorstw – 66,5% (268,1 mld euro). Na drugim miejscu, ale ze znaczną stratą, jest sektor szkolnictwa wyższego (86,1 mld euro; 21,4%), a dalej sektor rządowy (43,5 mld euro; 10,8%) i prywatny sektor non-profit (5,4 mld euro; 1,3%). W sektorze szkolnictwa wyższego najwięcej na B+R w relacji do PKB wydały Dania, Szwecja, Finlandia i Austria (od 1,04% do 0,75%). W Polsce było to 0,48% PKB.

W Toruniu polarnicy mają swoje rondo

TORUŃ Tablica z napisem „Rondo Toruńskich Polarników” stanęła u zbiegu Szosy Okrężnej i ul. Gagarina w Toruniu. Decyzję o upamiętnieniu dorobku badaczy niziny Kaffiöyra podjęli miejscowi radni na wniosek rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i marszałka województwa. W tym roku mija pół wieku od powstania stacji polarnej UMK na Spitsber-



Fot. Andrzej Romański

genie. Pierwsza toruńska wyprawa polarna wyruszyła w 1975 r. Z inicjatywy prof. Czesława Pietrucienia pod morenami lodowca Aavatsmarka powstał domek specjalnej konstrukcji, który stał się zaczątkiem działającej do dzisiaj stacji. Jest to przede wszystkim miejsce pracy naukowców, doktorantów i studentów UMK, głównie geografów i biologów. W regionie Stacji Polarnej UMK badaniami objęto prawie wszystkie komponenty środowiska geograficznego, przy czym największy nacisk położono na badania w zakresie glaciologii, geomorfologii glacialnej, wieloletniej zmarzliny (sezonowego odmrażania różnych rodzajów gruntu) i procesów periglacialnych oraz na badania klimatologiczne i biologiczne. Jednym z głównym celów działań jest poznanie zmian kriosfery, które są bardzo ważnym wskaźnikiem współczesnych przemian środowiska polarnego i zmian klimatu. Obok odsłonięcia tablicy na rondzie, w jej

śsiedztwie wkopano tubę z 225 nazwiskami osób, które przyczyniły się do tego, że pół wieku temu rozpoczęły się toruńskie badania naukowe na Spitsbergenie.

PARP nagrodziła produkty przyszłości

WARSZAWA Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa oraz Politechnika Warszawska znalazły się wśród zdobywców nagród głównych w XXVI edycji konkursu „Polski Produkt Przyszłości”. Organizuje go Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. W tegorocznej edycji zgłoszono 152 projekty. Wśród nagrodzonych znalazł się GRACE – to silnik opracowany w ILOT, odpowiadający na rosnące potrzeby sektora kosmicz-



Fot. PARP

nego w zakresie ekologicznych i efektywnych systemów napędowych. Główną nagrodę otrzymali także twórcy „Bioaktywnego Substitutu Kości Gąbczastej” – to elastyczny implant, który chirurg może dopasować do kształtu ubytku bezpośrednio na sali operacyjnej. Powstał m.in. z udziałem naukowców PW. Jedną z nagród specjalnych – za produkt z branży technologii informacyjnych i komunikacyjnych (ICT) – trafiła do Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, który stworzył „Kid AID – Multimodalny system nieinwazyjnej oceny stanu ogólnego dziecka wspierający proces triage'u medycznego”.

Wyszkolą kontrolerów ruchu lotniczego

KATOWICE Studenci Politechniki Śląskiej będą się szkolić na ultranowoczesnym symulatorze ruchu lotniczego. Na Wydziale Transportu i Inżynierii Lotniczej w Katowicach powstało pomieszczenie, które odwzorowuje wieżę kontroli lotów w Pyrzowicach. Symulator pozwala na odtworzenie wirtualnej rzeczywistości praktycznie każdego portu lotniczego na świecie i jego środowiska operacyjnego. System zawiera bazę danych o statkach powietrznych, procedurach, warunkach pogodowych i wszelkich możliwych sytuacjach – od standardowych operacji po złożone scenariusze kryzysowe. Symulator obejmuje zarówno wieżę kontroli lotów, jak i stanowiska kontroli zbliżania, dzięki czemu studenci mogą zdobywać kompetencje wymagane w obu specjalizacjach kontrolerów lotów. Dzięki inwestycji, która kosztowała 5 mln zł, Politechnika Śląska dołączyła do ośrodków kształcenia kontrolerów ruchu lotniczego w Polsce. Do tej pory szkolenie takie prowadziły Polska Agencja Żegludki Powietrznej, Lotnicza Akademia Wojskowa oraz Akademia Nauk Stosowanych w Chełmie.



Fot. Jan Szary

Doktorat h.c. – prof. Dani Rodrik

POZNAŃ Jeden z najbardziej cenionych na świecie ekonomistów otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Na co dzień wykłada na Uniwersytecie Harvarda. Jego zainteresowania naukowe obejmują m.in. międzynarodowe stosunki gospodarcze, zagadnienia rozwoju gospodarczego i ekonomię polityczną. W swoich badaniach podejmuje tematykę wzrostu gospodarczego, zależności



między międzynarodową współpracą gospodarczą, globalizacją, systemem politycznym a suwerennością, a także filozofii i metodologii ekonomii, w tym w szczególności modelowania ekonomicznego oraz jego zastosowań i ograniczeń. Był wielokrotnym konsultantem Banku Światowego, a w 1990 roku doradcą polskiego rządu. Jest 28 osobą uhonorowaną tytułem doktora honoris causa przez UEP.

Doktorat h.c. – prof. Johannes Müller

POZNAŃ Jeden z najwybitniejszych niemieckich archeologów, autorytet naukowy w zakresie epoki neolitu i brązu, został doktorem honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Prof. Müller, od 2004 roku szef Katedry Prehistorii i dyrektor Instytutu Prehistorii i Protohistorii na Uniwersytecie Christiana Albrechta w Kilonii, to uczony o światowej renomie, wybitny specjalista neolitu i epoki brązu. Najważniej-



Fot. Władysław Gardysz

szą dziedzina jego badań jest megalityzm, obejmujący monumentalne konstrukcje od Półwyspu Iberyjskiego po Skandynawię i ziemie polskie, w tym takie obiekty, jak choćby Stonehenge. Zajmuje się także etnoarcheologią, prowadząc badania w Indiach i Etiopii. Od blisko trzech dekad pozostaje blisko związany z poznańskim uniwersytetem. Intensywnie współpracuje nie tylko z Wydziałem Archeologii UAM. Z badaczami UAM prowadził wieloletnie wspólne projekty, m.in. w Bruszczewie, Łękach Małych czy Kakucs. Współpraca ta zaowocowała dziewięcioma monografiami i osiemnastoma artykułami. Niemiecki badacz stworzył przez lata z powodzeniem realizował nowatorską strategię organizacji szkół podyplomowych w archeologii. Opracował koncepcję, zorganizował i kierował szkołą studiów podyplomowych Human Development in Landscapes, która przyciągała młodych naukowców z całego świata i obejmowała projekty od Ameryki Południowej po Indie. Jest również twórcą i obecnym kierownikiem Kłastera Doskonałości ROOTS, w którym konsekwentnie rozwija nowoczesny, interdyscyplinarny model kształcenia.

Był pierwszym zachodnioeuropejskim archeologiem, który w 2022 roku udał się do ostrzelanej stolicy Ukrainy, gdzie podpisał nową umowę o współpracy między instytucjami archeologicznymi z Kijowa i Kilonii.

Doktorat h.c. – prof. Arkadiusz Wójs

LWÓW Rektor Politechniki Wrocławskiej otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Lwowskiej. Doceniono jego wkład w rozwój współpracy między obiema uczelniami. – Po drugiej wojnie światowej profesorowie, doktorzy, inżynierowie i absolwenci Politechniki Lwowskiej przybyli do Wrocławia i to oni byli współtwórcami nowej Politechniki Wrocławskiej – mówił na uroczystości prof. Wójs. – Wrocław zawdzięcza Lwowowi nie tylko kadrę naukową, lecz także kulturę pracy akademickiej: doskonałość i rzetelność badań, wysoki etos zawodowy oraz niezwykłą atmosferę ciekawości i wolnej, twórczej myśli, charakteryzującej wielkie uniwersytety w dziejach świata. Dziedzictwo lwowskiej szkoły matematycznej i inżynierskiej wciąż żyje w murach naszej uczelni. Prof. Wójs jest rektorem PWR od 2020 roku. Jego zainteresowania naukowe koncen-



Fot. Politechnika Lwowska

trują się na teoretycznej i obliczeniowej fizyce materii skondensowanej, w szczególności na strukturze elektronowej układów niskowymiarowych oraz skorelowanych układach wielu fermionów. Od wielu lat należy do prestiżowej Academia Europaea. To czwarty rektor Politechniki Wrocławskiej, który otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Lwowskiej. Wcześniej godność tę otrzymali także: prof. Andrzej Wiszniewski (1993), prof. Andrzej Mulak (2001) i prof. Tadeusz Więkowski (2011).

Nagroda dla prof. Andrzeja Nowaka

LUBLIN Nagrodę im. Księdza Idziego Radziszewskiego, pierwszego rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, otrzymał w tym roku prof. Andrzej Nowak. Zarząd Towarzystwa Naukowego KUL uhonorował w ten sposób całokształt jego dorobku naukowego w duchu humanizmu chrześcijańskiego. Prof. Nowak jest historykiem, to jeden z czołowych badaczy polskiej myśli politycznej, relacji polsko-rosyjskich oraz historii politycznej naszej części Europy. Kieruje Pracownią Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specja-



Fot. KUL

lizuje się w dziejach rosyjskiej myśli politycznej oraz stosunkach polsko-rosyjskich w XIX i XX wieku. Jego zainteresowania badawcze obejmują też historię myśli politycznej i stosunków politycznych w Europie Wschodniej XIX–XX w., studia porównawcze nad imperiami, pamięć kulturową w Europie Wschodniej oraz geopolitykę. Od 1983 roku jest związany także z Instytutem Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie kieruje Zakładem Historii Europy XIX i XX wieku. W swoim dorobku naukowym ma ponad 30 książek oraz blisko 200 artykułów i recenzji naukowych. Jest m.in. autorem wielotomowych *Dziejów Polski*, w latach 1991–2012 był redaktorem naczelnym czasopisma „Arcana”.

Zmiany u doktorantów

KRAKÓW Mgr inż. Rafał Ramut z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu został wybrany na przewodniczącego Krajowej Reprezentacji Doktorantów. Zastąpi mgr inż. Annę Nieczaj, która stała na czele organizacji



Fot. Tomasz Tarkowski

przez ostatni rok. Jest trzecim w historii KRD przewodniczącym wywodzącym się z uczelni o profilu rolniczym/przyrodniczym (po Robertcie Kilańczyku i Jarosławie Olszewskim – obaj ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie). Ramut od kilku lat aktywnie działa w Radzie Samorządu Doktorantów UPWr (pełnił funkcję wiceprzewodniczącego), a obecnie przewodniczy Wrocławsko-Opolskiemu Porozumieniu Doktorantów. W KRD pełni rolę eksperta ds. ewaluacji szkół doktorskich. Przed rokiem został ambasadorem w programie Szkoła Młodego Naukowca-Samorządowca, gdzie wspiera młodych badaczy w budowaniu kompetencji i rozwijaniu zaangażowania na styku nauki, administracji i działalności społecznej. Naukowo zajmuje się badaniem zastosowań struwitu jako źródła fosforu w uprawach. W skład nowo wybranego Zarządu weszli ponadto: mgr Aleksandra Błotnicka (Akademia Kultury Fizycznej w Krakowie), mgr Paweł Marczak (Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II), mgr inż. Karol Radziszewski (Politechnika Warszawska), mgr Katarzyna Krupska (Uniwersytet w Białymstoku), mgr inż. Wiktoria Wilczyńska (Politechnika Opolska), mgr inż. Kaja Kosmenda (Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie).

Złote, srebrne i brązowe medale dla chemików

WARSZAWA Mateusz Zarzeczny z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego zdobył Złoty Medal Chemii 2025. W tym roku do konkursu



Fot. IChF PAN

organizowanego przez Instytut Chemii Fizycznej PAN zgłoszono 61 prac z 15 uczelni. Zwycięska praca dotyczy „programowania chiralności” w materiałach ciekłokrystalicznych o helikalnej strukturze, które wykazują selektywną interakcję ze światłem kołowo spolaryzowanym. Przedstawiono w niej możliwości kontroli tych właściwości na trzech poziomach: molekularnym – dotyczącym wpływu architektury molekuli, nanocząstkowym – związanym z domieszkowaniem nanocząstek złota oraz przestrzennym, w którym zastosowano fototermalne przetwarzanie laserowe. Łączenie poszczególnych poziomów otwiera nowe możliwości projektowania nanomateriałów funkcjonalnych o ściśle kontrolowanych właściwościach optycznych, które mogą znaleźć zastosowanie w wielu dziedzinach, np: antyfałszerstwie, bioobrazowaniu czy technologii LiDAR. Autor pracy otrzymał 15 tys. zł. Srebrny Medal Chemii (7,5 tys. zł) zdobył Jakub Pawlikowski z Wydziału Automatyki, Elektroniki i Informatyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach, a Brązowy (3,75 tys. zł) Dawid Natkowski z Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej.

Przyznano Nagrodę im. Szybalskiego

GDAŃSK Dr hab. Karolina Pierzynowska z Uniwersytetu Gdańskiego została laureatką Nagrody Komitetu Biotechnologii PAN im. Profesora Wacława Szybalskiego za najlepszą publikację naukową z roku 2024. Doceniono jej badania nad korygowaniem objawów choroby Huntingtona. Opisała, że stymulacja autofagii przez genisteinę powoduje zmniejszenie poziomu nieprawidłowo sfałdowanego białka HTT (huntingtyny) tworzącego agregaty w mózgach modelowych myszy dla choroby Huntingtona (HD) oraz poprawę ich zachowania, ocenianą na podstawie serii



Fot. Arch. prywatne

testów poznawczych, lękowych i motorycznych. Wykazała także, że parametry biochemiczne i immunologiczne również uległy poprawie u myszy z HD po zastosowanym leczeniu. Genisteina stymuluje proces autofagii w mózgach myszy z HD (nawet jeśli związek ten podawano już po wystąpieniu objawów u zwierząt), prowadzi do korekty objawów, co otwiera nowe perspektywy na leczenie choroby Huntingtona. Dr hab. Karolina Pierzynowska kieruje Pracownią Neurogenetyki Molekularnej w Katedrze Biologii Molekularnej Uniwersytetu Gdańskiego. O swoich badaniach opowiedziała w wywiadzie w ramach cyklu „Nauka przez duże K”, który dostępny jest na naszej stronie internetowej.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Marcin Behrendt, Andrzej Chartyński, Iwona Cieślak, Iwona Flanczewska-Rogalska, Agnieszka Książkiewicz, Agnieszka Lizak, Krzysztof Szymański, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku
i na platformie X



Regionalne centra doskonałości i kompetencji

Prof. Jerzy Nitychoruk, rektor Akademii Białskiej im. Jana Pawła II i przewodniczący Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych, mówi o problemach publicznych uczelni zawodowych, ich perspektywach i nie zawsze uczciwym traktowaniu przez Polską Komisję Akredytacyjną.

Niewątpliwie najlepiej oddaje charakter naszych uczelni, niezależnie od ich nazw indywidualnych, funkcjonujące w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce określenie „publiczne uczelnie zawodowe”. Ponieważ jest szereg nazw, które mogą stosować zarówno uczelnie niepubliczne, jak i te z naszej grupy, na przykład wprowadzone do ustawy z inicjatywy Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych określenie „akademia nauk stosowanych”, właśnie tą odróżniającą naszą grupę uczelni nazwą jest „publiczna uczelnia zawodowa”. Zresztą w naszej konferencji są zrzeszone uczelnie, które nie zastosowały nazwy „akademia nauk stosowanych”, pozostając przy innych, choćby związanych z regionem, jak oświęcimska Małopolska Uczelnia Zawodowa czy Collegium Witelona Uczelnia Państwowa w Legnicy, nawiązująca do nazwiska znanego średniowiecznego uczonego związanego z regionem, a zapewne i miastem, w którym działa uczelnia. Inne z kolei, jak Akademia Białska, Akademia Tarnowska czy Akademia Łomżyńska, uzyskały status i uprawnienia akademickie, pozostając jednak formalnie w gronie publicznych uczelni zawodowych i w naszej konferencji. Zatem to nie nazwa „akademia nauk stosowanych” wyróżnia naszą grupę uczelni, ale ich publiczny, państwowy charakter, w przeciwieństwie do uczelni niepublicznych, z których wiele konkuruje z nami w miastach, gdzie działamy, posługując się tą samą nazwą. Nasz odrębny status jest zapisany w ustawie, a zatem miejsce w systemie szkolnictwa wyższego w Polsce jest bardzo konkretnie zdefiniowane, a charakter opisany. Jesteśmy publicznymi uczelniami zawodowymi.

Państwowe wyższe szkoły zawodowe, a obecnie publiczne uczelnie zawodowe, zostały stworzone w tych miastach, które utraciły status województwa w wyniku reformy administracyjnej z roku 1999. Była to rekompensata za utraconą pozycję administracyjną, ale równocześnie zamysł, aby w miastach i regionach, które w wyniku tej reformy traciły wojewódzki charakter, a zatem i pewne atuty centrum kultury i gospodarki, powstały uczelnie, które staną się siłą napędową, a przynajmniej wspomogą ich rozwój. Zauważmy, że powstanie pierwszych tego rodzaju uczelni antycypowało reformę administracyjną, bowiem Ustawę o państwowych wyższych szkołach zawodowych uchwalono w 1997 roku, a pierwsze uczelnie powstały w następnym roku, czyli jeszcze przed wdrożeniem nowego podziału administracyjnego kraju. Regiony, mniejsze miasta, nie potrzebują wielu profesorów czy doktorów habilitowanych – na tym polu nie chcemy konkutować z uniwersytetami z dużych miast, nie mamy też takiej szansy – ale fachowców, którzy zasilą regionalną gospodarkę, administrację, kulturę możemy dostarczyć. Liczymy na to, że nasi absolwenci zostaną w regionie, wzbogacając go swoją wiedzą, kompetencjami nabytymi lub rozwiniętymi w uczelni zawodowej, nastawionej na kształcenie praktyczne, a w rezultacie zmniejszą tę naturalną lukę konkurencyjności w stosunku do dużych miast czy otaczających je regionów. Nasze uczelnie otrzymały taki wyjątkowy cel rozbudowywania i umacniania Polski poza tą wielkomiejską. Było to niezwykle przemysłane i wartościowe. Jestem przekonany, że powstrzymało to upadek wielu miast i regionów, a przynajmniej spowolniło negatywne skutki utraty stołecznego charakteru niektórych miast i okolic. Status publicznych uczelni zawodowych dał nam większą możliwość

rozwoju, zwłaszcza w regionach, które nie są uprzemysłowione, jak w przypadku Polski Wschodniej. Postawiono na wykształcenie lokalnych społeczności, które jest ich bogactwem.

Region nie jest jednak samoistną wyspą. Zwykle ucieka się do większych miast i ośrodków, choćby po to, żeby zrobić karierę naukową – i to jest mój przykład. Wyjechałem do Warszawy do pracy na uniwersytecie. Jednak w końcu przypomniałem sobie o swoich korzeniach i wróciłem w rodzinne strony z całym bagażem stołecznych i międzynarodowych doświadczeń, by oddać dług, który tu, na wschodzie Polski zaciągnąłem. To, że mamy dokąd wracać, zawdzięczamy także istnieniu publicznych uczelni zawodowych. Wzbogacamy ich potencjał, ale trzeba pamiętać, że przez niemal trzydzieści lat one same wykształciły własną kadrę, nauczyły się też pozytywnie ją gospodarować – ta współpraca w zakresie dydaktyki z praktykami biznesu, administracji lokalnej jest naszą unikalną kompetencją. Nasze własne kadry, doktorzy, ale także kilku profesorów, wzbogacają potencjał nie tylko uczelni, ale także miast i regionów, w których działamy. Dzięki nim nasze uczelnie są regionalnymi centrami doskonałości i kompetencji. Dwadzieścia pięć lat temu nie mieliśmy własnego zaplecza, własnych obiektów, a te, które pozyskiwaliśmy dzięki hojności lokalnych samorządów, trzeba było remontować i dostosowywać do potrzeb kształcenia wyższego o profilu praktycznym. Kadrę stanowili wykładowcy spoza naszych miast, goście z dużych ośrodków akademickich. Gdy dzisiaj widzimy te uczelnie, ich wspinała infrastrukturę dostosowaną do profilu kształcenia, kadry, które na stałe związały się z naszymi uczelniami, miastami, regionami, rozumiemy jaką drogę te szkoły przeszły, jak wzbogaciły, nie tylko kształceniem, ale samą obecnością, ośrodki, w których działają. Dziś stanowią centra wiedzy, kompetencji, ale też kultury w swoich miastach. Gdy porównuję szanse młodego wykładowcy na Uniwersytecie Warszawskim i w regionalnej publicznej uczelni zawodowej, to widzę wyraźnie zalety kariery tu, w regionie, poza centrum. Tam sama renoma wystarcza. Na prowincji, gdzie są wielkie braki i wyzwania, za to jeszcze nie ma renomy, jest walka o byt, która wyzwala dynamikę rozwoju. Okazuje się, że potrzebują nas i naszych absolwentów lokalne przedsiębiorstwa, urzędy, rolnicy, rozwijające się tu usługi, szkolnictwo powszechne, szpitale. A my musimy i staramy się – myślę, że z sukcesami – temu zapotrzebowaniu sprostać. Dostarczamy fachowców. Kształcimy praktycznie, bo takie jest zapotrzebowanie, ale także dlatego, że taką formę dydaktyki nam przypisano. Jest pytanie, dlaczego uniwersytety, które powinny kształcić w typie ogólnoakademickim, bardzo często wchodzą w nasze ustawowe obszary kształcenia praktycznego, podczas gdy my nie możemy wchodzić w ich formy dydaktyczne.

Oczywiście są uczelnie regionalne, które mają większe ambicje i starają się je w pewnym możliwym zakresie realizować. To nie jest złe. Powiązanie dydaktyki choćby ze skromnymi badaniami na pewno tej pierwszej wychodzi na dobre. Zawsze sobie myślę, że lepiej być lepszym w swojej kategorii niż bardzo słabym w tej, do której się dąży. Moja uczelnia poddała ewaluacji dyscypliny, które uprawiamy i to ze sporym powodzeniem. To było nam potrzebne, naszej kadrze, pracownikom, którzy nie chcieli być tylko wykładowcami,

ale mieli ambicje poszerzania swoich horyzontów. Akademia Bialska w rankingu uczelni akademickich wyprzedziła niektóre uniwersytety, ale za to nie była najlepsza w rankingu uczelni zawodowych. Nasz kierunek ekonomia jest na szesnastym miejscu w Polsce na ponad trzydzieści uczelni uprawiających tę dyscyplinę. Jeżeli się ma poczucie własnej wartości, znaczenia tego, co się robi, to czasami warto się zmierzyć z najlepszymi. Nie po to, żeby zająć miejsce dużych ośrodków, ale żeby zobaczyć, ile jest warte to, co robimy w regionie, na prowincji. Ale mamy też poczucie misji i obowiązku, który nam wyznacza ustawa i którego oczekują regiony, a nasze miasta oczekują od nas rozwijania własnych kadr. Ta ewaluacyjna próba sił to nie był tylko egoistyczny zamysł. Co więcej, system szkolnictwa wyższego w Polsce jest otwarty, nie zabroniono nam rozwoju w kierunku akademickim. Mimo to pozostaliśmy w większości przy misji, którą nam powierzyli nasi twórcy. My nie mamy produkować doktorów habilitowanych, ale wykształcić specjalistów dla lokalnych urzędów, firm, ośrodków zdrowia, szkół. Muszę powiedzieć, że na kształcenie drugiego stopnia, oczekiwane od nas w naszych miastach i regionach, na przykład pielęgniarek czy ratowników medycznych, dostajemy tylko 60% tej subwencji, którą dostają uniwersytety w dużych ośrodkach, mimo że spełniamy te same standardy jakości co one. To jest dziwna, nieuzasadniona dyskryminacja, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, że ci, którzy wyjechali do dużych ośrodków, rzadko wracają do pracy w swoich małych, rodzinnych miastach. Jeżeli standardy kształcenia nas obowiązujące są takie same jak uniwersyteckich medycznych, musimy przeprowadzić tyle samo godzin zajęć o tej samej jakości, to dlaczego państwo płaci nam za to o 40% mniej? Tego nie potrafię zrozumieć.

Jako jedną z dróg rozwoju wskazuje się nam kształcenie na piątym poziomie krajowej ramy kwalifikacji. Niektóre nasze uczelnie tego spróbowały, ale na razie to nie za bardzo wychodzi. Mamy rozwinięte systemy studiów licencjackich, inżynierskich, ale także magisterskich, podyplomowych, kursów dokształcających, profesjonalnych i to się sprawdza. Mam wątpliwości co do tak zwanych mikro-poświadczeń; są na ten temat dyskusje, konferencje. Chętnie biorą się za to uczelnie prywatne. Jednak poziom kształcenia, który oferują, a myślę o naszych bezpośrednich konkurentach w regionach,

nie jest do końca dobry, na pewno nie jest ono lepsze niż to, które my oferujemy. To nie zawsze jest uczciwa konkurencja. Jeżeli mikro-poświadczenia miałyby funkcjonować skutecznie, poziomy kształcenia powinny być bardziej wyrównane. Odpowiada za to także Polska Komisja Akredytacyjna, której działania wydają się nam niejasne. Dochodzą do nas sygnały, że uczelnie prywatne dostają z łatwością zgody na prowadzenie różnych kierunków, na które my, ze znacznie

lepszym zapleczem, stabilną kadrami, nie możemy zgody uzyskać. Pielęgniarstwo jest tutaj znakomitym przykładem, a psychologia kolejnym. Jak można w weekendy zrealizować bardzo napięty program pielęgniarstwa? Gdzie dla kilkuset studentek przyjętych na pierwszy rok studiów w prywatnej uczelni można znaleźć szpitale do prowadzenia praktyk? Czy na pewno nasze ośrodki zdrowia potrzebują słabo wykształconych pielęgniarek? My nie mamy szans na psychologię, ale uczelnie prywatne owszem. I zostaje się psychologiem po pierwszym stopniu studiów na politologii i dwóch latach studiów uzupełniających psychologicznych. Na pewno chcemy takich psychologów? Dlaczego PKA daje na to przyzwolenie? Czy mikro-poświadczenia też będą działały na takich samych zasadach, że umiejętności zdobyte ciężką

pracą wykładowców dobrej uczelni zawodowej będą porównywane z kształceniem weekendowym?

Nasze uczelnie przetrwały ponad dwadzieścia lat, zdobyły pozycję i prestiż w swoich miastach. To znaczy, że istnieje zapotrzebowanie na nasze kształcenie, na naszych absolwentów, na uczelnie jako swoje ośrodki intelektualne, centra kompetencji i kultury, lokalne źródła rozwoju. Cały czas się rozwijamy, dostosowujemy naszą aktywność do lokalnych potrzeb. Także ministerstwo to dostrzegło, czego wyrazem są możliwości pozyskiwania środków na inwestycje czy program Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości. Dla rozwoju regionów, dla tego, żeby one się nie wyludniały, regionalne uczelnie publiczne oferujące dobre bezpłatne kształcenie są konieczne. Nie zapewnią tego uczelnie prywatne, w których kształcenie na pewno nie wytrzymałoby próby rzetelnej kontroli przez PKA.

Notował Piotr Kieraciński

(Więcej o publicznych uczelniach zawodowych czytaj na str. 49; fotoreportaż 3 str. okładki)

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2026 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2026 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł;
prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok
i 90 zł za pół roku.

Redakcja



Ekonomiczny stulatek

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie szczyci się stuletnią historią, założono go bowiem w 1925 roku. Jednak tradycje kształcenia handlowego w Krakowie sięgają roku 1882, gdy powstała krakowska Szkoła Handlowa. W 1924 roku przy szkole powstał Instytut Towaroznawczy, którego dyrektorem został Arnold Bolland, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Już rok później na bazie tegoż instytutu utworzono Wyższe Studium Handlowe w Krakowie. W pierwszym roku akademickim kształcenie rozpoczęło 222 studentów, a grono profesorskie liczyło 15 osób. W 1937 roku uczelnia zyskała nazwę Akademii Handlowej w Krakowie, a w 1939 roku – prawa do nadawania tytułu magistra. Po II wojnie światowej zajęcia wznowiono 8 maja 1945 roku, a 3 września tego roku minister oświaty wydał ponownie rozporządzenie nadające Akademii Handlowej uprawnienia do nadawania tytułu magistra. W 1950 roku uczelnia została upaństwowiona i otrzymała nazwę Wyższej Szkoły Ekonomicznej. W 1974 roku otrzymała nazwę Akademii Ekonomicznej. Kolejna zmiana statusu miała miejsce w 2007 roku, gdy Sejm Rzeczypospolitej uchwalił ustawę nadającą krakowskiej AE nazwę Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Od początku funkcjonowania UEK wykształcił ponad 150 tysięcy absolwentów. Obecnie kształci się tam 17 156 osób, z czego 11 529 na studiach stacjonarnych, a 5 627 na niestacjonarnych. Kształcą się oni na 34 kierunkach studiów I stopnia i jednolitych magisterskie, w tym 4 w języku angielskim, a 45 kierunkach II stopnia, w tym 13 w j. angielskim. Wkrótce UEK będzie prowadzić wspólnie z Politechniką Krakowską i Akademią Górniczo-Hutniczą kierunek inżynieria i zarządzanie w energetyce jądrowej.

Kadrę akademicką UEK stanowią 744 osoby. W tym gronie jest 22 profesorów tytularnych i 193 doktorów habilitowanych na stanowiskach profesorów uczelni. Na stanowiskach adiunktów pracuje 364 doktorów. Na UEK wykłada 81 asystentów, 53 starszych wykładowców i 14 wykładowców oraz 15 lektorów i 2 instruktorów.

Dominujące obszary badań naukowców z krakowskiego Uniwersytetu Ekonomicznego to: ekonometria (w tym Bayesowska); cykle koniunkturalne; polityka monetarna; rynki energii; rynki finansowe; sektor ubezpieczeniowy; ubóstwo (energetyczne, sezonowe); gospodarka cyrkularna; crowdfunding; polityki publiczne i badania sektorowe; polityka energetyczna i transformacja energetyczna; sprawiedliwa transformacja; integracja migrantów / naturalizacja; polityka zagraniczna; instytucjonalizacja GOZ; obszary chronione i rozwój lokalny; zrównoważony rozwój i środowisko; ryzyko klimatyczne; gospodarka obiegu zamkniętego; ochrona zasobów.

W wyniku ewaluacji jakości badań naukowych w okresie 2017-2021 UEK uzyskał 4 kategorie B+ w dyscyplinach: ekonomia i finanse, nauki o zarządzaniu i jakości, geografia społeczno-ekonomiczna i nauki prawne oraz jedną kategorię A w naukach o polityce i administracji.

Uczelnia uzyskała akredytacje instytucjonalne: AMBA/BGA i EAQU-ALS oraz programowe: CIMA, ACCA, CFA, EFMD, EAPAA, AESOP-QR, ACQUIN, EFCB, CEPI.

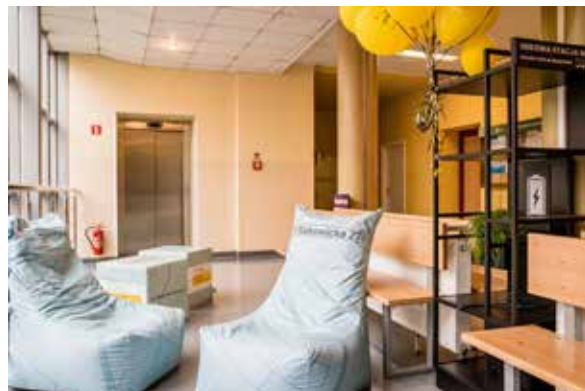
Badacze z UEK opublikowali w 2024 r. 296 artykułów i rozdziałów w monografiach naukowych – indeksowane w bazie Scopus, a w 2025 r. – 252 (nie wszystkie publikacje już się ukazały).

W latach 2011-2024 badacze z UEK zdobyli 138 grantów Narodowego Centrum Nauki o łącznej wartości 30 mln zł. W roku 2024 w realizacji pozostawało 31 projektów finansowanych przez NCN o wartości niemal 13 mln zł. W roku 2024 pracownicy UEK pozyskali finansowanie dla 7 projektów międzynarodowych (realizację jednego rozpoczęto w 2025 roku), a realizowali ich 13. Całkowita wartość projektów pozyskanych w 2024 roku to 1 895 610 euro (w tym kwota dla UEK: 477 790 euro), a projektów realizowanych 8 177 182,21 euro (w tym kwota dla UEK: 637 008,70 euro).

Uczelnia jest zaangażowana w unikatowy projekt „Odotheka” – pierwszą na świecie biblioteką zapachów obiektów zabytkowych. Baza wiedzy o zapachu z uwzględnieniem pełnego kontekstu historycznego, na który składają się m.in. miejsce powstania, prace konserwatorskie czy warunki ekspozycji. Efektem projektu stanie się zbiór przepisów i receptur na odwzorowanie zapachu danego zabytku. Do badań wytypowano 10 obiektów o zróżnicowanej historii, wyjątkowym znaczeniu w kolekcjach, a także różnorodności pod względem materiału, z jakiego zostały wykonane. Projekt pozwoli zbadać unikatowe eksponaty z kolekcji słoweńskiej, m.in. tabakierę należącą do Franca Prešerena, słoweńskiego poety narodowego. Pierwszym zbadanym dziełem w projekcie był obraz „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci.

Z kolei Dział Transferu Wiedzy realizuje obecnie projekt Science4Business – Nauka dla Biznesu zadanie nr 1 „Inkubator Rozwoju”, dofinansowany z Funduszy Europejskich dla Nowoczesnej Gospodarki, Priorytet II: Środowisko sprzyjające innowacjom. Ponadto w UEK prowadzony jest projekt „Strategia przeciwdziałania zjawisku drop out na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie” oraz „UEK coraz bardziej dostępny”, który ma na celu ułatwienie osobom niepełnosprawnym dostępu do infrastruktury i oferty uniwersytetu.

Wśród przedsięwzięć popularyzacyjnych, realizowanych przez UEK jest projekt „Porozmawiajmy o...” – cykl otwartych spotkań dyskusyjnych poświęconych aktualnym zagadnieniom społeczno-gospodarczym, kulturowym i etycznym, a organizowanych w Klubie pod Jaszczurami – jednym z najbardziej rozpoznawalnych miejsc krakowskiego życia intelektualnego i artystycznego. W dyskusjach uczestniczą naukowcy i studenci UEK, eksperci, praktycy oraz zaproszeni goście, a istotnym elementem formuły jest aktywny udział publiczności.





Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie zlokalizowany jest w centrum miasta – przy ul. Rakowickiej 27. Duży, zielony kampus mieści niemal wszystkie budynki uczelni oraz Ogród Profesorski i Forum UEK. Oprócz reprezentacyjnego, zabytkowego gmachu głównego jest tam 6 pawilonów dydaktycznych i jeden gospodarczy, a także obiekt mieszczący nowoczesną halę widowiskowo-sportową, kryty basen i sale wykładowe umieszczone nad halą. Na miejscu jednego z wyburzonych pawilonów powstaje nowy budynek Centrum Obsługi Studenta. Pod pawilonem Wydziału Finansów znajduje się 3-piętrowy parking podziemny. Dawny akademik „Ustronie” pełni dziś funkcje edukacyjno-administracyjne. Tzw. Księżówka jest siedzibą Centrum Marki i Komunikacji oraz Akademickiego Centrum Kariery. Dwa mniejsze budynki – Dom ogrodnika i Stróżówka – pełnią dzisiaj funkcje administracyjne. Uczelnia dysponuje również historycznym budynkiem przy ul. Sienkiewicza, gdzie mieści się Instytut Nauk o Jakości i Zarządzania Produktem.

Wspomniany już Ogród Profesorski to zielona przestrzeń pełniąca funkcję reprezentacyjną i wypoczynkową. Miejsce służy rozmowom oraz być przestrzenią naukowych rozważań. Znajdują się tam kameralne miejsca do odpoczynku, jak altana czy ławki, a także szeroki plac przeznaczony na organizację spotkań pracowników. Z kolei Forum UEK to przestrzeń sportowa i rekreacyjna na świeżym powietrzu.

Biblioteka Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie to nowoczesne centrum wiedzy, integracji społecznej i wsparcia dla studentów, pracowników naukowych, doktorantów oraz innych osób zainteresowanych jej zbiorami. Gromadzi ona bogate zbiory tradycyjne i elektroniczne: książki, czasopisma, dane statystyczne i finansowe, a także analizy rynkowe dostępne online z dowolnego miejsca. Księgozbiór zawiera 302 362 wol. wydawnictw zwartych, 47 244 wol. wydawnictw ciągłych drukowanych oraz 34 327 tytułów czasopism elektronicznych i 484 764 książek elektronicznych, w ramach 141 baz danych (bibliograficznych, pełnotekstowych, faktograficznych, statystycznych, multimedialnych). Funkcjonują w niej nowoczesne rozwiązania samoobsługowe, takie jak SelfChecki, pozwalające na samodzielne wypożyczenie i zwroty książek oraz Książkomat, który daje możliwość odbierania i zwracania zbiorów poza godzinami pracy biblioteki.

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie posiada 2 domy studenckie – „Merkury” i „Fafik”, które dysponują 820 miejscami dla studentów.

PK



Wykład po treningu, czyli studenci uprawiający sport

Na zajęcia przychodzą najczęściej w dresach. Bywają spóźnieni po treningu, a czasami opuszczają wykłady i ćwiczenia, ponieważ startują w zawodach. Studenci-sportowcy na Uniwersytecie Kaliskim nie mogą liczyć na ulgowe traktowanie podczas egzaminów, ale sami przyznają, że mają komfortowe warunki do łączenia kariery sportowej z nauką.

Był wrzesień 2021 roku, gdy do ówczesnej Akademii Kaliskiej trafił Tomasz Matuszewski, ojciec dwóch tenisistów. – Powiedział, że chciałby, aby synowie studiowali w Kaliszu, a nie, jak dotychczas, w Poznaniu – opowiada Jakub Banasiak, pełnomocnik rektora ds. studentów wyczynowo uprawiających sport. – Dodał, że pochodzą z Kalisza i chcą zdobywać medale Akademickich Mistrzostw Polski dla kaliskiej uczelni. Spojrzałem nieufnie i nie skomentowałem tej niemal beczelnej zapowiedzi. Panowie mieli tylko jedną prośbę: chcieli móc bez opłat korzystać z naszych kortów, na co władze uczelni zgodziły się od razu. Późną wiosną pojechali na turniej eliminacyjny i bez kłopotów zakwalifikowali się do finałowej rozgrywki. Mimo to nie dowiedziałem, że mogą zdobyć medal Akademickich Mistrzostw Polski, tym bardziej w tenisie, a więc niezwykle prestiżowej dyscyplinie sportu, która w Polsce przeżywa renesans i cieszy się ogromną popularnością. Okazało się jednak, że zapowiedzi nie były przesadzone. Bracia Matuszewscy wspierani Wiktorem Przybylskim zdobyli złoty medal AMP w tenisie dla naszej uczelni. Pierwszy z wielu. Ich kariera rozwija się harmonijnie: Piotr Matuszewski w 2025 roku zagrał w turnieju głównym French Open na kortach Rolanda Garrosa w Paryżu.

Olimpijczycy z Uniwersytetu Kaliskiego

Wiosną 2022 roku do Jakuba Banasiaka zgłosił się trener Dominik Grudziński, który w Kaliskim Klubie Sportowym 1925 Kalisz prowadzi sekcję pływacką. Jego podopieczna, utalentowana pływaczka Julia Maik, właśnie zdała maturę i musiała podjąć decyzję, gdzie kontynuować naukę i karierę sportową. Dzisiaj, z perspektywy czasu, szkoleniowiec zawodniczek przyznaje, że wspólnie podjęli najlepszą decyzję. – Zastanawialiśmy się, czy nie przenieść się do Lublina, ze względu na warunki do trenowania, ponieważ w Kaliszu nie mamy basenu 50-metrowego – wspomina trener. – Rektor Uniwersytetu Kaliskiego zaproponował jednak Julii stypendium już na pierwszym roku studiów, dlatego zdecydowała się nie opuszczać miasta i podjąć studia na

pierwszym roku zarządzania. Stworzone przez uczelnię warunki były naprawdę komfortowe. Uniwersytet pokrywał nawet część kosztów



Nicola Kaczmarek jako pierwsza w historii uczelni studentka zdobyła medal Europejskich Igrzysk Akademickich

związanych z obozami przed najważniejszymi zawodami. Jechaliśmy na miesięczny obóz, by móc trenować na basenie 50-metrowym i nie martwiliśmy się, czy wystarczy nam pieniędzy na opłacenie hotelu i wynajęcie torów basenowych.

– Przekonanie Julii Maik do studiowania na Uniwersytecie Kaliskim to strzał w dziesiątkę – dodaje Jakub Banasiak. – Sportowcy z innych miast z zazdrością patrzyli nie tylko na jej osiągnięcia, ale również na warunki, które jej stworzyliśmy. I szybko okazało się, że kolejni zawodnicy chcą studiować u nas. Tak trafił na uczelnię m.in. Piotr Ludwiczak, któremu Julia opowiadała o tym, jak umiejętnie łączy pływanie ze studiowaniem. Rok później dołączyli Aleksandra Cieplak i Paweł



W 2021 roku zespół piłkarzy ręcznych ówczesnej Akademii Kaliskiej wywalczył srebrny medal Akademickich Mistrzostw Polski. W reprezentacji uczelni znaleźli się wówczas m.in.: Kamil Adamski, Artur Kłopoteg i Mateusz Wojciechowski (obecnie KPR Ostrovia), Konrad Pilutowski (obecnie MMTS Kwidzyn), Jakub Przybylski (obecnie Śląsk Wrocław), Mikołaj Przybylski (obecnie Grunwald Poznań) oraz Patryk Folsznyi (SV 04 Plauen Oberlosa – Niemcy)



Weronika Szymczak i Mateusz Kupijaj, studenci fizjoterapii, z każdych mistrzostw akademickich przywożą do Kalisza medale i tytuły

Smoliński. Ta grupa z każdej imprezy akademickiej przywozi worek medali, ale oczywiście ich głównym celem sportowym są mistrzostwa Polski, Europy, a nade wszystko Igrzyska Olimpijskie.

Julia Maik i Piotr Ludwiczak zdobyli medale na Uniwersjadzie, ale przede wszystkim wystąpili na Olimpiadzie w Paryżu i był to pierwszy taki przypadek w dziejach Uniwersytetu Kaliskiego. – Tam medalu

zdobyć się nie udało, ale wszystko przed nimi – mówi K. Banasiak. Ostatnio Julia zdobyła dwa brązowe, a Piotr srebrny medal podczas mistrzostw Europy rozgrywanych w Lublinie. Sami przyznają, że ich długofalowym celem są Igrzyska Olimpijskie w Los Angeles. – I dzisiaj wierzę im, wierzę trenerowi Grudzińskiemu, że są w stanie uzyskać kwalifikacje do tej najważniejszej sportowej imprezy – mówi pełnomocnik rektora Uniwersytetu Kaliskiego.

Sam trener Dominik Grudziński jest już pracownikiem uczelni i niebawem rozpocznie przewód doktorski, pisząc dysertację na temat, jakże by inaczej, pływania. – Prowadzę Julię Maik od początku jej przygody z pływaniem. Badania jej wydolności w ciągu tych wszystkich lat mam w komputerze. To fascynujący materiał, zatem napisanie rozprawy doktorskiej będzie dla mnie czystą przyjemnością – mówi.

Bokserzy, szczypiorniści, koszykarze

Wiele emocji, wrażeń, ale przede wszystkim medali, zdobyli dla kaliskiej uczelni bokserzy, którzy od lat stanowią silną grupę wśród studentów. – I to nie dziwi nikogo, kto zna rektora Uniwersytetu Kaliskiego, prof. Andrzeja Wojtyłę – śmieje się Jakub Banasiak. – Jeszcze w latach 70. z powodzeniem boksował na amatorskich ringach w Polsce, a później był prezesem Klubu Sportowego Proсна Kalisz, w którym sekcja bokserska miała mocną pozycję. Zawsze zależało mu na tym, aby sportowcy mieli szerokie horyzonty i przygotowywali się do życia po zakończeniu kariery. Namawiał więc swoich zawodników do nauki i dzisiaj, gdy jest rektorem, z otwartymi ramionami przyjmuje sportowców, a w szczególności bokserów. Tym sposobem na Uniwersytecie Kaliskim studiowali bądź studiują: Weronika Szymczak, Nicola Kaczmarek i Mateusz Kupijaj, Sebastian Kusz czy Olaf Pera. Pierwszych troje zapisało się w historii uczelni, zdobywając dla niej pierwsze medale Europejskich Igrzysk Akademickich. Regularnie zdobywają tytuły podczas mistrzostw Polski czy zawodów organizo-



Rektor Uniwersytetu Kaliskiego, prof. Andrzej Wojtyła, uprawiał boks, a jego syn pływanie. Dlatego cieszą go sukcesy studentów-sportowców, szczególnie bokserów i pływaków

wanych pod auspicjami Akademickiego Związku Sportowego. O nich również uczelnia dba, zapewniając podczas zawodów pomoc legendy boksu i znakomitego trenera Jerzego Radomskiego.

Ale na uczelni studiuje również zawodnicy uprawiający dyscypliny zespołowe. W Kaliszu są drużyny piłkarek i piłkarzy ręcznych oraz siatkarek, a w pobliskim Ostrowie Wielkopolskim kolejny zespół piłkarzy ręcznych i koszykarzy. Wielu zawodników korzysta z okazji, by zdobyć bądź uzupełnić wykształcenie.

– Klubom zależy, żeby jak najwięcej zawodniczek i zawodników studiowało na Uniwersytecie Kaliskim, ponieważ tym sposobem wiążą ich z regionem na kilka lat – dodaje pełnomocnik rektora ds. studentów uprawiających wyczynowo sport. – Trzy lata temu połowa ligowej drużyny piłkarek ręcznych rekrutowała się na drugi stopień studiów na kierunku zdrowie publiczne w wychowaniu fizycznym. Klub miał pewność, że wypełni dwuletni kontrakt, ponieważ wszystkie piłkarki ręczne chciały ukończyć studia w Kaliszu, gdzie miały naprawdę komfortowe warunki. I tak się właśnie stało.

Jakie kierunki wybierają studenci sportowcy?

Mogłoby się wydawać, że sportowcy decydując się na studiowanie, będą chcieli kształcić się na wychowaniu fizycznym, aby po zakończeniu kariery uczyć wf-u w szkołach, ewentualnie prowadzić treningi w klubach sportowych. Okazuje się jednak, że mniej niż połowa studentów-sportowców wybiera kierunek studiów powiązany z aktywnością fizyczną.

– Nigdy nie zapomnę pierwszej rozmowy z Miłosem Bekiszem, doskonałym piłkarzem ręcznym MKS-u Kalisz – dodaje Jakub Banasiak. – Wiedziałem, że skończył licencjat na AWF-ie i chciałem go namówić do studiowania na drugim stopniu wychowania fizycznego. Miłosz powiedział wtedy: wybieram budownictwo, bo w przyszłości zamierzam przejąć firmę taty. Gdy zaniósł oryginał świadectwa maturalnego do działu kształcenia i rekrutacji, nikt nie chciał uwierzyć, że to szczypiornista – widniały na nim niemal same piątki. Studiuje z powodzeniem do dzisiaj i jest objęty wsparciem w programie Narodowa Reprezentacja Akademicka. Damian Kulig, wybitny koszykarz i 101-krotny reprezentant Polski, studiował zarządzanie, Katarzyna Wawrzyniak, doskonała siatkarka i Łukasz Kobusiński, obecnie trener piłki ręcznej – zarządzanie i dowodzenie, i jak sami przyznają teoretyczne rozważania o poziomie strategicznym, operacyjnym i taktycznym, których doświadczali na zajęciach, przydają się w ich obecnym życiu zawodowym. – Okazało się, że teoria sztuki wojennej może mieć więcej wspólnego ze sportem, niż nam się wydaje – przyznaje Katarzyna Wawrzyniak, obecnie dyrektor zarządzający MKS-u Kalisz.

Julia Maik studiuje dietetykę, a bokserzy Wronika Szymczak i Mateusz Kupijaj fizjoterapię. – Każdy znajdzie na Uniwersytecie Kaliskim coś dla siebie – Jakub Banasiak jest pewny swego. – Oczywiście jest grupa studentów-sportowców, którzy ukończyli wychowa-

nie fizyczne, a wśród nich reprezentanci Polski w piłce ręcznej Kamil Adamski i Konrad Piliłowski. Zakończyli już studia, grają w innych miastach, ale ze szczególnym sentymentem wspominają czas studiowania i srebrny medal Akademickich Mistrzostw Polski wywalczony w Katowicach w 2021 roku. Regularnie przysyłają rektorowi wido- mości, dzieląc się swoimi sukcesami. Jestem pewien, że po zakończeniu kariery, będą doskonałymi nauczycielami wychowania fizycznego bądź trenerami.

Przykład idzie z USA

– Byłem sportowcem, więc wiem, ile wyrzeczeń kosztuje łączenie treningów z nauką – mówi prof. Andrzej Wojtyła, rektor Uniwersytetu Kaliskiego. – Wiem też jednak, że sportowcy są bardziej uporządkowani, szanują czas swój i innych, ale również zadaniowo traktują rzeczywistość. To wszystko sprawia, że paradoksalnie, mimo większych trudności, łatwiej przychodzi im studiowanie. Dodatkowo, jeśli studiuje wychowanie fizyczne czy pokrewne kierunki, gdzie mogą wykorzystać doświadczenia z kariery, będą doskonałymi fachowcami w swojej dziedzinie. Przecież człowiek, który 20 lat życia spędził na treningach, obozach przygotowawczych czy zawodach, będzie nie tylko wspaniałym wuefistą, ale również mentorem dla swoich podopiecznych. Zwrócił mi na to uwagę rektor Uniwersytetu w Georgetown, gdzie pracowałem i prowadziłem zajęcia, w których uczestniczył m.in. student z Afryki, bardzo dobry koszykarz reprezentujący uczelnię w lidze akademickiej. Rektor wskazał mi go kiedyś i powiedział, że studiując zarządzanie i grając w lidze akademickiej nabiera wyjątkowego doświadczenia, a po ukończeniu studiów będzie nie tylko kompetentnym menadżerem, ale również będzie posiadał ważne w życiu zawodowym doświadczenie. Wiem, że do dzisiaj współpracuje on z Uniwersytetem w Georgetown, ale również z zespołami z NBA, wyławiając w swoim kraju koszykarskie talenty i przysyłając zawodników do USA. Podobny model proponuję wykładowcom i studentom na Uniwersytecie Kaliskim. Staramy się maksymalnie wykorzystać zdolności i zainteresowania studentów, aby ich pasja – w tym przypadku sportowa – stała się w przyszłości ich zawodem. Jeśli to się im uda, nie spędzą ani jednego dnia w pracy, bo po prostu będą realizować swoje hobby i tym samym zarabiać na życie.

Marcin Muzyka



Piotr Matuszewski od 2022 roku reprezentuje kaliską uczelnię podczas AMP. W roku 2025 wystąpił w turnieju głównym na kortach Rolanda Garrosa



Julia Maik i Piotr Ludwiczak na początku grudnia zdobyli medale pływackich mistrzostw Europy w Lublinie. Ich długofalowym celem jest udział w Igrzyskach Olimpijskich w Los Angeles

Dlaczego polskie firmy mają problem z przekształcaniem wyników badań w realne produkty i usługi?

Dlaczego wyniki sprzedażowe decydują o sensie badań?

Choć nakłady na działalność badawczo-rozwojową w Polsce rosną, a na uczelniach powstają unikalne rozwiązania – jak opracowany na AGH sorbent do odzysku litu z solanek czy innowacyjny materiał recyklingowy z osadów ściekowych z Politechniki Rzeszowskiej – kraj nadal plasuje się nisko w europejskich rankingach innowacyjności. Widoczna jest szczególnie jedna, powtarzająca się luka: **dystans między tym, co dzieje się w laboratoriach, a tym, co trafia na rynek w postaci komercyjnych produktów i usług**. Badania naukowe generują wiedzę, wynalazki i prototypy – jednak zbyt rzadko przekształcają się one w rozwiązania, które realnie wpływają na gospodarkę.

A to właśnie zdolność do sprzedaży, wdrożenia i skalowania technologii decyduje o tym, czy badania mają znaczenie wykraczające poza środowisko akademickie. Wynik naukowy, który nie przełoży się na praktyczne zastosowanie, pozostaje potencjałem – wartościowym, ale niewykorzystanym. Nie zmienia procesów przemysłowych, nie buduje przewag firm, nie wzmacnia konkurencyjności gospodarki. Dlatego w dyskusji o innowacyjności kluczowe jest pytanie nie tylko o to, co powstaje w laboratoriach, lecz przede wszystkim, co z tych wyników potrafimy skutecznie skomercjalizować.

Największa luka kompetencyjna naukowców to ta, która decyduje o komercjalizacji

Kiedy patrzymy na to, dlaczego tak niewiele polskich rozwiązań badawczych przechodzi drogę od koncepcji do wdrożenia, problem nie leży ani w braku pomysłów, ani w jakości badań. **Największa bariera znajduje się tam, gdzie proces naukowy styka się z biznesowym – w kompetencjach wdrożeniowych naukowców**. To oni są autorami wynalazków, prototypów i patentów, ale w codziennej praktyce rzadko mają możliwość lub przygotowanie, by prowadzić te technologie dalej, do firm, inwestorów czy własnych zespołów projektowych. Część badaczy wskazuje brak czasu na działania okołobiznesowe, inni podkreślają, że po prostu nie wiedzą, jak przełożyć efekty prac B+R na język rynek-korzyść-produkt.

Aby tę sytuację uchwycić rzetelnie, Fundacja #Make Smart People Famous zrealizowała projekt

„Identyfikacja i wsparcie rozwoju kompetencji kadry naukowej w inicjowaniu i realizacji projektów B+R” w ramach programu „Nauka dla Społeczeństwa II” finansowanego przez Ministra Edukacji i Nauki. Projekt obejmował pełną triangulację badań: ilościowe CAWI wśród 386 naukowców reprezentujących zróżnicowane dyscypliny i stanowiska, CAWI wśród 500 studentów z 77 uczelni, 40 indywidualnych wywiadów pogłębionych z przedsiębiorcami oraz naukowcami z doświadczeniem w zakresie B+R oraz pięć paneli eksperckich z udziałem 20 ekspertów ze świata nauki i biznesu. Ta skala i różnorodność danych pozwoliły odtworzyć rzeczywisty obraz kompetencji i oczekiwań po obu stronach.

Wyniki wszystkich tych etapów są spójne i nie pozostawiają złudzeń: **polscy naukowcy to eksperci w swojej dziedzinie, którzy świetnie radzą sobie z komunikacją wewnątrz środowiska, ale tracą grunt pod nogami w zderzeniu z rynkiem**. W samoocenie kompetencji naukowcy bardzo wysoko ocenili swoje kompetencje miękkie – średnia 74,8 punktu na 100 możliwych – oraz umiejętność pracy w zespołach interdyscyplinarnych, która uzyskała 54,2 punktu. To solidna podstawa do współpracy i wymiany wiedzy w środowisku akademickim.

#MSPF

Wspieramy naukowców i firmy w komercjalizacji wyników prac B+R

Oferta fundacji

- Analizy rynku i konkurencji
- Mentoring wdrożeniowy
- Od makiety do MVP

Fundacja #MakeSmartPeopleFamous



Problem zaczyna się tam, gdzie kończy się nauka, a zaczyna biznes. Największe luki kompetencyjne naukowców znajdują się dokładnie tam, gdzie zaczyna się komercjalizacja. Najsłabsze oceny dotyczą umiejętności kluczowych dla wdrożeń: wiedza i umiejętności z zakresu komercjalizacji wyników badań uzyskały zaledwie 29,7 punktu – najniższy wynik w całym badaniu. Wiedza o wdrażaniu wyników na rynek została oceniona na 32,8 punktu, a pozyskiwanie finansowania i budżetowanie na 39,1 punktu. To kategorie, bez których żadna technologia nie opuści laboratorium.

Luka ta nie jest tylko kwestią subiektywnego „poczucia” naukowców – potwierdzają ją przedsiębiorcy uczestniczący w wywiadach pogłębionych. Przedstawiciele biznesu wskazywali wprost: naukowcom brakuje orientacji biznesowej. Potrafią opisać zjawisko teoretycznie, ale mają trudność z przełożeniem go na praktykę gospodarczą.

Niewystarczający poziom kompetencji wdrożeniowych prowadzi do paradoksu zdiagnozowanego w badaniu ilościowym: choć 67% naukowców uważa, że prace B+R są kluczowe dla rozwoju nauki, to ocenę realnego wpływu ich własnej pracy na rynek oszacowali na niespełna 29/100 punktu. **Naukowcy czują więc, że ich praca ma sens teoretyczny, ale nie widzą jej przełożenia na gospodarkę – właśnie przez brak narzędzi wdrożeniowych.**

Luki te mają charakter systemowy: powtarzają się niezależnie od dyscypliny, stopnia naukowego czy typu uczelni. A ponieważ dotyczą fundamentów procesu komercjalizacyjnego, to właśnie one w największym stopniu blokują przejście od badań do wdrożeń w Polsce.

Dlaczego ta luka jest tak dotkliwa

Problem staje się poważny w momencie przejścia ze sterylnego laboratorium do hali produkcyjnej. Jak trafnie zauważył jeden z badanych ekspertów: „Nikt w przemyśle nie robi tego [procesu] na odczynnikach czystych, tylko na surowcach technicznych”. To zderzenie powoduje powstanie „szklanego sufitu” skalowalności – naukowcy często traktują udany eksperyment jako gotowy produkt, nie uwzględniając, że koszt

jego masowej produkcji może przekroczyć potencjalne zyski.

Dystans zwiększa też odmienna kultura pracy. W biznesie terminowość oznacza „być albo nie być”, w nauce czas bywa pojęciem płynnym. Wniosek z badań jest jeden: **biznes nie kupuje wyśrubowanych parametrów, lecz rozwiązywanie konkretnego problemu.** Tymczasem naukowcy oceniają swoją znajomość potrzeb rynku na zaledwie 46/100 punktów. Z perspektywy biznesu ta luka oznacza ogrom niewykorzystanego potencjału współpracy. W obszarach, w których innowacje wymagają zaawansowanej wiedzy specjalistycznej, sprawne przejście od badań do rynku mogłoby znacząco skrócić czas wdrożeń, podnieść jakość rozwiązań i zwiększyć ich skalowalność. Lepsze przygotowanie naukowców do realiów biznesowych oznaczałoby dla firm możliwość szybszego sięgania po wiedzę naukową, a dla samych badaczy – więcej projektów realizowanych w logice rynkowej, zamiast pojedynczych, trudnych do powtórzenia sukcesów.

Paradoks ewaluacji – punkty ważniejsze od wdrożeń

Problem luki kompetencyjnej jest wzmacniany przez systemowe kryteria oceny dorobku, które premiuje aktywność wydawniczą kosztem realnych wdrożeń. Przeprowadzona w ramach projektu analiza regresji liniowej dostarczyła kluczowego dowodu: nie istnieje istotny statystycznie związek między liczbą publikacji w prestiżowych czasopiśmie a sukcesem rynkowym badacza. Innymi słowy, **system nagradza naukowców za działania, które nie przekładają się na innowacyjność gospodarki.**

Prowadzi to do zjawiska, które w badaniach określono mianem „zamykania drogi do komercjalizacji”. Presja na szybkie zdobywanie punktów ewaluacyjnych sprawia, że naukowcy publikują wyniki badań przedwcześnie, co w świetle prawa patentowego uniemożliwia ich późniejszą ochronę i sprzedaż. Nawet gdy dochodzi do zgłoszeń patentowych, często mają one charakter pozorny – są tworzone wyłącznie na potrzeby rankingów uczelni, bez weryfikacji ich potencjału rynkowego.

W obecnym modelu kariery innowatorzy znajdują się na straconej pozycji. Proces wdrożeniowy jest długotrwały i obciążony ryzykiem, podczas gdy publikacja artykułu daje szybki i pewny zysk w postaci punktów. Jak wskazują eksperci, **badacz poświęcający czas na współpracę z biznesem często traci w wyścigu o awans naukowy względem osób koncentrujących się wyłącznie na teorii.**

Co pokazał projekt o potrzebach naukowców

Analiza wyników uzyskanych zarówno w jakościowej, jak i ilościowej części badań ujawniła, że środowisko naukowe dzieli się na dwie wyraźne grupy o odmiennych potrzebach. Pierwsza to badacze „laboratoryjni”, którzy nie chcą być przedsiębiorcami. Są otwarci na wdrożenia, ale potrzebują profesjonalnego brokera technologii, który zdejmie z nich ciężar prowadzenia biznesu. Druga grupa to naukowcy chcący aktywnie komercjalizować, którzy jednak zderzają się z brakiem wsparcia na uczelniach. Skala tej luki jest alarmująca, nawet w przypadku przyszłej kadry badawczej – w badaniu studenci i dok-

toranci ocenili potrzebę networkingu na 73 punkty (w skali 1-100), podczas gdy wsparcie otrzymywane od uczelni ocenili zaledwie na 31 punktów.

Wspólny mianownik dla obu grup to zmęczenie teorią. Tradycyjne kursy prawne są oceniane jako nieskuteczne, czego dowodem są przywoływane przykłady szkoleń, na które z 500 zaproszonych przychodzi garstka osób. Naukowcy domagają się „narzędziownika”, wsparcia praktycznego, gotowych checklist, scenariuszy rozmów z inwestorami oraz analiz case studies – zarówno sukcesów, jak i porażek wdrożeniowych.

Największą zidentyfikowaną barierą pozostaje jednak brak wspólnego języka. Jak zostało to wielokrotnie podkreślone w badaniach, współpraca często upada, bo naukowcy i przedsiębiorcy funkcjonują w dwóch różnych porządkach rzeczywistości. Dlatego **najbardziej palącą potrzebą nie jest kolejna dawka wiedzy akademickiej, lecz obecność „tłumacza” oraz budowa „praktycznego mostu”**: mentoring przez praktyków i wizyty w zakładach produkcyjnych, które pozwalają zrozumieć realia przemysłu.

Dlaczego Fundacja wzięła ten temat na warsztat?

Fundacja #Make Smart People Famous powstała z bardzo konkretnej potrzeby: wspierania ludzi i zespołów, które tworzą wartościową wiedzę, przełomowe technologie i innowacyjne rozwiązania, ale często brakuje im narzędzi, by pokazać ten potencjał światu, przekształcić go w realne wdrożenia albo po prostu zostać zauważonymi przez odpowiednich partnerów. Na styku działalności naukowej i biznesowej działamy od 2019 roku, prowadząc szkolenia, pracując z zespołami B+R, wspierając laboratoria, inkubatory i twórców technologii w przechodzeniu od etapu pomysłu do praktycznych zastosowań. Nasze doświadczenie obejmuje doradztwo dla ponad stu startupów i przedsiębiorstw oraz realizację grantów badawczych o wartości ponad 20 milionów złotych. W tym codziennym kontakcie bardzo szybko zaczęliśmy widzieć powtarzający się schemat.

Do Fundacji trafiały zespoły z ogromnym potencjałem – świetnymi wynikami badań, znakomitymi prototypami, autorskimi metodami czy technologiami na światowym poziomie, które jednak zatrzymywały się na podobnym etapie. Mimo istnienia licznych raportów, strategii i dokumentów, realne wdrożenia nadal trudno było „przepchnąć” dalej niż prototyp. Coś ewidentnie nie działało. Rozmowy z naukowcami pokazywały, że mają kompetencje badawcze, mają wiedzę, mają motywację, ale nie mają narzędzi pozwalających przejść od języka nauki do języka biznesu. Rozmowy z przedsiębiorcami potwierdzały to samo z drugiej strony: potencjał jest, ale brakuje ludzi, którzy potrafią poprowadzić projekt przez etapy gotowości technologicznej, zabezpieczyć własność intelektualną, opowiedzieć o wartości rozwiązania i nawiązać relację z partnerami.

Zauważyliśmy również, że dotychczasowe analizy rynku skupiały się głównie na barierach po stronie biznesu, pomijając perspektywę i braki kompetencyjne samych naukowców. To właśnie te obserwacje, powtarzające się w tak wielu organizacjach i projektach skłoniły nas, aby spojrzeć na problem systemowo, a nie intuicyjnie. Jeśli mimo dużej aktywności na poziomie raportów i strategii sytuacja się nie poprawia, oznacza to, że potrzebna jest rzetelna diagnoza źródeł. Dlatego Fundacja podjęła się realizacji projektu „Identyfikacja i wsparcie rozwoju kompetencji kadry naukowej w inicjowaniu i realizacji projektów B+R” w ramach programu „Nauka dla Społeczeństwa II”. Chcieliśmy nie tylko zrozumieć, dlaczego wdrożenia nie idą tak, jak powinny, ale także zbudować rozwiązanie, które real-

nie odpowiada na potrzeby środowiska i które można faktycznie wdrożyć na uczelniach.

Jako zespół łączący kompetencje naukowców – psychologów, ekonomistów – z praktyką brokerów innowacji, zrozumieliśmy, że sama diagnoza to za mało. Naszym celem nie było stworzenie kolejnego raportu „do szuflady”. **Konsekwencją diagnozy było stworzenie programu rozwojowego**, który krok po kroku prowadzi naukowców przez proces komercjalizacji i współpracy z biznesem. Program powstał w ramach projektu, ale wyrasta z naszego doświadczenia – zarówno badawczego, jak i biznesowego. Jest spójny z misją Fundacji: sprawiać, by wartościowe projekty były nie tylko widoczne, ale gotowe do wejścia na rynek i konkurowania na nim.

Jak wygląda realne wsparcie? (dzielimy się tym, co działą)

W naszej codziennej pracy z zespołami badawczymi widzimy, że skuteczne wsparcie nie polega na dostarczaniu kolejnych teoretycznych poradników, ale na dostarczeniu „narzędziownika”, który pozwala bezpiecznie przejść z laboratorium na rynek. Dlatego Fundacja #Make Smart People Famous skupia się na działaniach, które wynikają z wieloletniej praktyki pracy ze startupami i naukowcami:

Warsztaty z komercjalizacji i oceny gotowości (TRL)

Nie uczymy teorii zarządzania, lecz konkretów niezbędnym badaczowi. Bazując na doświadczeniach z programów takich jak „Future Leader”, prowadzimy warsztaty, które pozwalają naukowcom samodzielnie ocenić poziom gotowości technologicznej (TRL) swojego rozwiązania oraz zrozumieć mechanizmy ochrony własności intelektualnej przed publikacją naukową. Uczymy, jak przygotować ofertę, która nie jest opisem technicznym, lecz propozycją wartości dla inwestora.

Mentoring wdrożeniowy i walidacja rynkowa (data-driven)

Odchodzimy od podejmowania decyzji „na intuicję”. Oferujemy wsparcie oparte na twardych danych, wykorzystując m.in. autorskie narzędzia AI do analizy potencjału rynkowego i badania konkurencji. Pomagamy zespołom zweryfikować, czy ich pomysł ma rację bytu rynkowego, zanim wydadzą środki na wdrożenie. Opracowujemy wspólnie modele biznesowe i strategię wejścia na rynek, testując je na realnych grupach odbiorców.

Od makiety do MVP (wsparcie technologiczne)

Dla zespołów rozwijających rozwiązania cyfrowe oferujemy coś więcej niż doradztwo – pomoc w wytworzeniu produktu. W ramach naszych procesów inkubacyjnych przeprowadzamy zespoły przez projektowanie funkcjonalne, testy użyteczności (UX/UI) z potencjalnymi klientami, aż po zaprogramowanie i wdrożenie minimalnej wersji produktu (MVP). Dzięki temu naukowcy nie zostają z „papierową koncepcją”, lecz otrzymują działający prototyp gotowy do prezentacji inwestorskiej.

Platforma współpracy i networking

Odpowiedzią na barierę komunikacyjną jest tworzona w ramach projektu platforma webowa, która służy do bezpośredniego kojarzenia naukowców z partnerami biznesowymi. To cyfrowe narzędzie uzupełniamy działaniami „w terenie” – budowaniem sieci kontaktów i łączeniem twórców technologii z inwestorami oraz instytucjami otoczenia biznesu, co pozwala przełamać izolację środowiska akademickiego.

Zmiany na podium Ligi Akademickiej AZS

Oprawa godna ligi mistrzów, zacięta sportowa rywalizacja i tylko jeden obroniony tytuł – tak w skrócie przebiegała druga odsłona Ligi Akademickiej AZS. Finałowe zawody rozegrane zostały od 11 do 14 grudnia w Krakowie.

Chętnych do startu w finale Ligi Akademickiej Akademickiego Związku Sportowego było wielu, ale w piłce ręcznej, siatkówce, koszykówce czy hokeju czekały tylko po cztery wolne miejsca. Bilety do Krakowa wywalczyć mogli zwycięzcy rund eliminacyjnych rozgrywanych na przełomie października i listopada. Nieco więcej ekip awansowało do finału pływania, które tu nabrało drużynowego charakteru. Do drugiego sezonu ligowych zmagani studentów przystąpiły 53 szkoły wyższe, które wystawiły łącznie 142 drużyny. Wszystko dlatego, że uczelnie rzadko kiedy ograniczały się do udziału w jednej dyscyplinie. W Lidze Akademickiej AZS mogli brać studenci i studentki do 25 roku życia będący też członkami Akademickiego Związku Sportowego.

Wszystkie sporty drużynowe rozgrywane były w nowoczesnej hali Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Natomiast w pływaniu rywalizowano na basenie Akademii Kultury Fizycznej w Krakowie. Obiekty te zmieniły swoje oblicze i trudno było je poznać nawet miejscowym studentom-sportowcom, a dominującym kolorem stała się zieleń. Wyjątkowej atmosfery zawodom dodawały prezentacje zawodników i zawodniczek połączone z wyświetlaniem ich zdjęć. Nie brakowało też efektów świetlnych i dymnych, ale najważniejsze, że prawdziwego ognia dali sami sportowcy.

– Atmosfera zawodów jest wspaniała, mamy tu wsparcie swoich kibiców i atut parkietu, choć tak naprawdę hala jest nie do poznania. Został rozłożony teraflex, wszędzie są kamery, banery i oświetlenie. Poziom organizacyjny jest wysoki i naprawdę fajnie jest brać udział w takim wydarzeniu – mówił Krzysztof Sala, siatkarz AZS AGH Kraków.

W Krakowie do wygrania było osiem złotych medali. Jak się okazało, żadna z uczelni nie zdominowała ligowej rywalizacji i nagrody za pierwsze miejsca trafiły do ośmiu różnych ośrodków akademickich.

Zmagania Akademickiej Ligi AZS rozpoczęli pływacy. Chociaż po trzech etapach eliminacyjnych prowadzili obrońcy tytułu z AZS Uniwersytetu Warszawskiego, to wszystko miało się rozstrzygnąć w finale, bo punkty liczyły się od nowa. Dobra postawa Mateusza Chowańca, Gabrieli Król czy też Dominika Dudysa z AZS AWF Katowice sprawiła, że złoto pojechało do Katowic. Srebrny medal wywalczył AZS Uniwersytetu Warszawskiego, a brąz AZS AWF Warszawa.

Tylko piłkarki ręczne AZS Uniwersytetu Radomskiego powtórzyły sukces z ubiegłego roku, broniąc swoje trofeum. Zresztą, tak jak przed rokiem, wygrywając w finale z AZS AWF Warszawa 32:26. Natomiast w turnieju piłki ręcznej mężczyzn złoty medal wywalczyli gospodarze, czyli drużyna AGH Kraków, którzy w decydującym meczu pokona-

Liga Akademicka AZS 2025 – klasyfikacje:

- **pływanie:** 1. AZS AWF Katowice 2. AZS UW Warszawa 3. AZS AWF Warszawa 4. AZS UMCS Lublin 5. AZS AWFis Gdańsk 6. AZS AGH Kraków 7. AZS PW Warszawa 8. AZS AWF Wrocław
- **koszykówka kobiet:** 1. AZS WSG Bydgoszcz 2. AZS UW Warszawa 3. AZS AWF Katowice 4. AZS PK Kraków
- **koszykówka mężczyzn:** 1. AZS AMW Gdynia 2. AZS PO Opole 3. AZS AWF Warszawa 4. AZS PW Warszawa
- **piłka ręczna mężczyzn:** 1. AZS AGH Kraków 2. AZS UMCS Lublin 3. AZS UKW Bydgoszcz 4. AZS UZ Zielona Góra
- **piłka ręczna kobiet:** 1. AZS UR Radom 2. AZS AWF Warszawa 3. AZS AKF Kraków 4. AZS AWF Katowice
- **piłka siatkowa kobiet:** 1. AZS UG Gdańsk 2. AZS UBB Bielsko-Biała 3. AZS AGH Kraków 4. AZS UKW Bydgoszcz
- **piłka siatkowa mężczyzn:** 1. AZS MANS Warszawa 2. AZS AKF Kraków 3. AZS AGH Kraków 4. AZS UWM Olsztyn
- **Hokej:** 1. AZS MUP Oświęcim 2. AZS UO Opole 3. AZS AWF Katowice 4. AZS UG Gdańsk

nali AZS UMCS Lublin 32:18. Najlepszych w tej konkurencji dekorował i nagrody wręczał Sławomir Szał, legendarny bramkarz, a obecnie prezes Związku Piłki Ręcznej w Polsce.

– Od początku prowadziliśmy w tym spotkaniu. Oczywiście były momenty, gdy AZS AWF nas gonił, ale na szczęście miałyśmy w miarę bezpieczną przewagę, tak że mogłyśmy rotować składem i utrzymać korzystny wynik aż do końca meczu. Znamy się z różnego rodzaju rozgrywek, z niektórymi dziewczynami jeszcze od czasów juniorek i trudno tu było czymś zaskoczyć którąkolwiek z drużyn. Przyjechałyśmy tu wykonać zadanie, ale bardzo fajnie gra się na takich obiektach i w tak pięknej hali. Wierzę, że za rok też będziemy walczyć o złoty medal – oceniła Matylda Mielewczyk z AZS Uniwersytetu Radomskiego.

Bliskie obronienia złotego medalu były koszykarki AZS Uniwersytetu Warszawskiego, które w finale dopiero po dogrywce przegrały z AZS Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy (54:58). Warto dodać, że Bydgoszczanek nie było w zeszłym roku w gronie finalistek, tym cenniejsze jest dla nich zwycięstwo. Dużych emocji nie brakowało też w finale koszykówki mężczyzn. Chociaż w meczu z AZS Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni przez ponad trzy kwarty prowadzili



Fot. Michał Waliszka



Fot. Michał Waliszka





Fot. Michał Wólusza

zawodnicy AZS Politechniki Opolskiej, to ostatecznie z triumfu cieszyli się marynarze, wygrywając 66:55.

– Spotkanie było bardzo długie i ciężkie, ale udało się nam dojść do dogrywki. Przewaga zmieniała się raz w jedną raz w drugą stronę i walczyliśmy jak równy z równym. W dogrywce wyszarpałyśmy zwycięstwo i pokazałyśmy, że potrafimy zespołowo walczyć o każdą piłkę. To był zdecydowanie nasz najtrudniejszy mecz, bo nie graliśmy tu w Lidze AZS żadnej dogrywki – mówiła Lena Uziąło z AZS WSG Bydgoszcz.

Siatkarski pojedynek między AGH Kraków i Menedżerską Akademią Nauk Stosowanych z Warszawy był rewanżem za ubiegłoroczny finał mężczyzn. Szkoda, że doszło do niego już w półfinale i po zwycięstwie w walce godnej meczu o złoto lepsi okazali się „menedżerowie”, wygrywając 3:2. W finale MANS pokonał AKF Kraków 3:1. Natomiast w finale kobiet AZS Uniwersytetu Gdańskiego pokonał 3:0 AZS Uniwersytetu Bielsko-Bialskiego. Warto dodać, że Gdańszczanki w całej Lidze Akademickiej AZS, licząc też eliminacje, straciły tylko dwa sety. W drodze powrotnej do domów miały kilka godzin na świętowanie.

– Jest to cudowne przeżycie i też cudowne wspomnienia z tego turnieju zostaną. Bardzo się cieszę, bo zrobiliśmy to wspólnie jako

drużyna. Dla każdej z nas zwycięstwo jest tak samo cenne. Myślę, że będziemy się cieszyły z niego jeszcze przez kilka dni, jeśli nie tygodni – powiedziała z uśmiechem Justyna Bąk z AZS UG.

W hokeju w meczu o złoto zmierzyły się dwie najlepsze drużyny po rundzie zasadniczej: AZS Małopolska Uczelnia Państwowa w Oświęcimiu i AZS Uniwersytetu Opolskiego. W decydującej rywalizacji rozgrywanej na lodowisku Cracovii padł wynik 4:2 dla Oświęcimian.

Druga edycja Ligi Akademickiej AZS przeszła do historii. Nie ma jednak zbyt wiele czasu na wspomnianie, bo większość uczestników rywalizuje w ligach środowiskowych lub gra w klubach w ligach ogólnopolskich. Niebawem wystartuje też kolejny sezon Akademickich Mistrzostw Polski. Wszyscy mają nadzieję, że za rok znowu spotkają się w Krakowie na jedynym takim finale w Polsce. Natomiast ci, którzy jeszcze nie spróbowali swoich sił w tej sportowej akademickiej walce dostali mocny argument, że warto podjąć rękawicę.

Robert Zakrzewski

Liga Akademicka AZS organizowana była przez Akademicki Związek Sportowy. Projekt był współfinansowany przez Ministerstwo Sportu i Turystyki.



Fot. Kamili Rójek



Fot. Kamili Rójek

Rozmowa z prof. Krzysztofem Pyrciem, prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

„Nowe gwiazdy znajdziemy na niebie”

W polskiej nauce mamy znacznie więcej dobrych naukowców, niż nam się wydaje. Problemem jest to, że wielu z nich jest bardzo wypalonych zawodowo. Nie poradzili sobie z systemem, z niedofinansowaniem, z walką o papier i ołówki.

Magisterium z biologii, doktorat z nauk medycznych, habilitacja z mikrobiologii. Kim pan właściwie jest?

Mam doktorat w zakresie nauk medycznych, gdyż zrobiłem doktorat w szpitalu w Amsterdamie, natomiast nie jestem lekarzem, pacjentów nie leczę. Jestem biologiem molekularnym z wykształcenia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Natomiast habilitację robiłem w Łodzi, ponieważ był to wtedy jedyny wydział w Polsce, na którym mogłem zrobić habilitację w zakresie mikrobiologii.

Jak to jest w ogóle z mikrobiologią, skoro nie ma takiej dyscypliny naukowej w Polsce?

Mikrobiologia należy do nauk biologicznych, jest tak jak biochemia czy biofizyka. Wirusologia jest klasyfikowana właśnie w ramach mikrobiologii, jednak jest to produkt nieco niszowy. W praktyce te podziały to tylko nazwy, wszystko się pokrywa i przeplata. Nie jestem biochemikiem, ale bardzo często stosuję metodologię biochemiczną.

Czy wyjazd za granicę były istotne dla pana kariery i dlaczego?

Absolutnie tak i to z kilku powodów. Pierwszy był taki, że kiedy studiowałem na przełomie wieków, nauka w Polsce stała słabo. Nie mieliśmy jeszcze NCN-u, nie mieliśmy NCBR-u, nie mieliśmy spójnego systemu finansowania, to wszystko się rodziło w bólach, dopiero pojawiało się rozumienie, czym współczesna nauka jest. Rynek naukowy w Polsce był bardzo ograniczony. Powiem szczerze, kiedy byłem na studiach, byłem przekonany, że nie zostanę na uczelni, bo nie widziałem tam realnych szans na rozwój. Myślałem raczej o przemyśle, bo tam jest życie, tam jest energia.

I co się stało, że pan został na uczelni?

Właściwie nie zostałem. Wtedy wyjechałem do Holandii i zobaczyłem jak bardzo ten świat jest ciekawy. Nie w Polsce, a dopiero w Holandii. Myślę, że teraz już to widać także w Polsce, to już jest u nas. Natomiast wtedy nie było, przynajmniej w mojej optyce, realnych szans na rozwój, ducha odkrywcy nie czuło się aż tak bardzo.

To jest raptem 20 lat, bardzo krótki okres.

To jest bardzo krótki dystans, ale nie zapominajmy, że Polska 35 lat temu była bankrutem. Dopiero wchodziliśmy w transformację. Fundacja jest poniekąd jej dzieckiem – w przyszłym roku będziemy świętować trzydziestopięciolecie. Minęło raptem 20 lat od moich studiów, a mam wrażenie, że to cała wieczność. Pamiętam jak mieszkalem za granicą i za każdym razem gdy przyjeżdżałem do Polski, widziałem jak się zmienia dosłownie w oczach, czego ludzie mieszkający tu stale tak wyraźnie nie dostrzegali. W stosunkowo krótkim czasie przeszliśmy bardzo długą drogę.

Czy nauka także?

Tak, było to widoczne w nauce. Pamiętam, jak wróciłem do Polski pod koniec 2007 roku: jeszcze nie było NCN-u, jeszcze było trochę przaśnie, ale później naprawdę podgoniliśmy i teraz naprawdę nie jest źle. Po pierwsze mamy infrastrukturę, ośmielę się powiedzieć, lepszą niż w wielu laboratoriach zachodnich.

Dlaczego w takim razie nie mamy lepszych wyników?

Do tego zaraz dojdziemy... Mamy naprawdę świetnych ludzi, którzy robią naukę na światowym poziomie. Tych naprawdę wybitnych mamy garstkę, ale mamy. I mamy system – i tu moim zdaniem jest chyba ten problem, o którym pan mówił – który nie promuje realnej wartości. W biznesie może jest dużo złych rzeczy, ale tam jest bardzo dobry regulator, który nazywa się rynek. Natomiast działalność naukowa jest tak rozciągnięta w czasie, że od badań podstawowych do wejścia na rynek mogą minąć dziesięciolecia. Musimy zatem posługiwać się jakimiś punktami pośrednimi, chociażby ewaluacją jednostek naukowych, czyli definicją, która precyzuje, co to znaczy dobra nauka. Musimy wiedzieć, co to znaczy, że ktoś jest doktorem, ktoś ma habilitację, a ktoś jest profesorem. Pamiętam jak dzisiaj: gdy zrobiłem habilitację, jeden z profesorów do mnie przyszedł i powiedział: „Panie Krzysztofie, teraz to pan już nic nie musi”. Byłem zszokowany, bo dla mnie to był dopiero początek, jakieś zobowiązanie, które mówi: „Teraz to właśnie musisz”. Nasz model uprawiania nauki powinien być inny, powinien promować jakość. Tymczasem zbyt łatwo jest w tym systemie przeżyć byle co.



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasfiska/Archiwum FNP

A co nazwiemy jakością?

Jeżeli jakością nazwiemy to, co teraz, czyli liczbę publikacji, zgłoszeń patentowych, awansów czy wartość funduszy, które się z przemysłu przyniosło na uczelnię, to nie będzie dobrze – to są kryteria, które stosunkowo łatwo można oszukać. Widać to choćby w historiach z „papierniami”. To wszystko nie musi i zwykle nie przekłada się na wartość długoterminową, nie tworzy nowej wiedzy, nowej jakości. Przyznam, że byłem zwolennikiem oceny punktowej, czyli uwzględniania wskaźnika Hirscha, tzn. liczby cytowań, bo faktycznie to jest rezultat uprawiania dobrej nauki. Jeżeli ktoś jest dobrym naukowcem, to będzie dobrze publikował, będzie miał dużo cytowań, a jeżeli potrafi komercjalizować – bo nie każdy musi umieć to robić – to będzie również miał patenty, a może i jakieś pieniądze z tytułu sprzedaży własności intelektualnej. Problem pojawia się w momencie, gdy efekty działania – czyli jakieś mierniki, na ile ktoś sobie radzi – dajemy na szczyt piramidy wartości i mówimy komuś: „Słuchaj, celem twojego istnienia jest zdobycie publikacji albo zdobycie cytowań”. Naukowcy to są naprawdę w większości bardzo mądrzy ludzie i jeżeli im się da takie zadanie, to oni je spełniają.

Uderzyło mnie pana stanowcze sformułowanie, że nie warto finansować słabej nauki.

Rozumiem to bardzo stanowczo. Nauka to jest pewien przywilej. Ma ona swoje blaski i cienie, ale to jest jeden z nielicznych zawodów, gdzie de facto można realizować swoje fantazje. Moja praca polega dosłownie na wymyślaniu rzeczy i sprawianiu, że „słowo staje się ciałem”. Oczywiście, później następuje weryfikacja tego, co wymyśliłem. To niesamowite, że my, naukowcy cały czas możemy być Kolumbami. Mogę odkrywać świat, realizować swoje marzenia z dzieciństwa. Nam się może wydawać, że rozumiemy ludzkie ciało, ale naprawdę mamy gigantyczną drogę do zrobienia zanim zrozumiemy wszystko, co się dzieje. Chociażby choroby bardzo wyraźnie mówią o tym, jak bardzo

Prof. **Krzysztof Pyrc** (ur. w 1979 r.) jest wirusologiem, twórcą i kierownikiem Pracowni Wirusologii w Małopolskim Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest liderem grupy badawczej Virogenetics i twórcą pierwszego w Polsce laboratorium badawczego klasy BSL3+. Prowadzi badania, których celem jest zrozumienie interakcji pomiędzy wirusem a gospodarzem. Opublikował ponad 140 prac, które były cytowane ponad 12 tysięcy razy. Kierował wieloma grantami badawczymi, m.in. w programie Horyzont2020, IMI2, European Cooperation in Science and Technology, Narodowego Centrum Nauki, Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a także finansowanymi przez podmioty komercyjne. Pełni funkcję doradcy na poziomie Komisji Europejskiej oraz Ministerstwa Zdrowia, a w przeszłości był zaangażowany w ciała doradcze samorządów lokalnych, Ministerstwa Nauki, Premiera i Prezydenta RP. Jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Należy do: American Society for Virology (ASV), European Society for Virology (EuSV), Stowarzyszenia Stypendystów POLITYKI, Polskiego Towarzystwa Wirusologicznego, Polskiego Towarzystwa Biologii Komórki. Od 2025 roku jest prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, a wcześniej był laureatem programów FNP START i POWROTY/HOMING.

bezradni stajemy wobec świata. Dla mnie to jest nie tylko przywilej, że mogę być w tym miejscu, ale też zobowiązanie, dlatego, że moja praca jest finansowana z pieniędzy publicznych, zatem jeżeli coś robię, to powinienem to robić dobrze. To nie znaczy, że zawsze wychodzi. Praca naukowca jest często serią porażek. Jesteśmy cały czas sprawdzani, oceniani.

Już w dzieciństwie marzył pan o prowadzeniu badań?

Od dziecka lubiłem różnego rodzaju wyzwania techniczne, konstruktorskie, bardzo lubiłem chemię. Myślałem, że to wzięło się stąd, że moja mama jest chemikiem i widziałem chemię w formie eksperymentalnej. To ona zaszczepiła we mnie cie-

kawość tego, jak to działa. Właściwie całą chemię opanowałem nie ucząc się wzorów.

Wróć do finansowania nauki. Rozwijamy się szybciej niż podnosimy nakłady na naukę. Dlaczego nie warto finansować regionalnych uczelni?

To zależy, co te regionalne uczelnie mają robić. Bo jeżeli mówimy o edukacji, to jest ona potrzebna również na poziomie regionalnym. Natomiast jeżeli mówimy o centrach badawczych i badaniach naukowych, to musimy pamiętać o bardzo ważnej rzeczy: zmienia się podejście Unii Europejskiej do finansowania innowacji i do finansowania krajów członkowskich. W tym momencie duża część środków wpływa do Polski jako fundusze strukturalne, które są dystrybuowane między innymi przez Fundację, ale też przez NCBR i przez różne organizacje. One trafiają do polskiej nauki, ale też, zapewne w większości, do polskich przedsiębiorstw. Natomiast w nowej unijnej perspektywie finansowej środki będą wpływały do dużego worka, który nazywa się Fundusz Konkurencyjności, a innowacyjne podmioty, czy to firmy, czy uniwersytety, będą musiały konkurować już nie na poziomie Polski, tylko na poziomie Europy. To rodzi bardzo poważne zagrożenie, że możemy tej konkurencji nie wygrać. Szanse będą miały tylko te ośrodki, które będą w stanie pokazać na poziomie Unii, że w Krakowie jesteśmy świetni w biotechnologii, a Warszawa jest świetna w fizyce kwantowej. Tu są te centra, tu się to życie toczy, ludzie z Berlina, z Paryża przyjeżdżają tutaj, żeby zobaczyć Cutting Edge Science.

A co zrobić z tymi, którzy nie są na szpicy, którzy nie są najlepsi? Czy ich należy zwolnić?

Trochę przewrotnie odpowiedziałem, że za chwilę świat może nam pokazać, że potrzebujemy tych najmocniejszych. Natomiast mam takie doświadczenie, że w polskiej nauce mamy znacznie więcej dobrych naukowców, niż nam się wydaje. Problemem jest to, że wielu z nich jest bardzo wypalonych zawodowo. Nie poradzi sobie z systemem, z niedofinansowaniem, z walką o papier i ołówki. Mam taką myśl, że będziemy teraz finansowali najlepszych, którzy naprawdę nie tyle dowożą punkty w postaci publikacji w czasopiśmie, tylko takich, którzy są w stanie w tym stworzyć realną wartość. Za to ich docenimy.

Co to jest realna wartość?

To jest przełom. To bardzo cienka linia pomiędzy robieniem czegoś, co prawdopodobnie trywialne, od tego, co naprawdę ważne; linia, która oddziela porażkę od sukcesu. Na granicy porażki prowadzone są badania przełomowe, które rzeczywiście coś wnoszą do poznania świata. Jeżeli pisząc dzisiaj grant, który dostanę za rok (jeżeli dostanę), wiem, co zrobię za trzy albo za pięć lat, to nie powinniśmy takiego projektu finansować, bo to znaczy, że to nie jest nauka. To jest produkcja wyników, niewiele różniącą się od produkcji betonu albo drukowania ulotek. Tu nie ma żadnego przełomu. Projekt powinien mieć wpisane ryzyko porażki w swoje DNA czy ekosystem. Projekt naukowy powinien być absolutnie nowy, powinien zakładać, że efekt będzie zupełnie gdzie indziej niż początek, że początkowe założenia oczywiście muszą być, ale to rzeczywistość badawcza powinna nas prowadzić.

Czy panu się udało takie badania robić w Polsce?

Tak. Zawsze wierzyłem, że nie mogę zakładać, jakie wyniki osiągnę, więc jeżeli uzyskiwane wyniki kierują mnie w bok od założeń, to pójść za tymi wynikami, a nie za planem, bo to będzie zgodne z duchem tego, co miałem zrobić. I do tej pory zawsze udawało się wszystkim te projekty zrealizować, raporty

zostały zaakceptowane. Nie jestem naukowcem po to, żeby realizować harmonogramy, tylko żeby odkrywać rzeczywistość. System grantowy powinien zakładać możliwość porażki, ale i możliwość korekty planów.

Ile osób w Polsce robi badania, które właśnie z punktu widzenia rozliczalności nie mają sensu, a mają sens z punktu widzenia przełomu naukowego?

Z pewnością mniejszość.

A na świecie jest inaczej?

Nie chcę się biczować jako Polak, że my mamy najgorzej na świecie. Są jednak takie agencje na świecie, które faktycznie finansują tylko przełomową naukę. Jest DARPA, która też ma swoje złe strony, czasami przesadza z wymogami administracyjnymi, ale generalnie skupia się na wyniku. Jest teraz w Niemczech eksperyment SPRIN-D, czyli organizacja, która ma właśnie finansować wyłącznie przełomowe badania. Mamy organizację globalną, czyli Human Frontiers, która finansuje wyłącznie pomysły, które mają być przełomowe – warunkiem przyjęcia wniosku jest to, że pomysł ma być przełomowy, bo nie warto finansować czegoś, co się na pewno uda. Powinniśmy finansować rzeczy, które się prawdopodobnie nie udać, ale jak się udać, to będzie to coś ważnego. Myślę, że jako naukowcy mamy do tego kompetencje. Jestem zwolennikiem tego, żeby jako recenzentów zatrudniać naukowców z innych krajów niż ten, w którym program jest realizowany. Nie dlatego, że w Polsce nie ma dobrych recenzentów, ale dlatego, że nasze środowisko jest na tyle małe, że wszyscy się znamy.

Czy w naszej sytuacji dodanie środków, np. do poziomu średniej europejskiej, czyli 2,2 proc. PKB, zmieniłoby radykalnie sytuację nauki?

To jest groźne pytanie, dlatego że zawiera w sobie pułapkę. Polska nauka naprawdę jest niedofinansowana i powinna mieć więcej funduszy. Ale Polska nauka jest nie tylko biedna, ale również chora. W związku z czym tak po prostu dodanie pieniędzy bez zastanowienia sprawiłoby, że zostałyby rozsmarowane równą warstwą i poza zubożeniem naszych podatników nie doprowadziłyby to do dużej zmiany. Jestem zdania, że finansowanie nauki powinno się opierać na dwóch filarach. Jednym są subwencje, a drugim finansowanie konkurencyjne. Subwencje po to, żeby utrzymać aparaturę naukową, żeby utrzymać stabilność, potencjał, a finansowanie konkurencyjne po to, żeby promować jakość i finansować najlepszych. Ważne jest, żeby zachować równowagę, a teraz ciężar finansowania jest przesunięty zdecydowanie w kierunku subwencji. Zatem tym czego teraz potrzebujemy, jest przesunięcie w kierunku konkurencyjności. Ale pieniędzy jest tak mało, że te subwencje ledwie wystarczają. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bezrefleksyjne dosypanie pieniędzy prawdopodobnie zwiększyłoby jeszcze bardziej subwencje, ale nie doprowadziłyby do efektu zmiany w naszej nauce. Kiedy widzę, że młody badacz pracuje za minimalną krajową, to mi się krew burzy. Zwiększenie finansowania chociaż chwilowo mogłoby poprawić sytuację naukowców, instytucji naukowych, ale długoterminowo mogłoby nam zaszkodzić, o ile nie towarzyszyłyby mu znaczące zmiany w sposobie uprawiania badań, w organizacji nauki, ale też uzyskiwanie takich wyników, żeby społeczeństwo naprawdę poczuło, że nauka ma wpływ na jego funkcjonowanie, że przynosi dobre rezultaty, poprawia jakość życia. Ważne jest to, żeby ludzie rozumieli, dlaczego warto finansować naukę. Myślę, że w Polsce jest bardzo duży głód jakości naukowej. Jako Polacy chcemy być dumni z naszych naukowców, chcemy, żeby robili przełomowe badania. Jesteśmy dumni, gdy ktoś opublikuje artykuł w „Nature”. Jeżeli byśmy jako naukowcy

dali społeczeństwu więcej powodów do dumy, to nie musielibyśmy myśleć o monetyzacji naszych wyników, bo gdyby ludzie widzieli, że jesteśmy szanowani na świecie, to i oni by nas szanowali. Badania podstawowe to badania eksploracyjne, które budują naszą przyszłość za dekadę czy dwie. Jednak to właśnie te badania stymulują gospodarkę i tworzenie biznesu opartego na wiedzy i innowacyjne startupy. Aby coś komercjalizować, najpierw trzeba to odkryć – to jest ta wtórna monetyzacja, która realnie doprowadza do wzrostu. Moim zdaniem nauka jest jedynym motorem przejścia z etapu rozbudowy innowacji zrobionych gdzie indziej, czyli poprawy zagranicznej myśli technicznej, jak to było za czasów sowieckich, do etapu, kiedy tworzymy nowe rzeczy, które stymulują rozwój gospodarki, poprawiają los ludzi. Chciałbym, żeby wiedza o naszych wynalazkach, które da się wdrożyć, rozpyływała się na cały świat, żebym w Japonii słyszał: „Słuchajcie, mamy taką nową technologię, ona jest z Warszawy”. Chciałbym pojechać na uniwersytet w Tokio i tam usłyszeć, że „to jest technologia, którą opracowali Polacy, oni teraz na niej budują, mają nadzieję stworzyć na tym przemysł”.

Zaniepokoił mnie pan informacją o nowym sposobie rozdziału funduszy europejskich, bo już teraz mamy problem z odzyskaniem krajowego wkładu do europejskiego budżetu nauki. Te kilka miliardów złotych z naszego wkładu do budżetu unijnego, a z pewnością te 4 miliardy, o których dodanie nauce apelują do władz państwowych środowiska akademickie, zasila w tej chwili naukę niemiecką czy francuską.

Rzeczywiście nie odzyskujemy środków z samych badawczych programów UE, jednak en masse odzyskujemy nasz wkład do budżetu Unii. Nawet instytucje naukowe uzyskują te pieniądze, ale w postaci finansowania projektów strukturalnych. To jest jednak dla mnie bardzo niepokojący sygnał. Musimy się pozbyć i skutecznie walczyć o unijne środki na badania i rozwój. Nie tylko nauka, ale także innowacyjne przedsiębiorstwa. W nowym mega funduszu środków strukturalnych środki nie muszą być przeznaczone na naukę ani na innowacje w ogóle. De facto rząd dostanie worek pieniędzy i ma je rozdysponować zgodnie z ogólnymi zasadami. Czy polski rząd zdecyduje się finansować innowacje i naukę z tych funduszy, czy przeznaczy je na przykład na rolnictwo lub na wsparcie branży drobiarskiej? Mam nadzieję, że to pierwsze, żeby za parę lat nie okazało się, że jesteśmy spichlerzem i żywicielem Europy, a pozostałe kraje tworzą innowacje i zarabiają pieniądze. Od 2030 roku również programy wideningowe będą uzależnione od tego, jak państwa radzą sobie z inwestycjami w B+R. W ciągu 35 lat byliśmy w stanie wyjść z poziomu bankruta do poziomu szóstej gospodarki unijnej i dwudziestej gospodarki światowej. Czy w tej sytuacji naprawdę nie możemy mieć ambicji, żeby pójść dalej? Ja osobiście mam ambicje, żebyśmy zawalczyli o coś więcej.

Czy i co charakterystycznego pan zauważył, co pana ujęło, kiedy dostał pan granty od Fundacji na rzecz Nauki Polskiej?

Po pierwsze, dzięki fundacji wróciłem do Polski. Nie dlatego, że to były pieniądze... Chociaż to jest zabawna historia, którą pamiętam do tej pory: po powrocie dostałem pół etatu asystenta. Wracając z zachodniego kraju, gdzie miałem naprawdę dobrą pensję, dostałem w Polsce pensję w wysokości 472 zł. Żona mi musiała kupić laptopa, bo nie miałem na czym pracować i musiałem pożyczyć pieniądze, żeby dojeżdżać do pracy, bo mi na paliwo nie wystarczało. No, ale teraz jest zupełnie inaczej. Nie doceniamy tego, ale Polska dzisiaj to zupełnie inny świat. Narzekajmy, żeby było lepiej, narzekajmy, bo samozadowolenie nigdy nie jest dobre, mając jednak świadomość, jak daleko zaszliśmy.

Czy wtedy zwrócił pan uwagę na to, jak działa fundacja?

Pieniądze, które Fundacja wtedy mi dała w stypendiach czy w grantach, nie były najważniejsze. Najważniejsze było to, że Fundacja to jest taka latarnia, która pokazuje, że komuś zależy na jakości, na tym, żeby Polska faktycznie była miejscem, gdzie chce się zostać. I powiem szczerze, to był wtedy najmocniejszy punkt w świecie polskiej nauki, który jest tak obezwładniający dla kogoś, kto przyjeżdża z Zachodu i nie rozumie realiów polskich, tej całej hierarchiczności, tytułomanii. Wróciłem ze Stanów, gdzie z profesorem szło się po prostu na piwo. I to było normalne. Samo zetknięcie z naszym światem było po prostu przygnębiające i bardzo trudne. Jednak powrotu nie żałuję. Jesteśmy już w innym miejscu, mamy swoje kłopoty, ale mamy też jasne punkty, gdzie jest normalnie i teraz to nie jest jedynie Fundacja. One dają nadzieję, że wkrótce wszędzie będzie normalnie. Tu liczy się jakość, procedury dotyczą nie tego, gdzie człowiek zasiada, tylko kim człowiek jest i co chce zrobić.

Dlaczego pan się zdecydował kandydować na stanowisko prezesa FNP?

Na szczęście mam zaszczyt pracować ze wspaniałymi ludźmi w Krakowie, z zespołem, który daje mi nadzieję na to, że uda mi się utrzymać kontakt z nauką. Oczywiście, w wersji znacznie bardziej ograniczonej niż to było do tej pory. Miałem, że tak powiem, trzy etaty w nauce. Teraz to się zmienia, proporcja się odwróci, bo jednak muszę większość czasu spędzić skupiając się na pracy w i dla Fundacji. Jeżeli pan pyta dlaczego, to odpowiem z poziomu naukowca, który przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej w Polsce i poza Polską: bo potrzebujemy zmiany w nauce. Potrzebujemy, żeby ktoś mówił, jak jest, a jak powinno być, żeby praca naukowa nie była źródłem wypalenia, ale satysfakcji i sukcesu. Fundacja to jest jedno z nielicznych miejsc, które pozwala próbować poprawić ten nasz świat. Wiem, że to brzmi patetycznie...

Ma pan pomysł, jak to poprawić, zmienić?

Tak. Inaczej bym tu nie przyszedł. Fundacja nie ma być pociągiem towarowym, który dowozi nauce to samo przez kolejne 30 lat. Każdy pomysł fundacji ma polegać na tym, żeby zmienić ten świat i oddać pewne poznane i oswojone pole aktywności innym. Tak to działało do tej pory i tak ma działać w przyszłości. Fundacja może tak działać dzięki temu, że jest po pierwsze prywatna, a po drugie dlatego, że jest stosunkowo mała, czyli sprawną organizacją. Nie jest zatem do żadnych kierunków zobowiązana i może sama oceniać, co jest ważne, którą pustą niszę jeszcze da się, a nawet należy wypełnić.

Gdzie widzi pan taką pustą niszę?

Największym pustym miejscem jest teraz przestrzeń pomiędzy nauką a społeczeństwem. Chcemy znaleźć sposób, jak ją wypełnić, aby nie dzieliła, ale łączyła. Chodzi o pokazanie społeczeństwu, czemu nauka jest warta wsparcia, ale nie na zasadzie takiej, że pójde i zacznę opowiadać o nauce jako influencer, lecz o dowiedzenie pewnych tematów, które faktycznie będą miały przełożenie na rzeczywistość. I nie mówię tylko o monetyzacji wyników badań. Chociaż na pewno będziemy szli w kierunku finansowania badań aplikacyjnych, ale na poziomie akademickim. Nie chcę wchodzić w żadne dalsze etapy, w przemysł. Fundacja jest na rzecz nauki polskiej, czyli mamy służyć akademii. W przyszłym roku uruchomimy kolejne konkursy proof of concept, czyli takie krótkie sprinty. Na okres 12 miesięcy dajemy ludziom 700 tys. zł na to, żeby sprawdzili aplikacyjną wartość tego, co wymyślili. To jest obudowane projektem Prime, czyli programem wspierania komercjalizacji nauki. W ramach tego programu chcemy zbliżyć przemysł i naukę do

siebie. Muszą razem pracować, muszą się poznać. To ma być przenikanie się, zrozumienie własnych ograniczeń i możliwości, pomoc w definiowaniu technologii tak, żeby można było zdecydować, czy ma się ona rozwijać w projekcie NCBR-owskim, czy trzeba zrobić licencje i przekazać je do przemysłu, czy może warto iść w kierunku startupu.

Bardzo bym chciał, żeby Fundacja myślała szerzej i tworzyła rozwiązania na przyszłość, żeby powstał projekt Blue Ocean, czyli finansowania przełomowych, ryzykownych pomysłów – konkurs na pomysł podróży w łupince orzecha po szerokim oceanie. Powiem szczerze, że to nie jest marzenie tylko plan. Pilotaż będziemy robili w niedługim czasie.

Tego typu finansowanie wymaga niezwykle wręcz transparentności i jasnego zdefiniowania po co właściwie firmy, społeczeństwo mają badania finansować. Myślę, że w Polsce nie potrafiliśmy tego precyzyjnie, jasno określić. Nigdy to się nie wydarzyło. Z transparentnością też jest kiepsko. Fundacja jest organizacją, która może sobie pozwolić na to, żeby zrobić test i powiedzieć naukowcom: „Słuchajcie, będziemy absolutnie transparentni”. Damy wam bardzo elastyczne pieniądze, które pozwolą wam zmieniać świat, ale społeczeństwo, które daje na to pieniądze, będzie was kontrolowało, będzie patrzyło wam na ręce. I może w ten sposób dając przykład uda się ten świat trochę zmienić.

Proszę zwrócić też uwagę, że nie mamy w Polsce jakiegoś ciała neutralnego, które by reprezentowało naukowców. Nie

jesteśmy interesariuszem. Nie jesteśmy firmą państwową czy agencją państwową. Nie jesteśmy jednostką naukową. Stoimy gdzieś pośrodku i możemy naprawdę reprezentować naukowców. Mamy już organizacje i instytucje, które w nauce pełnią określoną rolę, a my jesteśmy nieco inni, bardziej niezależni, neutralni. Ten atut chcemy wykorzystać, by stanowić organizację reprezentującą naukę.

Jak pan widzi swoje miejsce w tym wszystkim?

Na pewno nie będzie to one man show, tylko wspólne tworzenie różnych nowych rzeczy. Dotychczas Fundacja realizowała swój pomysł, który z czasem przejmowali inni, a ona szła dalej. I tak to nadal powinno wyglądać. A kiedy już te wszystkie instytucje państwowe nauki i jej otoczenia zaczną dobrze działać, gdy to wszystko się zepnie, wtedy nie będziemy już potrzebni. I o to chodzi. Taki jest cel działania Fundacji. Nie możemy być konkurencją dla rzeczy, które już są. Gwarantuję panu, że jak się jedna potrzeba skończy, to pojawi się kolejna. I wtedy trzeba będzie znowu zmienić wszystko i wytyczyć nowe cele. I ponownie za jakiś czas fundacja powinna stać się niepotrzebna. Ale wtedy zauważymy kolejne potrzeby i będziemy mogli wytyczyć nowe cele i iść za nowymi gwiazdami.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Ewaluacja i wydawnictwa

Nowe narzędzia i wyzwania w systemie oceny nauki

Kwestie kierunku zmian w polityce naukowej państwa i ewaluacji działalności naukowej oraz roli wydawców w tym systemie, a także nowych aspektów etycznych, prawnych i praktycznych powstałych w związku z wykorzystaniem genAI zarówno w toku pisania tekstów naukowych, jak i w samym procesie badawczym i dydaktyce akademickiej, były przedmiotem dyskusji Komisji ds. Wydawnictw Naukowych przy KRASP.

Przedstawiciel Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dr hab. inż. Krzysztof Bakula, dyrektor Departamentu Nauki MNiSW, nakreślił wizję polityki naukowej, w której uwzględniona zostanie jakość działalności wydawniczej instytucji jako narzędzie zwiększenia wpływu na światową naukę. Biorąc pod uwagę szybko rosnącą rolę sztucznej inteligencji w procesie publikacyjnym, szczególnie ważne będzie zapewnienie ochrony praw własności intelektualnej i przemysłowej oraz etyczne i rzetelne wykorzystanie tych narzędzi. Jest to tym ważniejsze, że jak dotąd brak efektywnych ogólnych regulacji w tym zakresie. Ministerstwo planuje wsparcie jakości i widoczności polskiej nauki, lecz w przedstawionej ofercie programów grantowych ponownie zabrakło rozwiązań, które byłyby przydatne z punktu widzenia wydawców akademickich. Ten problem pozostaje nierozwiązany.

Drugim elementem, ważnym w kontekście szerszej polityki publikacyjnej, są zmiany w systemie tworzenia wykazów czasopism i wydawnictw. Naukowcy, wydawcy i bibliotekarze będą musieli jeszcze poczekać na nowe listy: prace nad nimi rozpoczną się po wejściu w życie rozporządzenia na początku 2026 r. Nowy wykaz czasopism ma powstać w pierwszej połowie roku, a wykaz wydawnictw w drugiej.

W zakresie kryteriów dotyczących czasopism utrzymano zmiany z 2024 roku, czyli ocenę mieszaną, uwzględniającą specyfikę dyscyplin (wskaźniki bibliometryczne z oceną ekspercką) oraz obligatoryjne zamieszczenie czasopism z baz Scopus i Web of Science, a także wybranych tytułów z ERIH+, DOAJ, EBSCO i ICI JML.

Natomiast projekt wykazu wydawnictw zakłada wprowadzenie dodatkowego, trzeciego poziomu punktowego i każdorazowe uzasadnienie przypisania wydawcy do danego progu. Przewidziano I poziom i 80 pkt. dla wydawnictw spełniających standardy COPE i o ustalonym procesie recenzyjnym, II poziom i 140 pkt. dla wydawnictw spełniających wytyczne poziomu I oraz stosujących jednolite zasady kryteriów jakościowych kwalifikowania prac niezależnych od opłat i upowszechniających w skali krajowej recenzowane monografie istotne dla rozwoju krajowej nauki oraz III próg i 200 pkt. dla wydawnictw spełniających wszystkie poprzednie kryteria i wnoszących znaczący wkład w rozwój nauki światowej.

Ewaluacja jakości działalności naukowej ma bazować na przeprowadzeniu klasyfikacji w dyscyplinach oraz oszacowaniu potencjału podmiotów w zakresie nauki i kształcenia. Ma to zapewnić bardziej kompleksową od dotychczasowej ocenę. W nowym systemie ma zyskać na znaczeniu popularyzacja nauki i jej powiązania z dydaktyką oraz gospodarką. Ministerialna definicja doskonałości działalności publikacyjnej obejmuje wysoką jakość merytoryczną, rzetelność i etykę. Istotny też będzie wpływ i widoczność publikacji, zwłaszcza w wiarygodnych i prestiżowych kanałach komunikacyjnych.

Należy się zastanowić nad definicją i zasadnością stosowania pojęcia „doskonałości naukowej” oraz potrzebą lepszej oceny dorobku jed-

nostkowego czy ograniczenia liczby zgłaszanych osiągnięć ewaluacyjnych. Powiązane procesy, jakimi są doskonałość naukowa i publikacyjna, łączy kompetentne podejście do opisywania nauki oraz rzetelna recenzja, tak ze strony naukowców, jak wydawnictw. Procesy te wymagają czasu i zaangażowania, i w tym kontekście warto wziąć pod uwagę dwie inicjatywy: DORA i CoARA. Otwarte pozostaje pytanie, czy dążenie do doskonałości jako celu samego w sobie nie prowadzi w praktyce do drapieżnych praktyk publikacyjnych, w tym budzącej wątpliwość wiarygodności podziału wkładu autorskiego, i załamania etyki środowiska naukowego. Na zjawiska te głęboko zaczyna oddziaływać masowa dostępność i pozorna łatwość użycia AI, której rola rośnie też w samym procesie wydawniczym. W związku z tym równie gwałtownie rośnie potrzeba sformalizowanych, jednolitych regulacji (nie tylko rekomendacji) w zakresie etycznego użycia sztucznej inteligencji oraz mechanizmów (również prawnych) przeciwdziałania nierzetelnościom i monitorowania oraz szerokiego udostępniania wycofań (retrakcji), korekt i wątpliwości dotyczących publikacji. W praktyce jest to jednak trudne. Dodatkowo „punktozo-słotoza” i specjalizacja również mogą doprowadzić do zbyt dużej przyczynkowości i bylejakości badań, znacznie zawężając właściwą naukowcom potrzebę szerokiej perspektywy i głębokiego myślenia, co ogranicza m.in. umiejętność dobrej popularyzacji wiedzy.

Analizując możliwości wsparcia i zagrożeń publikowania naukowego przez genAI, wskazywano na demokratyzację nauki, wykorzystanie danych syntetycznych i eliminację kosztowności projektów, automatyzację powtarzalnych zadań, przyspieszenie procesu zgłaszania tekstu do publikacji. Najważniejsze zagrożenia dotyczą olbrzymiej łatwości zmanipulowania każdego rodzaju danych czy formatu, stroniczności algorytmicznej i dominowego efektu GIGO (garbage in, garbage out), prowadzących do spadku prestiżu nauki, lecz i do utraty zaufania społecznego do udostępnianych treści. Bardzo poważne są wyzwania etyczne i prawne związane z wykorzystaniem narzędzi sztucznej inteligencji w procesie tworzenia publikacji naukowych, destabilizują one bowiem obecnie funkcjonujący system prawnoautorski, w tym rzeczywistą ochronę praw autorskich czy danych poufnych, rozmywają pojęcie wkładu twórczego i definicji autorstwa. Problemem staje się ustalenie jednolitych zasad w relacji autor – wydawca – czytelnik. W tym ważny jest rozwój systemu prawnego w kierunku rozszerzenia kategorii autorstwa, np. poprzez wprowadzenie nowych pojęć, jak np. producent artykułu. Czy więc potrafimy i zechcemy wspólnie odpowiedzialnie korzystać z narzędzi AI? Ogólnie znajomość tej materii jest wciąż niska lub wręcz znikoma. Jedyne wąski krąg osób posiada wiedzę specjalistyczną. Nierozwiązana nadal trudnością jest sama weryfikacja treści generowanych przez narzędzia AI, ryzyko halucynowania systemów, czyli produkowania fałszywych wyników w zakresie treści, danych, odniesień literaturowych itd. Wszystko to rodzi obawy dotyczące wpływu sztucznej inteligencji na system oceny dorobku naukowego, który staje się podatny na nadużycia, a spory prawne i długoterminowe zawieszenie procesu publikacyjnego może też ocenę wręcz uniemożliwiać. W skali globalnej prowadzi to do utraty równowagi między naukowymi centrami i peryferiami oraz dalekosiężnych zmian społeczeństw, wykraczających poza ramy samej nauki.

Największą zaletą nowych narzędzi jest znaczne przyspieszenie wykonania niektórych zadań, jednak słabością pozostaje brak zdolności do krytycznej oceny, ogromne koszty energetyczne i ochrony środowiska oraz ryzyko uzależnienia od technologii, co może spowodować utratę zdolności powrotu do tradycyjnych metod pracy. Narzędzia genAI są wykorzystywane przez studentów coraz częściej, lecz w sposób powierzchowny, a wykładowcy nie są przygotowani do takiej formy nauczania, choć jest to jedyna droga do zapewnie-

nia odpowiedniej jakości kształcenia w nowych realiach. Konieczne jest stworzenie nowych standardów pracy i oceny oraz redefinicja roli nauczyciela akademickiego, a także rozwijanie umiejętności krytycznego myślenia i uczenia głębokiego. AI może wspierać procesy akademickie poprzez tworzenie zamkniętych korpusów wiedzy i narzędzi do weryfikacji efektów kształcenia, jednak wymaga to inwestycji oraz szerokiego poznania narzędzi AI i zaangażowania kadry. Kluczowym elementem w całym systemie pozostaje uczciwość, począwszy od etapu studiów, i transparentność w ujawnianiu wykorzystania tego typu narzędzi przy tworzeniu manuskryptów w zakresie dozwolonym przez redakcje lub wydawców. Sami wydawcy starają się ostrożnie adaptować narzędzia AI wspomagające działania rutynowe lub przygotowanie publikacji zgodnych z wytycznymi WCAG, jednak mają oni świadomość zagrożeń obecnych na każdym etapie przygotowania publikacji, które mogą prowadzić do naruszeń prawa, etyki czy spadku jakości prac. Wydawcy dostrzegają potrzebę stworzenia klarownych rozwiązań prawnych i ekonomicznych uwzględniających sztuczną inteligencję w procesie tworzenia treści, jednak z pełną kontrolą człowieka, zachowaniem jakości merytorycznej oraz zasad transparentności. Kompetencją przyszłości w akademii będzie utrzymanie wiodącej roli człowieka i umiejętne, odpowiedzialne włączenie do pracy naukowej technologii, zawsze z prymatem krytycznego myślenia.

Zmiany w szkolnictwie wyższym są dokonywane na ostatnią chwilę, skoncentrowane na drobnych poprawkach systemu, a nie transformacjach w obszarach, które tego pilnie wymagają. W kontekście wykorzystania nowych narzędzi szczególną rolę odgrywają edukacja i etyka. Nie jest dobrym rozwiązaniem instytucjonalny nadzór nad sposobem wykorzystywania różnych narzędzi, w tym narzędzi sztucznej inteligencji. Kluczowe jest uczenie i nauczanie korzystania z tych narzędzi w sposób rozsądny i zgodny z regułami. Zmieniająca się rzeczywistość może być bardzo inspirująca pod warunkiem, że ostateczne decyzje podejmuje człowiek. Pracownicy uczelni mają jednak różne spojrzenia na to, jak nowe narzędzia mogą być wykorzystywane w dydaktyce, pracach badawczych czy publikowaniu naukowym. W odpowiedzi na liczne problemy związane z nowymi trendami i technologiami na wielu uczelniach powstają zespoły ds. sztucznej inteligencji i czeka nas jeszcze wiele zmian w tych obszarach. Przyszłość publikowania naukowego pozostaje w pewnym stopniu niewiadomą ze względu na tak gwałtowny i niekontrolowany rozwój. Może on zaburzyć integralność nauki i komunikacji naukowej. Wydawcy akademicki szeroko o tym dyskutują i tworzą wytyczne mające wspierać autorów, redaktorów i samo środowisko w zakresie bardziej świadomego poruszania się w nowym świecie z genAI. W Polsce wydawcy zrzeszeni w Stowarzyszeniu Wydawców Szkół Wyższych omawiają bieżące problemy podczas corocznych konferencji i szkoleń. W 2024 roku opublikowane zostało „Stanowisko i rekomendacje Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych w kwestii stosowania narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji (GAI) w pisanu prac naukowych”, zaś obecnie przygotowywane są rozszerzone i zaktualizowane wytyczne. Jednak poza tym nic się nie zmienia, komunikacja naukowa wciąż bazuje na etosie pracy naukowej, rzetelnym procesie badawczym, uczciwej recenzji i fachowości wydawców akademickich. To stanowi fundament wspólnej pracy i w takiej perspektywie jest postrzegana nasza przyszłość.

Małgorzata Adamczak, Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, <https://orcid.org/0000-0001-5489-6787>

Aurelia Grejner, Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego w Olsztynie, prezes Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych, <https://orcid.org/0000-0003-4315-677X>

Czy jesteśmy gotowi na ocenę ekspercką?

Ocena ekspercka prowadzona przez międzynarodowe gremia może brutalnie skonfrontować nas z rzeczywistą jakością naszych badań. Może okazać się zimnym prysznicem zarówno dla pojedynczych naukowców, jak i całych instytucji. I tu dochodzimy do kluczowego pytania: czy jesteśmy gotowi zaakceptować jej wyniki?

O reformie systemu ewaluacji nauki w Polsce napisano i powiedziano już bardzo wiele. Kierunek zmian wydaje się coraz wyraźniejszy: odejście od systemu parametrycznego na rzecz oceny eksperckiej. Choć wciąż nie znamy szczegółów przyszłych rozwiązań, w środowisku akademickim panuje niemal powszechne przekonanie, że to krok w dobrą stronę. Trudno też znaleźć śmiałka, który odważyłby się zasugerować, że system parametryczny ma swoje zalety, a ocena ekspercka może mieć wady. Zanim napiszę kolejne słowa tego krótkiego tekstu, chciałbym jednoznacznie zadeklarować: jestem zwolennikiem oceny eksperckiej.

Mechanizmy głęboko patologiczne

System punktowy wprowadzono w Polsce na początku lat dwutysięcznych. Wtedy wydawał się rozwiązaniem nowoczesnym i sprawiedliwym. Miał zakończyć epokę uznaniowości, niejasnych kryteriów i środowiskowych układów. Liczby miały mówić same za siebie. Rzetelna praca naukowa miała przekładać się na punkty, a punkty na awanse, granty i prestiż instytucji. Brzmiało rozsądnie. W momencie wprowadzenia punktacji byłem młodym asystentem i pamiętam jej pozytywny odbiór w środowisku, a przynajmniej w tym, z którym miałem wówczas styczność.

Ponad dwadzieścia lat funkcjonowania systemu dobitnie pokazało, jak bardzo mylne były te założenia. Szybko okazało się, że punkty można „produkować” niemal bez ograniczeń, często bez realnej wartości naukowej. Parametry ilościowe nie tylko nie poprawiły jakości badań, ale w wielu przypadkach uruchomiły mechanizmy głęboko patologiczne. Dzielnie wyniki na minimalne fragmenty, masowe dopisywanie współautorów, publikowanie prac wątpliwych merytorycznie, a w skrajnych przypadkach korzystanie z usług „papierni” – wszystko to stało się częścią akademickiej codzienności. Co gorsza, zjawiska te bywały nie tylko tolerowane, lecz wręcz instytucjonalnie wspierane w imię lepszego wyniku w ewaluacji. Wystarczy spojrzeć na dorobek niektórych jednostek, które w ostatniej ocenie uzyskały zaskakująco wysokie kategorie naukowe. Gdy znacząca część „dorobku” całej

uczelni pochodzi z jednego wydawnictwa, trudno mówić o przypadku.

Łatwo powiedzieć, że to wina systemu. Trudniej przyznać, że to my, jako społeczność naukowa, posunęliśmy się w swoich działaniach poza granice przyzwoitości. Pełniąc funkcję przewodniczącego rady dyscypliny w Uniwersytecie Gdańskim miałem okazję uczestniczyć w licznych spotkaniach poświęconych przygotowaniom do procesu ewaluacji, a więc znam sprawę od podszewki. Choć na mojej macierzystej uczelni starano się zachować rozsądek i nie podejmowano działań wątpliwych etycznie (za co zresztą zapłaciliśmy cenę w postaci nie-najlepszego wyniku), to z rozmów z kolegami z innych uczelni i instytutów wiem, że tryby ewaluacyjnej maszynierii mieliły szybko i bezlitośnie.

Brutalna konfrontacja

Nic dziwnego, że dziś z nadzieją patrzymy na ocenę ekspercką. Ma ona zakończyć erę „punktozy” i przywrócić sens pojęciu jakości naukowej. Entuzjazm jest zrozumiały. Ale warto zadać pytanie: czy wszyscy naprawdę rozumiemy, czym ocena ekspercka jest, a zarazem, czym na pewno nie będzie? Nie będzie ona oceną bez kryteriów ani oceną „bez publikacji”. Publikacje pozostaną fundamentem dorobku naukowca, bo są końcowym efektem pracy badawczej. Może być ich mniej, ale muszą mieć naukową wagę. Bez realnych, widocznych rezultatów żaden ekspert nie wyda pozytywnej opinii. Tymczasem można niekiedy odnieść wrażenie, że część środowiska uwierzyła, iż nowy system zwolni naukowców z obowiązku systematycznego publikowania. Tak się nie stanie, a przynajmniej mam taką nadzieję.

Dla osób prowadzących rzetelne badania ocena ekspercka nie powinna być zagrożeniem. Wręcz przeciwnie. Z kolei pewna grupa osób, która radziła sobie całkiem nieźle „produkując” punkty bez większej wartości merytorycznej, stanie przed poważnym problemem. To należy postrzegać jako jednoznacznie pozytywny efekt prowadzenia systemu eksperckiego. Sprawna „optymalizacja” dorobku pod kątem punktów już nie wystarczy. Jeszcze większy kłopot czeka tych, którzy publikują

sporadycznie lub wcale, a takich w polskiej nauce wciąż nie brakuje. W tym przypadku o pozytywną ocenę eksperta będzie jeszcze trudniej.

Prawdziwe wyzwanie leży jednak gdzie indziej. Ocena ekspercka prowadzona przez międzynarodowe gremia może brutalnie skonfrontować nas z rzeczywistą jakością naszych badań. Może okazać się zimmym prysznice zarówno dla pojedynczych naukowców, jak i całych instytucji. I tu dochodzimy do kluczowego pytania: czy jesteśmy gotowi zaakceptować jej wyniki?

Ocena ekspercka jest z definicji subiektywna. Opiera się na wiedzy, doświadczeniu i profesjonalnym osądzie ekspertów. Powinni nimi być naukowcy z zagranicznych instytucji, niepowiązani z naszym środowiskiem, zdolni zachować odpowiedni dystans i spojrzeć na stan polskiej nauki „z lotu ptaka”. Przyjęcie takiej oceny – zwłaszcza wtedy, gdy jest krytyczna – wymaga dojrzałości środowiska. Tymczasem doświadczenia z poprzedniej ewaluacji pokazują, że z akceptacją krytyki mamy poważny problem. Wystarczy przypomnieć masowe odwołania od ocen eksperckich w tzw. kryterium trzecim ostatniej ewaluacji.

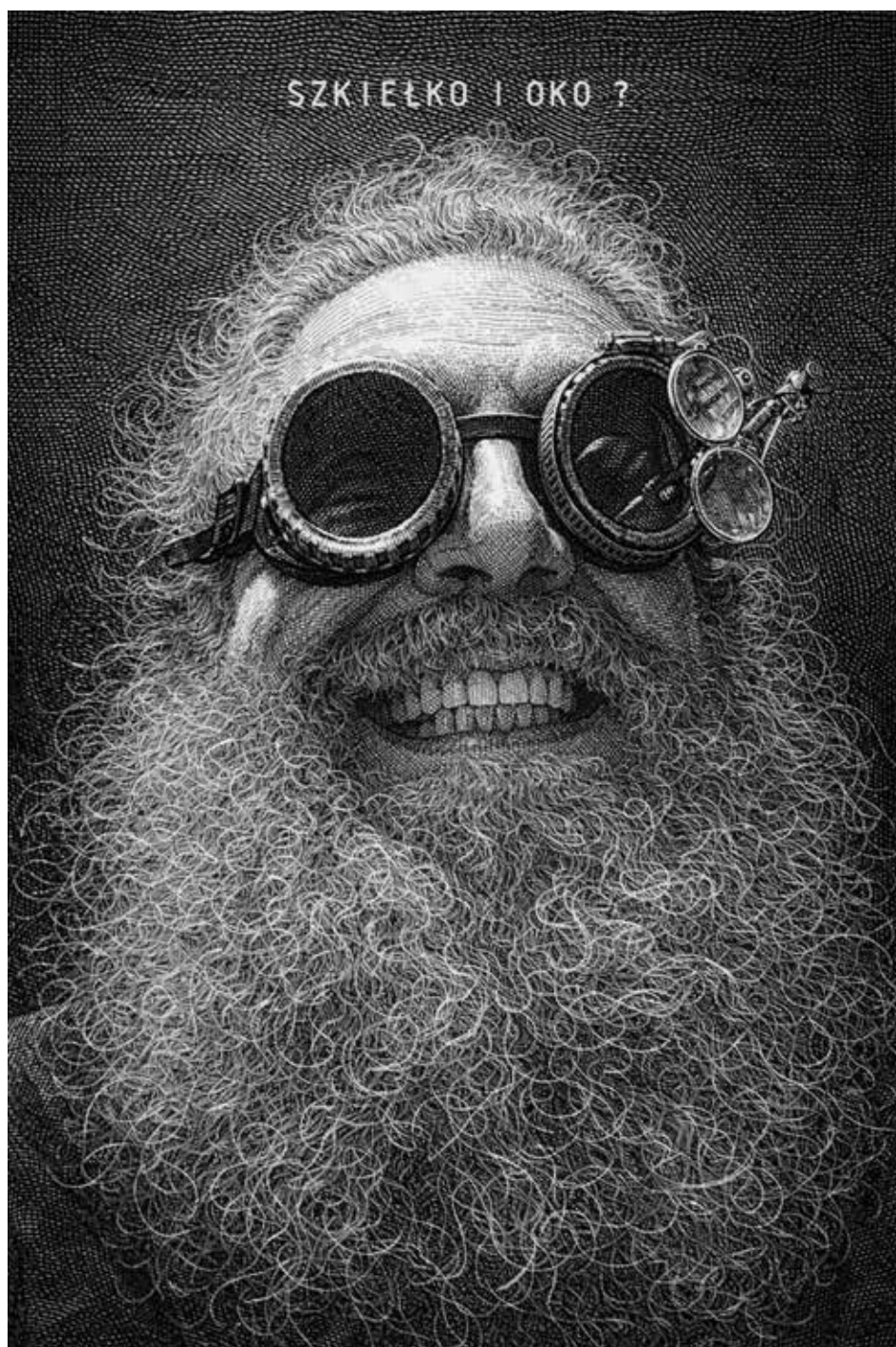
Ostrożny pesymizm

Jeszcze lepszym przykładem jest Narodowe Centrum Nauki. System oparty wyłącznie na ocenie eksperckiej działa tam od lat. Sam wielokrotnie uczestniczyłem w pracach paneli NCN i mam jednoznacznie pozytywne doświadczenia. Nie przypominam sobie choćby jednej sytuacji, w której miałbym wrażenie, że coś odbywa się niezgodnie ze standardami etycznymi lub profesjonalnymi. Obecnie system w całości opiera się na międzynarodowych panelach ekspertów. Nie przeszkadza to jednak rzeszom naukowców podważać kompetencje ekspertów za każdym razem, gdy projekt nie uzyska finansowania. Zawsze są źle dobrani, nie rozumieją tematu, nie doczytują kluczowych fragmentów wniosku albo działają tendencyjnie. Dlaczego więc w przypadku ewaluacji instytucji miałyby być inaczej?

Ostatecznie pytanie nie brzmi, czy ocena ekspercka jest lepsza od punktowej. Jest. Pytanie brzmi, czy potrafimy przyjąć jej konsekwencje. Czy po krytycznej ocenie usiadziemy do stołu i zastanowimy się, jak poprawić jakość naszych badań? Czy raczej skupimy się na tym, kim są „ci eksperci” i dlaczego nas skrzywdzili?

Chciałbym wierzyć, że jako środowisko jesteśmy gotowi na prawdziwą, uczciwą ocenę. Że potraktujemy ją nie jako zagrożenie, lecz jako impuls do zmiany i szansę na przełamanie powszechnego w wielu instytucjach marazmu. Jednak codzienne doświadczenia akademickie każą zachować ostrożny pesymizm. Łatwiej bowiem zakwestionować ocenę niż wyciągnąć z niej wnioski.

Prof. dr hab. Wojciech Tyłmann, geograf, kierownik Katedry Geomorfologii i Geologii Czwartorzędu Uniwersytetu Gdańskiego



Rys. Sławomir Makaj

Rozmowa z prof. Alicją Majewską, rzeźbiarką, nauczycielką akademicką na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, członkinią Komisji Ewaluacji Naukowej w latach 2019-2022

Ewaluacja u artystów

Mam wrażenie, że nasze kryteria są zbyt akademickie. Proponowałabym większą akceptację dla dobrze udokumentowanych działań twórczych, które nie wpisują się w system instytucjonalny.

Czym charakteryzuje się ewaluacja działalności uczelni artystycznych na tle innych jednostek naukowych?

Uczelnie artystyczne funkcjonują w systemie szkolnictwa wyższego i podlegają podobnym zależnościom, sposobom zarządzania oraz ocenom jak uniwersytety czy politechniki, a jednocześnie różnią się tym, że ich obszary badawcze koncentrują się na specyficznej, często bardzo swobodnej i ekspresyjnej działalności twórczej, wykorzystującej proces artystyczny jako narzędzie badań. Pojęcie twórczości kojarzy się z wolnością, intuicją i eksperymentem, trudnymi kategoriami do zaksięgowania i sformalizowania, a tym bardziej do oceniania i punktowania.

Są dziedziny, które łatwiej jest sparametryzować.

W dziedzinach naukowych ewaluacja ma już swoją tradycję: wypracowano narzędzia bibliometryczne, odwołujące się do długo istniejących baz danych, które pozwalają statystycznie ocenić wartość osiągnięcia naukowego. Sprecyzowano kategorie, np.: monografie, artykuły w punktowanych czasopiśmie, wdrożenia, patenty itd. Mam wrażenie, że naukowcy są oswojeni z różnymi formami punktowania i oceny. W mojej dziedzinie, w dziedzinie sztuki, chyba jeszcze wiele przed nami, jeżeli chodzi o akceptację takich procedur i „oddolne” zrozumienie oceny punktowej. Wyodrębniono trzy – jakże pojemne – dyscypliny artystyczne: sztuki filmowe i teatralne, sztuki muzyczne oraz sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki, a w ostatnich latach środowiska akademickie wypracowały w dyskusji kategorie osiągnięć, które poddawane są ewaluacji i są specyficzne dla każdej z dyscyplin. Charakter tych osiągnięć jest bardzo różny, czasami wydaje się niemierzalny, skupię się więc na dyscyplinie, którą reprezentuję, o nazwie sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki. Długi spis kategorii osiągnięć stara się zadośćuczynić większości twórczych aktywności, obejmuje autorstwo dzieł z różnego zakresu, takich jak wystawy, kuratorstwo, czy realizacje projektowe i dzieła konserwatorskie, ale też autorstwo różnych form publikacji. Co typowe dla mojej dyscypliny, najwięcej jest osiągnięć wynikających z twórczości indywidualnej. Na pewno osiągnięcia artystyczne trudniej jest punktować i „ważyć” niż osiągnięcia innych nauk, które mają długą tradycję oceniania i wypracowane mierniki. Dla moich kolegów i koleżanek naukowców jest oczywiste, że istnieje np. oficjalnie ogłoszona lista wydawnictw, lista czasopism, które są mniej lub bardziej prestiżowe, w związku z czym ich osiągnię-

cia w postaci artykułów nabierają wagi punktowej w oparciu o prestiż czasopisma.

W przypadku sztuki ocena nie jest tak oczywista.

W naszym przypadku też jest trochę tak, że prestiż instytucji kultury, z którą współpracujemy, wpływa na wartość punktową, np. przy ocenie osiągnięcia w postaci wystawy indywidualnej. Wydawałoby się, że zmieniają się tylko okoliczności, a dzieło jest takie samo. Podam przykład: są artyści, których twórczość związana jest z określonym środowiskiem, szczególnym miejscem i siłą ich sztuki wybrzmiewa w kontekście poza-instytucjonalnym. Tymczasem, zdarza się, że na potrzeby ewaluacji i punktacji zmieniają swoje strategie i wchodzą w przestrzenie galerii czy muzeów.

Czasami można w przestrzeni instytucjonalnej przedstawić taką twórczość na zasadzie dokumentacji.

Tak, to jest możliwe, jednak bardziej chodzi mi o to, że wystawa dzieł artysty czy artystki w relacji z konkretnym miejscem, z jego tożsamością, ma siłę oddziaływania i wytwarza emocje, które są wartościami w sztuce. Natomiast przeniesienie tych obiektów do przestrzeni galerii czy muzeum pozbawia ich autentycznej wartości i często stają się one głównie elementami narracji kuratorskiej. A wracając do tematu ewaluacji: taka wstawa będzie korzystniejsza dla dyscypliny, ponieważ miejscem realizacji będzie instytucja kultury i jest wymieniony kurator jako osoba współpracująca. Dlatego w dziedzinie sztuki niezmiennie ważna jest ocena ekspercka dokonana z perspektywy twórcy-praktyka, który dzięki swojemu doświadczeniu i aktualnej wiedzy nie przeoczy cennych zjawisk artystycznych i nada im właściwą wartość. Mówiąc o twórczości w dziedzinie sztuki, przeważnie myślimy o malarstwie, rzeźbie, o szeroko pojętych sztukach wizualnych, ale mamy przecież także sztuki projektowe: architektów wnętrz, wzorników, scenografów, którzy czasami kilka lat pracują nad jednym projektem. Trzeba więc myśleć bardzo szeroko. Pamiętajmy też o konserwatorach dzieł sztuki, którzy działają w sposób niezwykle interdyscyplinarny. Biorąc pod uwagę samą istotę twórczości artystycznej, trochę buntujemy się i wyrażamy niezgodę na taką ewaluację, która chciałaby wszystko zmierzyć, zważyć i porównać, bo w sztuce tak się nie da. Dlatego znów podkreślę ogromną rolę twórców-ekspertów w ewaluacji.

Wyzwaniem dla ekspertów jest zapewne także duże zróżnicowanie jednostek prowadzących kształcenie w zakresie sztuki?

Dydaktyka artystyczna prowadzona jest w różnych ośrodkach, przede wszystkim w akademiach, ale też na uniwersytetach, na politechnikach i w rozmaitych uczelniach niepublicznych. Pracownicy tych jednostek prowadzą badania w zakresie twórczości artystycznej, tworzą zespoły w ramach odpowiednich dyscyplin, których liczebność jest naprawdę różna. Porównujemy więc osiągnięcia dużych jednodyscyplinowych akademii sztuk: muzycznych, plastycznych czy teatralno-filmowych, uczelni z ogromnymi tradycjami, z jednostkami prowadzącymi dyscypliny artystyczne o krótkiej historii, gdzie liczba pracowników sięga wymaganego minimum 12 osób, co w przypadku ewaluacji ma swoje matematyczne konsekwencje.

Czy uważa pani, że należałoby rozwinąć i doprecyzować system ewaluacji w ramach poszczególnych dyscyplin artystycznych?

Przede wszystkim, jak już wspomniałam, potrzebni są dobrze przygotowani eksperci. Ważna jest też współpraca wszystkich środowisk akademickich poddawanych ocenie, żeby wypracować jak najwłaściwsze kryteria i zrozumieć mechanizmy liczbowych porównań. Oczywiście najsilniejsze jest środowisko akademii, ale należy myśleć w sposób otwarty i włączać do dyskusji przedstawicieli różnych społeczności, także tych młodych, z jednostek niepodporządkowanych Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Rozmowa powinna koncentrować się na przyszłości i tworzeniu warunków do oceny, która bierze pod uwagę wiele czynników. Obecna ewaluacja koncentruje się na tym, żeby ustalić wartość poszczególnych osiągnięć, dokonać bilansu, by w rezultacie stworzyć ranking jednostek i odpowiednio podzielić ministerialne środki finansowe. Nie zapominajmy jednak, że tworząc kryteria oceny, formujemy też pewną filozofię ewaluacji i naszą akademicką przyszłość. Powiem przewrotnie: jeśli zaproponujemy takie kryterium jak „satysfakcja i wsparcie dla nauczyciela akademickiego”, to odąd wszyscy kierownicy jednostek zaczną szczególnie dbać o dobrostan swoich pracowników, co byłoby wspaniałe. Niestety, takiego kryterium póki co nie ma i chyba nie będzie. Jeżeli jednak, jak ma to miejsce obecnie, tworzymy kryterium, w którym wartość osiągnięcia wyraża się poprzez współpracę z instytucjami kultury, to jego punktacja będzie zależna od oceny renomy galerii. Jeżeli dzieło pokaże w Muzeum Guggenheima, będzie to zapewne osiągnięcie wybitne, a jeśli tę samą pracę zaprezentuję na wystawie zbiorowej w galerii o małej rozpoznawalności, to osiągnięcie dla ekspertów nie będzie miało wysokiej punktowej wartości ze względu na brak okoliczności wartościujących, potwierdzających znaczenie.

Autorzy artykułu *Artyści wobec kultury audytu. Wpływ systemu ewaluacji nauki na uczelnie artystyczne („Nauka” 3/2022)* zauważyli, że osoby przez nich ankietowane rzadko przyznawały się do wpływu ewaluacji na własną działalność, ale w swoim otoczeniu dostrzegały ten wpływ, określając go mianem „punktozy”. Pani także zdaje się dostrzegać to zjawisko. Czy wiąże się ono głównie z wyborem miejsca ekspozycji?

Wiemy o tym, że oceniana jest dyscyplina, a nie indywidualny pracownik, choć to on w procesie przygotowań do oceny przynosi swój dorobek, z którego wybierane są najbardziej wartościowe osiągnięcia. Nie musi być ich wiele, ważne, by miały range wyrażoną różnymi czynnikami typowymi dla dyscypliny. W swoich środowiskach dobrze rozpoznajemy to, co ma cechy wyjątkowości i kulturową wartość. Chyba my sami tworzymy



Prof. Alicja Majewska w pracowni

Prof. **Alicja Majewska** – rzeźbiarka, nauczycielka akademicka na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, członkini KEN-u w latach 2019-2022. W swojej twórczości odnosi się do fenomenu pamięci i towarzyszącego mu procesu wspomnienia. Interesuje ją przede wszystkim perspektywa indywidualnego doświadczenia, osadzona w realiach współczesności i kultury. W jej pracach materiał staje się nośnikiem znaczeń, budulcem wizualnych metafor. Wykorzystuje m.in. metal, beton, porcelanę, woski, żywice, tkaniny, a ostatnio także rośliny, głównie mchy.

atmosferę „punktozy” i potrzeby nadmiaru osiągnięć, nie do końca mając zaufanie do procesu ewaluacji. Sądzę, że mamy do czynienia ze zbyt dużą koncentracją na decyzji o miejscu upublicznienia jako czynniku potwierdzającym wartość osiągnięcia. I tu mam wątpliwości. Obecnie mamy wiele instytucji kultury, które stają się hermetyczne, w których kuratorzy kreują swoją rzeczywistość, a twórca znajduje się jakby na peryferiach, nieomalże jako petent. W związku z tym interesujące osobowości funkcjonujące poza głównym, aktualnym nurtem mają często drzwi zamknięte. Proponowałabym więc większą akceptację dla dobrze udokumentowanych działań twórczych, które nie wpisują się w system instytucjonalny. Mam wrażenie, że nasze kryteria są zbyt akademickie. Niby jesteśmy wolni, ale sami trochę złapaliśmy się we własne sidła.

Założmy, że jest pani w zespole, który opracowuje nowe wytyczne do ewaluacji działalności artystycznej. Jakie miałyby pani propozycje?

Zacznijmy od pewnej refleksji. Obecny system ewaluacji w mojej ocenie jest zbyt mocno skoncentrowany na weryfikowaniu jednostek i tworzeniu rankingów, a więc na ocenie przeszłości. Chciałabym, aby służył nie tylko ważeniu i porównywaniu, lecz przede wszystkim kreowaniu przyszłości. Żeby stał się narzędziem wzmacniania potencjału zespołów i realnego planowania rozwoju, który faktycznie byłby wdrażany, a nie pozostawał jedynie w deklaracjach. Dodałabym więc kryterium czwarte.



Prace domowe, Centrum Sztuki Współczesnej Znak Czasu w Toruniu, 2021 r.

Co byłoby istotne przy weryfikacji tego kryterium?

Myślę o przełożeniu osiągnięć naukowych/artystycznych na strategię rozwoju badań w ramach dyscypliny, do których zaangażowani są studenci i doktoranci. W takim ujęciu każda dyscyplina czy jednostka musiałaby odpowiedzieć sobie na pytania: Co nas wyróżnia? Jaki mamy potencjał? Co możemy rozwijać w sposób szczególny i jak przekłada się to na zmiany w programach studiów? Jak tę wiedzę wdrażać we współpracy ze środowiskiem zewnętrznym? Dla mnie kluczowe jest, aby w podstawowych kryteriach ewaluacji silnie wybrzmiewało powiązanie działalności badawczej z szerszym zakresem planowaniem, ze strategią rozwoju nie tylko indywidualnych karier pracowników, lecz przede wszystkim całych zespołów. Moja propozycja to dalekie echo rozumienia sensu Kryterium III w ewaluacji, szczególnie cennego dla naszej dziedziny, bowiem wreszcie możemy przedstawić, jak działania twórcze przekładają się na pozytywne zmiany, jak kształtują społeczeństwo i wpływają na jego rozwój.

Kryterium II, czyli efekty finansowe badań naukowych, nie jest brane pod uwagę w przypadku uczelni artystycznych.

Tak, bo często trudno takie efekty wykazać i je wyliczyć. Sądzę jednak, że jest świadomość społeczna. Widzimy przecież jak wydarzenia artystyczne potrafią wpłynąć na rozwój turystyki w regionie, co w konsekwencji przynosi rozwój, a to przekłada się na wymierne finansowe korzyści w gospodarce. Dzięki festiwalowi filmowemu, spektakularnej wystawie czy zrekonstruowanemu dziełu o wysokiej artystycznej randze pojawiają się tysiące osób, miasto tętni życiem, zapelniają się hotele i restauracje. Rozumienie tych zależności jest dla naszej dziedziny bardzo ważne. Kryterium III w ewaluacji wymaga w swojej istocie wykazania relacji między działaniami naukowymi/artystycznymi, a poprawą funkcjonowania społeczeństwa w różnych obszarach. Mamy w tym zakresie ogromny potencjał, wykorzystajmy go więc do opowiadania o tym co tworzymy i co przekłada się na poprawę życia, czasami wymierną wręcz finansowo. Możemy uczyć się od środo-

wisk naukowych krajów anglosaskich mówienia prostym językiem o skomplikowanych dokonaniach w nauce i ich znaczeniu dla rozwoju cywilizacyjnego społeczeństwa. Wracając do nowej ewaluacji: w związku ze specyfiką obszaru sztuki uważam, że liczba ekspertów powinna się zwiększyć.

Jakie powinny być kryteria doboru ekspertów?

Ekspert powinien być pracownikiem samodzielnym, gdyż posiada większe doświadczenie, także odnoszące się do ocenia-



Niepamięć 2, 2022



Niepamięć 3, obiekt, wym. 98,5 x 75 x 13 cm, 2023

nia, bywa przecież recenzentem np. prac doktorskich. W procesie ewaluacji powinny uczestniczyć osoby reprezentujące daną dyscyplinę, z dobrym dorobkiem, ze środowiskowym autorytetem. Nie wyobrażam sobie, żeby zapraszać teoretyków sztuki, ponieważ ich kompetencje nie obejmują praktyki artystycznej, a także działań projektowych czy konserwatorskich. Swojego czasu pojawiały się pomysły, aby stworzyć listę galerii na wzór punktowanych list czasopism. Takie propozycje moim zdaniem są złe. Po pierwsze, jest problem ograniczonej dostępności do tych instytucji, a po drugie, prestiż i renoma to nie są stałe kategorie. Chyba najbardziej sensowna jest zasada, którą mamy obecnie, że to właśnie przedstawiciele dyscypliny oceniają sami siebie. Ważne jest też szerokie rozeznanie w ramach dyscypliny, gdyż wiem z doświadczenia, że zdarzają się sytuacje zawyżania wartości osiągnięć, np. typu wystawienniczego.

Jak, przykładowo, można je zawyżyć?

Opisując miejsca ekspozycji w sposób nie do końca prawdziwy, co świadczy nie tyle o złej woli, ile raczej o braku precyzji w stosowaniu pojęć i znajomości kryteriów. Jednak jako eksperci powinniśmy mieć dostęp do dokumentacji. Jeżeli mamy podane linki do rozszerzeń informacji zawartych w opisach, to możemy osiągnięcia szybko zweryfikować, a gdy jesteśmy osadzeni w temacie, to nawet często nie musimy wyszukiwać tych informacji, bo już wiemy, bo oglądaliśmy, czytaliśmy i dyskutowaliśmy na ten temat. Moim zdaniem ewaluacja jest działaniem na rzecz docenienia osiągnięć. Trzeba zawsze pamiętać, że nie oceniamy osób, tylko dzieła, chociaż z oddolnej perspektywy wygląda to inaczej.

Pojawiają się obawy, że jednostki będą prowadzić politykę kadrową pod kątem ewaluacji.

Ewaluacja rzeczywiście mogła czasami przynieść niepożądane skutki dla losów poszczególnych osób. Chciałabym jed-

nak zauważyć, że jednocześnie uwidoczniła, że w naszym środowisku jedni pracują naprawdę intensywnie, twórczo i konsekwentnie, a inni – z różnych powodów – nie w takim samym stopniu. Zdarzały się więc sytuacje przenoszenia pracowników na stanowiska dydaktyczne, a osobom korzystającym z prawa do pracy na emeryturze, które uzyskały niską ocenę osiągnięć, proponowano rozwiązanie umów kontraktowych. Proszę jednak zauważyć, że ostatnia ewaluacja wypadła całkiem dobrze, większość uczelni z naszego obszaru otrzymała satysfakcjonującą kategorię, choć wiele z nich dopiero w wyniku odwołania. Zespoły uczelniane miały dzięki temu możliwość doprecyzowania zgłoszonych osiągnięć i nauczyły się, w jaki sposób formułować opisy, aby nie ograniczać się do zwykłej inwentaryzacji dzieł.

W 2023 roku, podczas konferencji organizowanej przez KRASP i Uniwersytet Łódzki, brała pani udział w panelu poświęconym ewaluacji działalności artystycznej. Padło wówczas kilka postulatów, które mogą być aktualne w kontekście kolejnej ewaluacji, np. aby rozbudować katalog osiągnięć związanych z obszarem konserwacji.

Reprezentuję jednostkę, która ma ogromne tradycje w konserwacji dzieł sztuki, rozumiem specyfikę tej działalności i w mojej ocenie repertuar osiągnięć, które można sprawozdawać w ewaluacji, jest zawężony. Nie oddaje rzeczywistej poznawczej i twórczej wartości działań związanych z pracą nad zabytkowymi obiektami. Sądję, że wyrażam opinię wszystkich środowisk akademickich w Polsce zajmujących się badaniami w tym zakresie. Dlatego też uważam, że należałoby wysłuchać wniosków płynących ze środowiska i uzupełnić ten katalog, wpływając w ten sposób na kierunki rozwoju polskiej konserwacji. Należy jednak pamiętać, że prace konserwatorskie, zwłaszcza w przypadku rozbudowanych, kulturowo istotnych obiektów o złożonej problematyce, mogą trwać kilka lat i są realizowane przez całe zespoły specjalistów. Trudno jest wyodrębnić takie dzieło, by poddać je ocenie, gdy ramy ewaluacji sięgają czterech lat. Praktyka jest taka, że wydziela się pewne obszary, nad którymi pracują zespoły albo pojedyncze osoby. Nazwa osiągnięcia w systemie nie może się pojawić kilka razy, więc trzeba je zapisać stosując odpowiednią perspektywę. Podobnie jest w przypadku dużych realizacji projektowych i z zakresu architektury wnętrz. Moim zdaniem to zagadnienie powinno być doprecyzowane w podręczniku dla ekspertów lub omówione na szkoleniach związanych z naszą specyfiką, ale nie tylko na jednym czy dwóch spotkaniach połączonych z prezentacją w formie pdf-u.

Podkreśla pani szczególną rolę ekspertów w ewaluacji.

Dziedzina sztuki jest oceniana wyłącznie w sposób ekspercki, co stanowi, ze względu na naszą specyfikę, uzasadnione rozwiązanie. Moim zdaniem, **równoległe z przygotowywaniem** się uczelni do procesu oceny, ministerstwo powinno rozpocząć szkolenia ekspertów, którzy pełniliby funkcję łączników między środowiskiem a samą instytucją. Zasadne byłoby również stworzenie bazy osób zaangażowanych w dotychczasowe procesy ewaluacyjne i wykorzystanie ich doświadczenia. Warto także rozważyć zwiększenie liczby ekspertów reprezentujących obszar sztuki, adekwatnie do liczby ocenianych jednostek.



Równowaga, obiekt wym. 11 x 13 x 1,5 cm, materiał mech, beton, pleksi, libella, 2022

W dyskusjach na temat ewaluacji sygnalizowany jest czasami problem braku „kultury feedbacku” w kontekście ankiet wypełnianych przez pracowników naukowych, co wiąże się z trudnością w planowaniu kariery naukowej. Czy ten problem dotyczy także pracowników uczelni artystycznych?

W przypadku dyscyplin artystycznych większość prac administracyjnych, takich jak wpisywanie osiągnięć, odbywa się ręcznie, bez możliwości przesłania danych z jednego systemu do drugiego. Proszę sobie wyobrazić, jaki to jest wysiłek administracji lub innych zespołów, a także praca poszczególnych osób dbających o jak najbardziej merytoryczne charakterystyki. Uczestniczymy w procesie poprzez wskazanie swoich najlepszych osiągnięć i zapewne większość z nas ma świadomość, że efektem tych działań są punkty, a zatem jest blisko do tworzenia list rankingowych najwyżej ocenionych osiągnięć, a tym samym autorów. W wielu jednostkach po zakończeniu ewaluacji dokonano podsumowań i zapoznano pracowników z wnioskami. A co do planowania kariery naukowej/artystycznej, to wydaje mi się, że my, twórcy, budujemy ją niezależnie od efektów ewaluacji i nie widzę wśród nas tego problemu.

W czasie wspomnianej konferencji zwrócono też uwagę na niebezpieczeństwo tworzenia zbyt wielu nowych kierunków studiów przez jednostki, które uzyskały kategorię A+. Co pani sądzi na ten temat?

Według mnie ten problem nie istnieje. Nie widzę niebezpieczeństwa, a biorąc pod uwagę dynamikę zmian cywilizacyjnych, zwłaszcza w zakresie nowych technologii, potrzebni są twórcy, którzy będą potrafili odpowiedzieć na te wyzwania. Dlatego pozwólmy jednostkom działać, tym bardziej, że dotyczy to tych z najwyższą kategorią. Pamiętam pewne spotkanie sprzed kilkunastu lat, gdy przyjechali do nas pracownicy z norweskiej uczelni. W tym czasie powoływaliśmy nową specjalność na jednym z artystycznych kierunków. Norwescy goście gratulowali nam dlatego, że u nich takie procesy nie tylko trwają bardzo długo, ale wymagane jest także potwierdzenie zapotrzebowania na przyszłych specjalistów. Poziom polskiego kształcenia artystycznego jest bardzo dobry, co widać chociażby w ocenach naszych absolwentów na rynkach pracy poza granicami kraju. Odwołam się jeszcze do artykułu o kulturze audytu, nawiązując do wyznaczonych ram czasowych oceny. Czteroletni cykl wydaje mi się zbyt krótki. W ramach dyscypliny, którą reprezentuję, wspomniałam o dużych realizacjach konserwatorskich czy projektowych, a także o ustalaniu wpływu działalności twórczej w ramach Kryterium III. Większy sens miałaby weryfikacja, która odbywa się np. co sześć lat, dałaby pewien oddech i możliwość zastanowienia się nad kierunkami rozwoju. Pracujemy spokojniej, by stworzyć nowe ramy dla ewaluacji. Brakuje nam także pewnej ciągłości, która w sztuce i nauce jest niezbędna.



Aneksja, instalacja multimedialna, obiekt z mchu, film, 2025

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Kolejne Międzynarodowe Agendy Badawcze

Innowacyjne badania nad chorobami mózgu oraz czujnikami nowej generacji do zastosowania m.in. w diagnostyce medycznej będą realizowane dzięki wsparciu w wysokości ponad 68 mln zł z Funduszy Europejskich z programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG), przyznanych przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Finansowanie otrzymają dwa ośrodki – jeden z Wrocławia, a drugi z Warszawy.

Choroby mózgu w centrum uwagi

We Wrocławiu środki w wysokości ponad 34 mln zł trafią do Sieci Badawczej Łukasiewicz – PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii na projekt P4Health: Centrum Doskonałości Precyzyjnego Fenotypowania i Bankowania Danych Biologicznych dla Spersonalizowanego Zdrowia Mózgu. Ośrodek ten będzie poszukiwał nowych metod walki z chorobami mózgu, takimi jak zaburzenia psychiczne czy ośpienne, które są dziś jednym z największych wyzwań dla medycyny.

Nowy projekt badawczy koncentruje się na komórkach glejowych, a szczególnie astrocytach – kluczowych regulatorach metabolizmu i komunikacji w mózgu. Coraz więcej dowodów wskazuje bowiem, że to ich dysfunkcja może być jednym z pierwszych etapów rozwoju chorób mózgu.

Celem badań jest identyfikacja zaburzonych procesów zachodzących w astrocytach oraz opracowanie nowych, celowanych strategii terapeutycznych i biomarkerów diagnostycznych. Wyniki projektu mogą przyczynić się do powstania innowacyjnych metod leczenia oraz rozwoju rozwiązań o potencjale wdrożeniowym. Dzięki temu w przyszłości powstaną nowe możliwości diagnostyczne i terapeutyczne dla pacjentów z chorobami mózgu.

Liderem projektu jest prof. Bastian Hengeler, który do Wrocławia trafił wprost z niemieckiego koncernu farmaceutycznego Boehringer Ingelheim.

Technologie kosmiczne na co dzień

Drugim ośrodkiem, który otrzyma wsparcie w wysokości ponad 34 mln zł, będzie Astrocent – Centrum Technologiczne

Astrofizyki Cząstek, działające przy Centrum Astronomicznym im. M. Kopernika Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Celem badań jest stworzenie nowej generacji niezwykle czułych i skalowalnych systemów detekcji, które znajdą zastosowanie zarówno w badaniach naukowych, jak i w praktyce komercyjnej. Technologie te mają kluczowe znaczenie dla badań nad ciemną materią, neutrinami i falami grawitacyjnymi, a tym samym dla lepszego zrozumienia Wszechświata.

Jednocześnie rozwijane rozwiązania mogą wspierać medycynę, bezpieczeństwo, ochronę klimatu, energię odnawialną oraz sejsmologię, w tym systemy wczesnego ostrze-

gania. Projekt łączy wysoką czułość detektorów z możliwością prowadzenia pomiarów na dużą skalę i w wielu kanałach, przełamując ograniczenia dotychczasowych technologii.

Liderem projektu jest dr hab. Marcin Kuźniak z CAMK PAN.

Finansowanie i ocena wniosków

Obie Międzynarodowe Agendy Badawcze są finansowane w wyniku konkursu skierowanego do laureatów programu Teaming for Excellence (Horyzont Europa). Finansowanie jest w tym wypadku uzupełnieniem budżetu w wysokości 15 mln euro, które wcześniej oba projekty otrzymały z programu Teaming for Excellence. Dotychczas Fundacja na rzecz Nauki Polskiej przyznała środki o łącznej wysokości 550 mln zł na funkcjonowanie 18 MAB-ów, w tym czterech, które zdobyły wsparcie z konkursu Teaming for Excellence.



**Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej**

Najdłuższa sprawa dyscyplinarna

Rodzinny doktorat cz. IV

Mimo poważnych zarzutów obszernego plagiatu, komisja doktorska przyjęła doktorat jednogłośnie, występując nawet o nagrodę dla autora za „wybitną dysertację”.

Ponad 8 lat temu wyszła na jaw sprawa „kontrolowanego rodzinnie” plagiatu w pracy doktorskiej broniącej na Wydziale Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Inżynierii Biomedycznej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (patrz: *Rodzinny doktorat, cz. I*, FA 1/2018; *Rodzinny doktorat cz. II*, FA 2/2018 oraz *Rodzinny doktorat cz. III*, FA 1/2019).

Ta naukowa saga dotyczyła dysertacji mgr. inż. Witolda Głowacza (ur. 1981), ówczesnego asystenta z Katedry Automatyki i Inżynierii Biomedycznej, której kierownikiem był wtedy prof. dr hab. inż. Marek Gorgoń, dziś prorektor ds. nauki AGH. Obecnie kierownikiem katedry jest prof. Krzysztof Oprządkiewicz, a ona sama nosi nazwę Automatyki i Robotyki i zatrudnia ok. 70 pracowników, w większości nauczycieli akademickich. Wcześniej przez wiele lat – do 30 września 2016 r. – szefem katedry był prof. Ryszard Tadeusiewicz, rektor AGH w latach 1998–2005, członek rzeczywisty PAN i członek korespondent PAU. To właśnie on był promotorem dysertacji W. Głowacza zatytułowanej *Metody analizy i rozpoznawania informacji zawartej w sygnałach prądowych i napięciowych silników elektrycznych dla diagnostyki stanów przed awaryjnych*. Recenzentem wydziałowym doktoratu była prof. dr hab. inż. Ewa Dudek-Dyduch (dziś już na emeryturze). Drugim recenzentem, zewnętrznym, był prof. dr hab. inż. Marek Skomorowski, dyrektor Instytutu Informatyki i Matematyki Komputerowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zarówno promotor, jak i recenzenci wysoko ocenili pracę doktorską, która na początku stycznia 2017 r. została udostępniona publicznie w Bibliotece Głównej AGH.

Podczas obrony, która miała miejsce 19 stycznia 2017 roku, najstarszy brat doktoranta, dr inż. Andrzej Głowacz, ówczesny adiunkt w Katedrze Telekomunikacji AGH, publicznie zarzucił Witoldowi, że jego dysertacja to nieznacznie zmieniona kopia doktoratu trzeciego, najmłodszego z braci – Adama, który był wtedy adiunktem w Katedrze Automatyki i Inżynierii Biomedycznej. Z kolei ojciec braci, dr hab. Zygfryd Głowacz był zatrudniony w Katedrze Energoelektroniki i Automatyki Systemów Przetwarzania Energii (kierownik: dr hab. inż. Andrzej Biń). Doktorat

Adama obroniony został we wrześniu 2013 r. pod opieką promotorską prof. Grzegorza Dobrowolskiego i co ciekawe, recenzowała ta sama dwójka profesorów. Na dowód Andrzej Głowacz przedstawił zgromadzonym maszynopis tej pracy doktorskiej.

Obecna na sali komisja doktorska, której przewodniczył prof. Piotr Augustyniak (dzisiejszy przewodniczący Zespołu II Inżynierijno-Technicznego Rady Doskonałości Naukowej) praktycznie nie zareagowała na ten drastyczny zarzut nierzetelności i nie zawiesiła obrony. Na sali był także ojciec trzech braci, dziś już nieżyjący dr hab. inż. Zygfryd Głowacz, prof. AGH.

Plagiat czy nie?

Mimo zarzutów, komisja doktorska obronę przyjęła jednogłośnie, występując nawet o nagrodę dla doktoranta za „wybitną dysertację”. Kiedy jednak tydzień później, 26 stycznia 2017 r., zebrała się Rada Wydziału, aby zatwierdzić nadanie stopnia doktora, jej dziekan, dr hab. inż. Ryszard Sroka (pełnił tę funkcję do 31 sierpnia 2024 r.), poinformował zgromadzonych, że porównał osobiście oba doktoraty i uważa, że niestety są w nich tak „duże podobieństwa”, że proponuje zawiesić zatwierdzenie dysertacji aż do formalnego sprawdzenia zarzutów. Dla bezstronnego wejrzenia w sprawę uchwalono powołanie zewnętrznego recenzenta – biegłego, prof. Radosława Pytlaka z Politechniki Warszawskiej.

W sporządzonej 27 marca 2017 r. obszernej opinii, prof. Pytlak potwierdził, że dysertacja Witolda w znacznej części jest plagiatem wcześniejszego doktoratu Adama (oryginalnie napisano: „wprowadzenie w błąd co do autorstwa części cudzego utworu”). Jego zdaniem, nieco odmienne przedstawienie wyników nie jest oryginalnym rozwiązaniem naukowym, czego wymagała od każdej pracy doktorskiej ówczesna Ustawa o stopniach i tytułach naukowych z 2003 r.

W czasie burzliwego posiedzenia Rady Wydziału 27 kwietnia 2017 r. jej członkowie przeważającą liczbą głosów odmówili zatwierdzenia doktoratu, mimo że kilku znanych profesorów w swoich wypowiedziach starało się „z czarnego zrobić białe”.

Od tej uchwały mgr. inż. Witold Głowacz, z pomocą prawną mecenasa Jana Widackiego złożył odwołanie do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów w Warszawie. Ta powołała swojego recenzenta, prof. dr. hab. inż. Stanisława Ossowskiego z Wydziału Elektrycznego PW. Ten nie stwierdził żadnego plagiatu w doktoracie. Jednak uznał, iż inkryminowany tekst może w małej części (nie więcej niż 20 stron) stanowić autoplgiat ze wspólnych prac z bratem, Adamem Głowaczem. Natomiast ocenił, że powołanie prof. Radosława Pytlaka jako biegłego dla Rady Wydziału AGH było niezgodne z prawem, co powoduje, że jego opinia nie powinna być brana pod uwagę. Moim zdaniem, to nie jest słuszne.

W obliczu takiej oceny Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów Naukowych uchyliła uchwałę Rady Wydziału Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Inżynierii Biomedycznej AGH o niezatwierdzeniu doktoratu. Jednocześnie skierowała sprawę do ponownej oceny do Rady Wydziału Elektrotechniki, Elektroniki, Informatyki i Automatyki Politechniki Łódzkiej, którego dziekanem był wówczas dr hab. inż. Sławomir Hausman.

Ponowne rozpatrzenie tej sprawy miało miejsce w styczniu 2019 roku (szczegółowo zostało opisane w III części cyklu *Rodzinny doktorat*). Powołany wtedy opiniodawca dr hab. Szymon Grabowski (dzisiaj już profesor tytularny) z Instytutu Informatyki Stosowanej PŁ bardzo dokładnie sprawdził wszystkie zarzuty i opinie, obalając wcześniejszą ekspertyzę prof. Stanisława Ossowskiego z Politechniki Warszawskiej wykonaną dla Centralnej Komisji. Wykazał on, że rzekomy, choć stwierdzony przez eksperta, autoplgiat ze wspólnych prac obydwu braci odpowiada zaledwie 2% tekstu z jednego ich wspólnego artykułu, identyczne jest też tylko jedno zdanie z drugiego artykułu. Jednoznacznie natomiast potwierdził, że ponad 70% tekstu doktoratu Witolda jest ewidentnym plagiatem z doktoratu jego brata Adama. A tego, jego zdaniem, w żaden sposób nie można zaakceptować.

Mimo takich jednoznacznych dowodów, krakowscy recenzenci doktoratu (prof. Ewa Dudek-Dyduch oraz prof. Marek Skomorowski) zostali przy swoim wcześniejszym zdaniu, uważając że jest to „dobra praca doktorska, spełniająca ustawowe wymogi”. Podobnie uważał będący na sali promotor doktoratu, prof. Ryszard Tadeusiewicz, który tylko dodał, że jednak „kopiowania nie można tolerować” i takie postępowanie „jest skandaliczne”. W tajnym głosowaniu 16 października 2018 r. łódzka Rada Wydziału wieloma przeważającymi głosami również nie zaakceptowała doktoratu.

Dalsze odwołania

Witold Głowacz 3 grudnia 2018 r. odwołał się od odbierającej mu doktorat uchwały do Centralnej Komisji. Najpierw sprawa stanęła na Sekcji Nauk Technicznych (jej przewodniczącym był wówczas prof. Roman Barlik z Politechniki Warszawskiej). Powołano dwóch recenzentów-biegłych: prof. inż. Romana Śmierzchalskiego z Katedry Automatyki Politechniki Gdańskiej oraz prof. inż. Lilianę Byczkowską-Lipińską z Wyższej Szkoły Informatyki i Umiejętności w Łodzi. Obie recenzje-ekspertyzy – bardzo obszerna, ustosunkowująca się zarówno do zarzutów prawnych, jak i merytorycznych autorstwa prof. Śmierzchalskiego, jak i krótka, ale merytoryczna opinia prof. Byczkowskiej-Lipińskiej – były negatywne i oddalały odwołanie. Sekcja Techniczna CK 29 głosami przeciw uchyleniu uchwały, przy 1 głosie za uchyleniem i jednym wstrzymującym zagłosowała za nieuwzględnieniem odwołania Witolda Głowacza. Identyczne stanowisko zajęło 27 stycznia 2020 r. Prezydium CK, które jednogłośnie podjęło decyzję o utrzymaniu zaskarżonej uchwały łódzkiej Rady Wydziału.

W połowie kwietnia 2020 r. mecenas Jan Widacki w imieniu swojego klienta złożył na tę decyzję skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, zarzucając CK brak przeprowadzenia merytorycznej kontroli ustaleń Rady Wydziału oraz brak krytycznego odniesienia się do opinii powołanych biegłych-recenzentów. Wyrok WSA w tej sprawie zapadł 19 marca 2021 roku. Sędziowski skład orzekający, złożony z przewodniczącej – sędzi Ewy Kwiecińskiej, sprawozdawcy sprawy – sędzi Danuty Kani i sędzi Joanny Kube, oddalił skargę. W obszernym uzasadnieniu dokładnie przedstawiono wszystkie kroki obu rad wydziałów i Centralnej Komisji. Stwierdzono, że w świetle zgromadzonego w sprawie materiału dowodowego, decyzja o odmowie nadania stopnia jest uzasadniona. Ponadto, „ocenając przebieg postępowania Sąd nie stwierdził naruszeń prawa, które miałyby skutkować uchyleniem zaskarżonej decyzji”.

Wyrok ten został zaskarżony do Naczelnego Sądu Administracyjnego skargą kasacyjną z 6 lipca 2021 r. złożoną przez radcę prawnego, dr. Tomasza Borowca z Warszawy. W imieniu Witolda Głowacza zarzucił on prawne usterki w powołaniu recenzentów: prof. Romana Śmierzchalskiego oraz prof. Liliany Byczkowskiej-Lipińskiej. Motywował, że powołania dokonał pisemnie, nie mając umocowania prawnego, dyrektor Biura CK, dr Jerzy Deneka, a nie ktoś z kierownictwa Sekcji Technicznej czy z Prezydium Centralnej Komisji. Pełnomocnik wskazał też, że zarówno CK, jak i WSA pominęły korzystne dla skarżącego ustne stanowiska prof. Ryszarda Tadeusiewicza oraz prof. Marka Skomorowskiego przedstawione 16 października 2018 r. na Radzie Wydziału Elektrotechniki, Informatyki i Automatyki PŁ. Nie wzięto też pod uwagę pisemnego stanowiska prof. Ewy Dudek-Dyduch. W opinii skarżącego, „te stanowiska w sposób merytoryczny, syntetyczny i obiektywny odniosły się do pracy doktorskiej”. Te korzystne dla skarżącego opinie zostały jakoby zdewaluowane, zaś dowody i argumenty przemawiające na jego korzyść nie zostały wzięte pod uwagę. Zakwestionowano też rzetelność i skuteczność zagranicznych systemów antyplagiatowych, z których korzystano w Łodzi.

Wyrok NSA

Ostateczny wyrok w tej sprawie zapadł 18 grudnia 2024 r., dopiero po 3,5 roku od złożenia skargi kasacyjnej. Zespół sędziowski NSA w składzie: przewodnicząca sędzia NSA Teresa Zyglewska, sprawozdawca sędzia NSA Mirosław Winceniak i sędzia delegowany z WSA Kazimierz Bandarzewski oddalił skargę, uznając że nie zawiera ona usprawiedliwionych podstaw.

W obszernym uzasadnieniu NSA stwierdził, „że nie można podzielić zarzutu, że w sprawie nie wzięto pod uwagę pozytywnych recenzji oraz jednoznacznie pozytywnej opinii promotora rozprawy doktorskiej. Z uzasadnienia zaskarżonego wyroku, jak i decyzji organu odwoławczego, wynika, że cały materiał dowodowy znajdował się w posiadaniu organu oraz Sądu pierwszej instancji. Podkreślić należy, że sąd administracyjny, w ramach swej kognicji, nie jest uprawniony do oceny wartości naukowej dokumentacji złożonej przez kandydata, czy też trafności opinii recenzentów. Dlatego też argumentacja skargi wskazująca na wartość naukową pracy skarżącego w dyscyplinie informatyka i znaczenie proponowanych w niej rozwiązań dla praktyki przemysłowej – nie może być przedmiotem oceny merytorycznej Sądu. W zakresie kognicji sądu administracyjnego pozostaje bowiem wyłącznie zbadanie, czy w toku postępowania o nadanie tytułu naukowego nie doszło do naruszenia trybu postępowania określonego przepisami ustawy oraz przepisami k.p.a. Innymi słowy, sąd administracyjny bada jedynie aspekty formalne postępowania zakończonego wydaniem zaskarżonej decyzji (por. np. wyroki NSA z dnia; 29 lipca 2011 r.

sygn. akt I OSK 729/11 oraz 17 grudnia 2010 r. sygn. akt I OSK 1700/10, CBOSA)”.

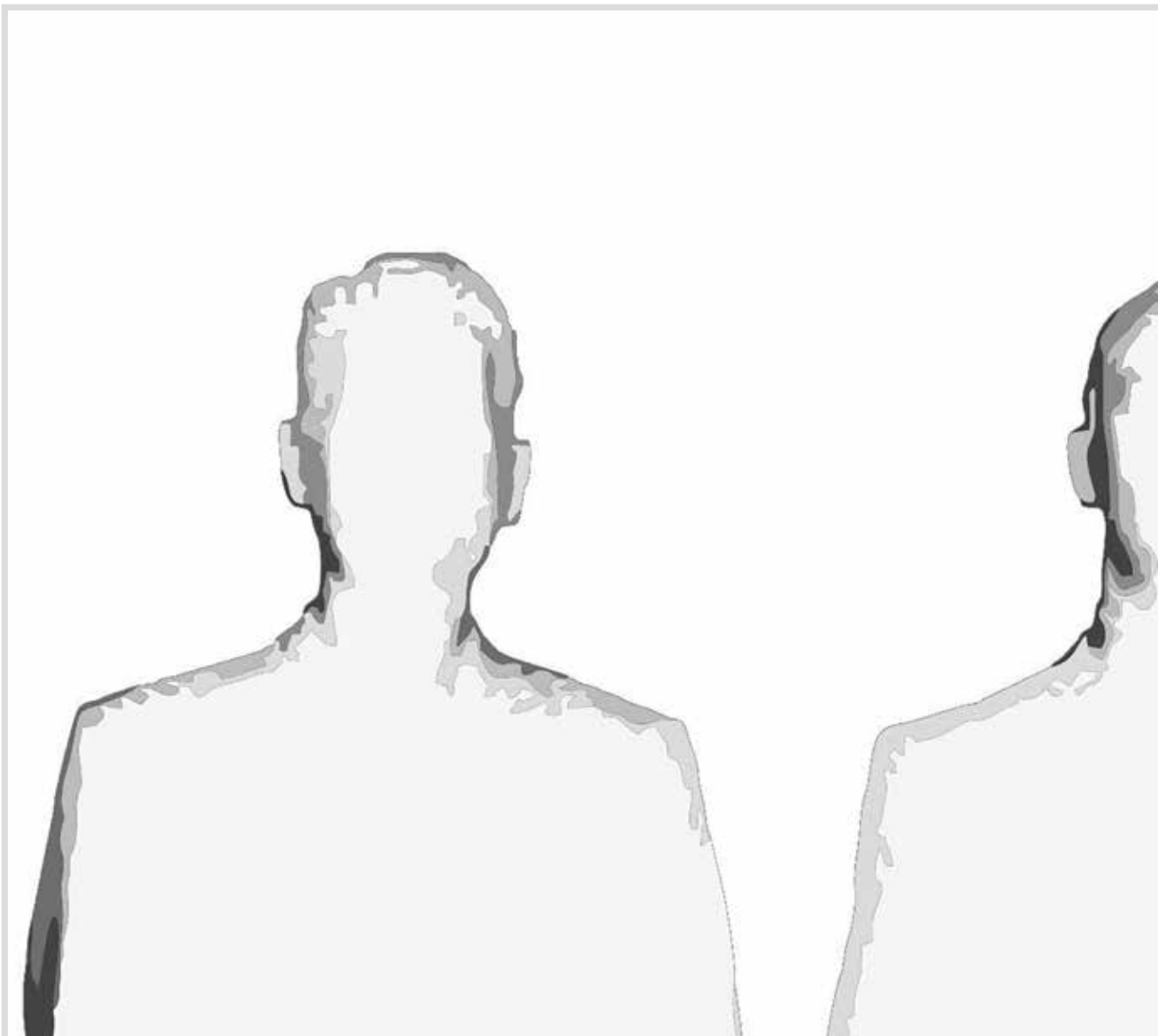
Sąd wprawdzie zgodził się, że „naruszono przepisy prawa materialnego poprzez ich niezastosowanie, tj. § 20 ust. 1 i § 20 ust. 2 Statutu w zw. z art. 35 ust. 5 ustawy. Według art. 35 ust. 5 ustawy, kompetencje organów Centralnej Komisji, sposób wyboru prezydium Centralnej Komisji, jej organizację i tryb działania oraz sposób powoływania recenzentów określa uchwalony przez nią statut. Z kolei z powołanych postanowień Statutu wynika, że upoważniony do powołania osób sporządzających opinie jest Przewodniczący właściwej Sekcji, a także Sekcja, Prezydium Komisji oraz Przewodniczący Komisji. Z akt administracyjnych wynika, że osoby sporządzające opinie zostały wyznaczone przez Dyrektora Biura CK, który powołał się na upoważnienie Sekretarza Centralnej Komisji, którego to upoważnienia w aktach administracyjnych nie ma. Zdaniem Sądu, powyższa okoliczność nie miała jednak wpływu na wynik postępowania, bowiem z akt sprawy wynika, że powołani profesorowie sporządzili kompletne opinie oraz są uznanymi naukowcami w zakresie nauk technicznych – dyscyplinie nauki, której dotyczyła oceniana rozprawa doktorska. Zatem wszystkie wymogi formalne zostały spełnione, a skarga kasacyjna nie wykazała wpływu braku wyjaśnień w zakresie umocowa-

nia Dyrektora Biura Centralnej Komisji na wynik postępowania w tej sprawie”.

Zatem osiem lat walki mgr. inż. Witolda Głowacza o utrzymanie nierzetelnego stopnia doktora nie dało pożądanego rezultatu, a sprawiedliwości stało się zadość.

Sprawa karna w Krakowie

Nie dowiedziałem się, kto zawiadomił lokalną prokuraturę o plagiacie w doktoracie, ale podobno nie była to ani uczelnia, ani rodzina. Być może zrobił to ktoś postronny, bo sprawa była opisywana w krakowskiej „Gazecie Wyborczej” i wywołała duże oburzenie społeczne. Faktem jest iż prokurator Jolanta Prodziewicz z Prokuratury Kraków-Krowodrże podjęła sprawę z urzędu. Akt oskarżenia wpłynął do Sądu Rejonowego Kraków-Śródmieście 27 czerwca 2019 r. Witoldowi Głowaczowi zarzucono „przywłaszczenie sobie autorstwa obszernych fragmentów pracy doktorskiej Adama Głowacza i przedstawienie jej jako własnej, nie podając zarówno w przypisach, jak i bibliografii pracy doktorskiej, z jakiej publikacji zostały zapożyczone, tj. o czyn z art. 115 ust. 1 ustawy z 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych”. Do przeprowadzenia procesu wylosowana została sędzia Małgorzata Rokosz z II Wydziału Karnego SR. Rozprawa toczyła się przez cały rok. Od 23 stycznia do 30 listopada 2020 r. odbyło się łącznie pięć rozpraw.

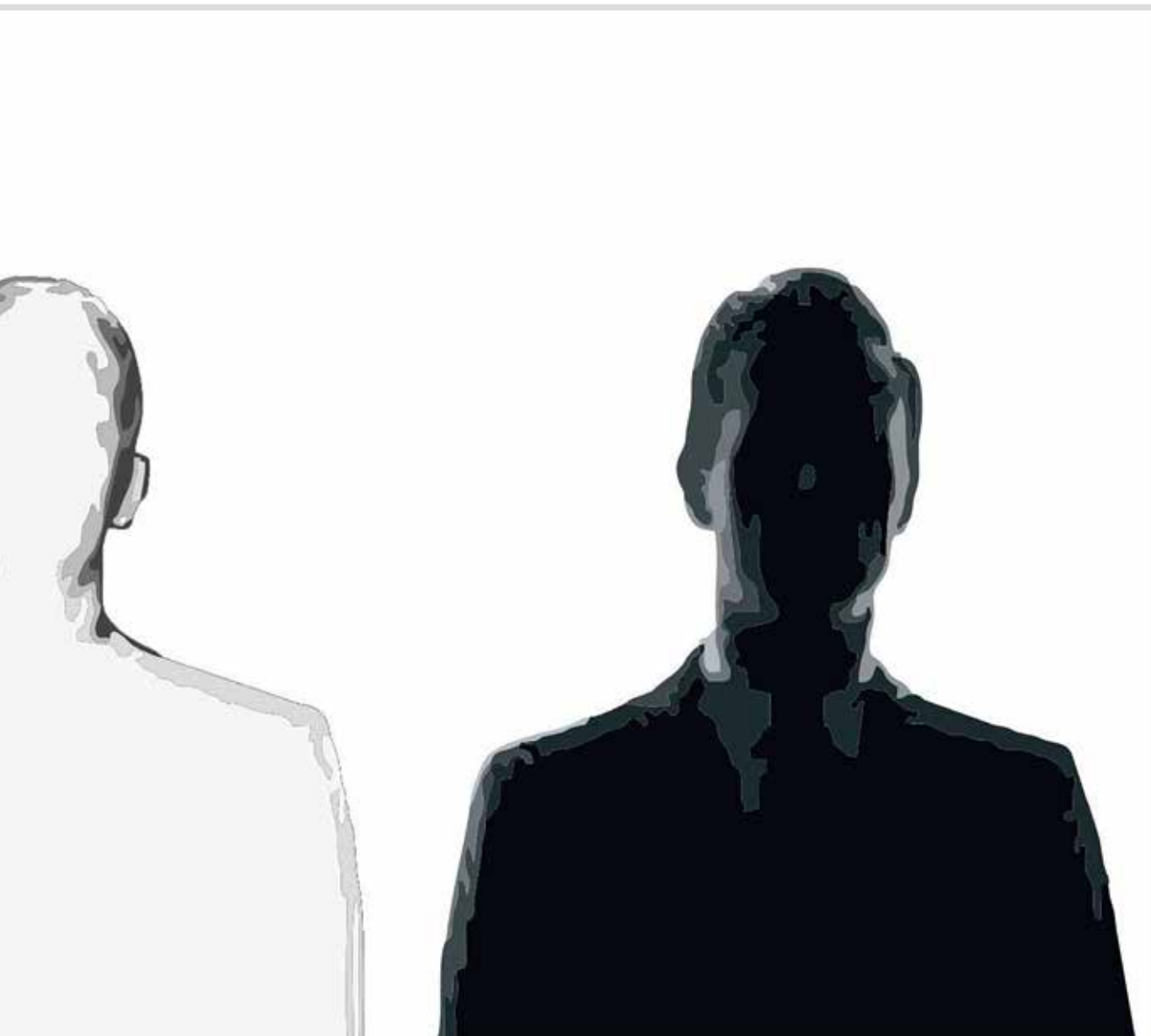


Wyrok wydano dwa tygodnie później – 14 grudnia 2020 r. SSR Małgorzata Rokosz uznała, że „swoim zachowaniem oskarżony zrealizował zarówno znamiona przedmiotowe jak i podmiotowe zarzuconego mu czynu zabronionego z art. 115 ust. 1 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych”. Jednak postanowiła prowadzone postępowanie karne umorzyć ze względu na znikomy stopień społecznej szkodliwości czynu i na wystąpienie negatywnej przesłanki procesowej unormowanej w art. 17 § 1 pkt 3 k.p.k. w zw. z art. 1 § 2 k.k.

Co było na sali sądowej

Poniższy tekst w znacznej części opiera się na dokumentach sądowych. Sam proces przebiegał dość sprawnie i szybko. Zeznawali obaj bracia Głowaczowie jak również promotor, prof. R. Tadeusiewicz i dwoje pierwotnych recenzentów doktoratu. Wszyscy utrzymywali, że nie było żadnego plagiatu, a oskarżony wykonał świetne badania. Przedstawiono też na podstawie dokumentów całą dalszą sekwencję zdarzeń, włącznie z treścią następnych recenzji w procesie odwoławczym, aż do momentu złożenia przez W. Głowacza skargi do WSA w Warszawie. Następnie wysłuchano obszernych zeznań biegłej sądowej z zakresu lingwistyki kryminalistycznej, prof. dr hab. Jadwigi Stawnickiej (z Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach). Wskazała ona, iż roz-

prawa doktorska mgr. inż. W. Głowacza zawiera znaczne fragmenty zawłaszczeń z rozprawy dr. inż. Adama Głowacza. Oceniając procentowo stopień zawłaszczenia tekstu biegła zeznała, że w rozdziale I wynosi on aż 99%, w V 96%, a w III – 76%. Z kolei tekst rozdziału II został zawłaszczony w 71%, VI w 37%, a wstępu w 20%. Biegła odnotowała także znaczne podobieństwo spisów treści obu prac, tożsamość rysunków (aż 24 tożsame rysunki!) oraz paralelizm tytułów prac. Podkreśliła, że zapożyczenia nie dotyczą często stosowanych (potocznych) zwrotów i mało istotnych z punktu widzenia merytorycznego, ale istotnych części pracy. Zwróciła uwagę, że oskarżony zastosował zabiegi maskujące w celu wprowadzenia odbiorcy w błąd, co do autorstwa tekstu. Polegało to na opuszczaniu, dodawaniu czy zamianie fragmentów tekstu (wyrazów, fraz) na synonimiczne, a także zmiany formy gramatycznej wyrazów (np. zmiana liczby rzeczowników czy czasu czasownika). Biegła podkreśliła, że można wskazać fragmenty zawłaszczone przez Witolda Głowacza oraz fragmenty, w których dokonał on celowej modyfikacji tekstu w celu ukrycia zawłaszczenia. Prof. Stawnicka podkreśliła, iż tożsame fragmenty tekstu nie mogły zostać w procesie twórczym wykreowane przez jedną osobę. Każdy bowiem użytkownik języka używa charakterystycznego dla siebie zespołu cech językowych. Cechy te ujawniają się na poziomie leksykalnym, użycia związków wyra-



zowych, w tym skonwencjonalizowanych związków, oraz na poziomie składniowym. Wykluczona zatem jest tzw. twórczość równoległa, również w sferze użycia języka naukowego. W przypadku dwóch identycznych fragmentów tekstów autorami nie mogą być dwie różne osoby. Również zaprzecza autorstwu dwóch osób dokonywanie celowych modyfikacji w tekście w celu zatuszowania zawłaszczenia tekstu i wprowadzenia w błąd odbiorcy, co do rzekomego autorstwa tekstu zawłaszczonego.

Oskarżony Witold Głowacz utrzymywał, że jego doktorat jest samodzielną pracą naukową i nie stanowi plagiatu rozprawy doktorskiej brata Adama.

Uzasadnienie wyroku

Sąd dał wiarę wyjaśnieniom oskarżonego tylko w części. Sędzia zwróciła uwagę, że aczkolwiek „oskarżony Witold Głowacz – mimo, że werbalnie nie przyznawał się do popełnienia zarzucanego mu czynu – to w swoich wyjaśnieniach potwierdził, że jego rozprawa doktorska nie zawiera wskazań, że jest to fragment cytowany, pomimo iż przytaczał publikację młodszego brata bądź publikacje wspólne. Na wiarę zasługują wskazania oskarżonego, iż jego praca bazuje na pomiarach prądów i napięć, zaś praca Adama Głowacza na pomiarach dźwięków, co stanowi zasadniczą różnicę obu prac. Wskazane rozprawy doktorskie zawierały inne metody klasyfikacji i ekstrakcji cech. W jego pracy częstotliwość próbkowania wynosiła od 0-20 kiloherców, a w pracy jego brata od 20-50. Przedłożony wykaz publikacji potwierdza także, iż oskarżony jest autorem i współautorem licznych publikacji z dziedziny będącej przedmiotem jego pracy doktorskiej. Wyjaśnienia oskarżonego w zakresie, w jakim opisywał zakres pracy doktorskiej, wcześniejszy dorobek naukowy i pracę naukową – są spójne, rzeczowe, logiczne i konsekwentne, jak i zgodne z pozostałym uznanym za wiarygodny materiałem dowodowym”.

Sąd uznał także za w pełni wiarygodne zeznania promotora i dwójki pierwotnych recenzentów. Natomiast sędzia Małgorzata Rokosz bardzo wysoko oceniła opinię pisemną prof. Jadwigi Stawnickiej, biegłej z zakresu lingwistyki kryminalistycznej. Uznała, że była ona rzetelna, jasna oraz pełna. Podkreśliła, że biegła dokonała szczegółowej analizy porównawczej rozprawy doktorskiej oskarżonego i dr. A. Głowacza, a wniośki z tej analizy przedstawiła w sposób jasny i kategoryczny. Co więcej, podczas składania ustnej opinii biegła udzieliła wyczerpujących i stanowczych odpowiedzi na pytania stron postępowania i Sądu, odnosząc się również do zarzutów dotyczących braku Jej wiedzy specjalistycznej z zakresu pracy, która była przedmiotem opiniowania. Wskazywała ona nie tylko na tożsamości na poziomie językowym, ale i inne, oraz w sposób kategoryczny wykluczyła, aby dwie różne osoby, nawet z kręgu rodziny, czy też współpracujące na polu naukowym i wspólnie publikujące, używały identycznych zwrotów, sformułowań, zdań czy całych opisów.

Sąd uznał za wiarygodne dokumenty przedstawione na sali sądowej i zgromadzone w aktach, gdyż zostały sporządzone przez uprawnione osoby i zawierają obiektywne treści. Nie były też kwestionowane przez strony postępowania. Nie dał jednak wiary wyjaśnieniom oskarżonego Witolda Głowacza, iż pracę tworzył sam, w oparciu o własne badania i dorobek naukowy, jak i ten stworzony wspólnie z bratem Adamem. Zdaniem Sądu, ta część wyjaśnień oskarżonego jest sprzeczna z pozostałym, uznanym za wiarygodny, materiałem dowodowym. Przede wszystkim przeczy jej porównanie treści pracy oskarżonego i pracy brata A. Głowacza. Ta część wyjaśnień oskarżonego, w której zaprzecza on jakoby popełnił plagiat, jest również sprzeczna wewnętrznie, albowiem sam Witold Głowacz przy-

znał, iż pisząc rozprawę doktorską „bazował” na pracy brata, który temu nie oponował.

Do pracy brata oskarżony odwołuje się jedynie trzykrotnie. Zdaniem Sądu, wykorzystał on bardzo obszerne fragmenty cudzego tekstu, przekraczając granice dozwolonego cytatu oraz włączył je do pracy sygnowanej swoim nazwiskiem. Potwierdza to jego sprawstwo i winę w zakresie zarzucanego mu przestępstwa z art. 115 ust. 1 ustawy o prawie autorskim. Oskarżony działał przy tym umyślnie, gdyż wiedział, z jakiego źródła korzystał przy tworzeniu swojej rozprawy doktorskiej. Jest on osobą dorosłą, zaś jego czyn uznać należy za zawiniony.

Z drugiej strony, w przedmiotowej sprawie nie ulega wątpliwości, iż oskarżony Witold Głowacz nie przypisał sobie autorstwa ustaleń naukowych zawartych w rozprawie doktorskiej brata Adama. Ta ostatnia praca dotyczy badania stanów przedawaryjnych maszyn na podstawie sygnałów akustycznych, natomiast jego praca dotyczy badania stanów przedawaryjnych maszyn na podstawie pomiarów sygnałów prądowo-napięciowych. Jest to podstawowa różnica obu rozpraw doktorskich. To determinuje, jakie zakłócenia, czyli jakie uszkodzenia maszyn i silników można wykrywać i do jakich urządzeń można stosować te metody, a są one komplementarne i uzupełniają się. Dlatego też, zdaniem Sądu, obydwie rozprawy doktorskie rozwiązywały inny problem naukowy. Oskarżony badał bowiem, czy za pomocą zmienności prądu i napięcia jest możliwe wykrycie, czy może dojść do awarii danej maszyny.

W ocenie Sądu zachowanie oskarżonego cechowało się znikomym stopniem społecznej szkodliwości i wobec powyższego należało umorzyć prowadzone przeciwko niemu postępowanie karne. Sędzia uznała, że sama realizacja znamion czynu spenalizowanego we wskazanej ustawie o prawach autorskich, nie jest wystarczająca, aby pociągnąć sprawcę do odpowiedzialności karnej. Do skazania konieczna jest konstatacja, iż popełniony przez Witolda Głowacza czyn był karygodny, a zatem cechował się stopniem społecznej szkodliwości, który jest wyższy niż znikomy. Powyższe ustalenie, jest niezbędnym warunkiem przyjęcia, iż mamy do czynienia z przestępstwem, gdyż nie każdy czyn bezprawny i karalny jest również karygodny. Karygodne są tylko takie czyny, które osiągnęły wyższy niż znikomy stopień społecznej szkodliwości. Jednakże zdaniem Sądu, czyn z art. 115 ust. 1 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych popełniony przez oskarżonego, nie spełnia wymogu karygodności, gdyż cechuje się znikomym stopniem społecznej szkodliwości. Prokurator Jolanta Prodziewicz nie złożyła apelacji od wyroku. Dlatego Witold Głowacz nie poniósł kary, jednak musiał pokryć koszty sądowe w wysokości 809 zł.

Postępowanie dyscyplinarne

Z przykrością muszę podsumować, że postępowanie dyscyplinarne, które przeprowadzono na AGH, nie jest wzorem do naśladowania. Ówczesny rektor, prof. Tadeusz Słomka, polecił wszczęcie postępowania wyjaśniającego skierował do rzecznika dyscyplinarnego, prof. Janusza Majty, dopiero po 9 miesiącach od otrzymania od dziekana wydziału informacji o plagiacie, a powinien to zrobić niezwłocznie. Aczkolwiek rzecznik wnioszek o ukaranie asystenta W. Głowacza skierował do Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej już po 3 miesiącach, to jednak żądana kara nagany była niewspółmiernie niska w stosunku do rangi przewinienia. Rzecznik stwierdził, że powodem ukarania nie był plagiat w doktoracie, ale „wykorzystanie bardzo obszernej ilości tekstu z wcześniej obronionej pracy doktorskiej dra inż. Adama Głowacza – we własnej rozprawie doktorskiej, bez należytej informacji o źródłach jego pochodzenia, co mogło wywrzeć wrażenie, że obwiniony ma pełne prawo autorskie, co do treści i formy wykorzystanego tekstu. Tym samym jest

to czyn uchybiający obowiązkom nauczyciela akademickiego oraz godności zawodu w zakresie co najmniej obowiązku dbania o rzetelność, uczciwość i staranność w prowadzeniu działalności naukowej”. W tej sytuacji zaś uznał karę nagany za dostatecznie dotkliwą, ale równocześnie podkreślił, że obwiniony nie wykazał żadnej skrucy. O tym, że *de facto* popełniono plagiat i poważnie naruszono prawo autorskie, rzecznik nie wspominał, argumentując, że o plagiacie może orzec tylko sąd, co nie jest prawdą.

Komisja dyscyplinarna w składzie: przewodniczący dr hab. Piotr Saługa z Katedry Zarządzania, członkowie: dr Jerzy Palosza z Wydziału Humanistycznego oraz student, ukarała mgr. inż. Witolda Głowacza naganą, uważając, że kara jest zasadna i adekwatna do zarzucanego czynu. Mimo tak wyjątkowo łagodnego potraktowania przez uczelnię, mecenas Jan Widacki pod koniec listopada 2018 r. złożył odwołanie do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie. Argumenty były podobne: że to nie jest plagiat, gdyż zapożyczeń nie dostrzegli ani promotor, ani recenzenci doktoratu.

Komisja, działając w trybie odwoławczym w składzie: przewodniczący i sprawozdawca dr hab. Maciej Małolepszy z Instytutu Nauk Prawnych Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkowie: dr hab. Zbigniew Ciekankowski z Akademii Białskiej im. Jana Pawła II w Białej Podlaskiej oraz doktorant Tomasz Stach z Politechniki Opolskiej, uchyliła orzeczenie i zwróciła do ponownego rozpoznania. Głównym powodem był „szkolny błąd”: zabrakło wymaganych prawem podpisów składu orzekającego pod sentencją orzeczenia. Złożono je tylko na końcu uzasadnienia. Każde orzeczenie dyscyplinarne musiało bowiem być podpisane zarówno na pierwszej stronie pod sentencją, jak i na końcu uzasadnienia.

Nowa rozprawa dyscyplinarna odbyła się przed Komisją Dyscyplinarną AGH 20 lutego 2020 r. Nowy zespół orzekający w składzie: przewodniczący prof. Kazimierz Różański (obecnie już nieżyjący) z Katedry Zastosowań Fizyki Jądrowej, a także prof. dr hab. inż. Adam Kruk z Katedry Metaloznawstwa i Metalurgii Proszków oraz studentka Natalia Kurowska z Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska, ponownie nałożył na Witolda Głowacza karę nagany. Od tego orzeczenia obwiniony znowu się odwołał i ponownie Komisja Dyscyplinarna RGNiSW na rozprawie 2 grudnia 2020 r. uchyliła orzeczenie Komisji Dyscyplinarnej AGH. Zasadniczym powodem uchylecia był fakt, iż obwiniony „pozbawiony był możliwości prowadzenia obrony w sposób samodzielny i rozsądny (naruszenie prawa do obrony), zatem powinna być mu udzielona obligatoryjna obrona (mecenas Jan Widacki przestał być obrońcą W. Głowacza). Obrońcą z urzędu, został jeden z emerytowanych profesorów uczelni, Jan Tadeusz Duda, którego AGH wyznaczyła 14 maja 2021 r., zgodnie ze wskazaniem W. Głowacza.

Po ponownym rozpoznaniu sprawy i przeprowadzeniu szczegółowego postępowania wyjaśniającego i dowodowego, orzeczeniem z dnia 1 lipca 2021 r. Komisja Dyscyplinarna AGH uznała obwinionego winnym zarzucanych czynów i wymierzyła karę nagany. Od tego orzeczenia W. Głowacz wraz z obrońcą, złożyli 7 września 2021 r. kolejne odwołanie, zarzucając „niestaranność w przeprowadzeniu ustaleń faktycznych” i kwestionując je. W kolejnym – już trzecim – orzeczeniu odwoławczym z 10 maja 2024 r. Komisja Dyscyplinarna RGNiSW oddaliła odwołanie i utrzymała karę nagany. Uznała, że podstawy odwoławcze podniesione w odwołaniu są bezzasadne. Stanowią wyraz subiektywnej i wybiórczej oceny stanu faktycznego obrońcy i powoda, a przywołane argumenty nie zasługują na uwzględnienie w świetle całości materiału dowodowego, a zmierzają oni jedynie do zakwestionowania obiektywnych ustaleń dokonanych w postępo-

waniu dowodowym bez podania konkretnych argumentów prawnych. Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, iż odwołanie Witolda Głowacza z września 2021 r. rozpoznano dopiero w maju 2024 r. czyli prawie po trzech latach – w dodatku na rozprawie niejawniej

Wyrok Sądu Apelacyjnego

Od tego już finalnego orzeczenia w procedurze dyscyplinarnej (sygn. akt KDRG-613 II 20/2021) Witold Głowacz złożył przysługujące mu odwołanie do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Wpłynęła ona do Sądu 8 października 2024 r. i otrzymała sygnaturę III APo 28/24 i czekała rok na rozpatrzenie.

Sędzia SSA Marzena Wasilewska wydała wyrok 6 listopada 2025 r. Uchyliła orzeczenie Komisji przy Radzie Głównej, zwracając sprawę do ponownego rozpatrzenia. Sąd jasno ustalił, „jakiego rodzaju orzeczenia mogą być wydane przez Komisję drugiej instancji i w katalogu tych orzeczeń nie zawiera się orzeczenie o utrzymaniu w mocy orzeczenia Komisji dyscyplinarnej pierwszego stopnia. Zgodnie z powołanym przepisem na posiedzeniu niejawnym Komisja drugiego stopnia mogła jedynie wydać orzeczenie, którego treścią jest uchylenie orzeczenia Komisji pierwszego stopnia i przekazanie sprawy do ponownego rozpoznania lub umorzenia postępowania, wydanie postanowienia o odmowie przyjęcia odwołania. W pozostałych przypadkach Komisja drugiego stopnia była zobowiązana skierować sprawę na rozprawę odwoławczą, co w niniejszej sprawie nie miało miejsca. Nadto w stosunku do obwinionego wymierzono karę dyscyplinarną nagany, a zgodnie z § 34 ust. 2 pkt 1 i 2 rozporządzenia orzeczenie o uznaniu obwinionego za winnego popełnienia przewinienia dyscyplinarnego i wymierzeniu kary nagany mogło być wydane wyłącznie na rozprawie, natomiast w niniejszej sprawie Komisja drugiej instancji procedowała na posiedzeniu niejawnym, co oznacza, że obwiniony nie mógł realizować prawa do obrony. Ustawa o szkolnictwie wyższym przewiduje ściśle określone przypadki, w których dopuszczalne jest procedowanie przez Komisję dyscyplinarną drugiego stopnia na posiedzeniu niejawnym. W stosunku do obwinionego w ustalonym stanie faktycznym takiej możliwości procedowania nie było, co stanowi obrazę przepisów postępowania, która mogła mieć wpływ na treść orzeczenia, bowiem obwiniony został pozbawiony możliwości wypowiedzenia się co do zgromadzonego materiału dowodowego, zgłoszenia ewentualnych dodatkowych wniosków dowodowych co mogło mieć wpływ na ustalenia stanu faktycznego.”

Ten wyrok wskazuje na brak przestrzegania prawa przez Komisję Dyscyplinarną przy RGNiSW, którą kieruje już kolejną kadencję prof. Hanna Paluszkiewicz z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego.

Mecz „dyscyplinarnego ping ponga” trwa, ale mam wrażenie, że główny zawodnik, mgr inż. Witold Głowacz, wypadł z gry, gdyż 30 września 2025 r., po 14 latach, przestał pracować na Akademii Górniczo-Hutniczej. Powodów jego rozstania z uczelnią nie byłem w stanie dociec, gdyż AGH „chroni jego prywatność”, zapominając iż nauczyciele akademicki jako osoby pełniące funkcje publiczne, w sprawach związanych z wykonywaniem zawodu, są tej ochrony z mocy prawa pozbawieni.

Zapewne gdy poznamy finał ponownego rozpoznania jeszcze raz wrócimy do tej sprawy, chyba najdłużej ciągnącej się w historii spraw dyscyplinarnych.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym.
Zajmuje się patologią nauki od 28 lat.

Rozmowa z dr. hab. Bernardem Ziębickim, prof. UEK, rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie

Uniwersytet w starym przytułku

Gdybyśmy nawet uzyskali status uniwersytetu klasycznego, nie zechcemy odchodzić od naszej dotychczasowej nazwy, która jest rozpoznawalną marką na rynku edukacyjnym. Przymiotnik „ekonomiczny” buduje naszą przewagę i nie chcemy z niej rezygnować.

To ciekawe, że samodzielne uczelnie ekonomiczne powstały jeszcze przed drugą wojną światową, nawet wrocławską sięga do starszej tradycji niemieckiej.

Najczęściej były to szkoły handlowe, tworzone w okresie dynamicznego rozwoju gospodarczego Polski międzywojennej, kiedy była potrzeba dostarczenia na rynek dużej liczby specjalistów z zakresu handlu, ekonomii, biznesu. Klasyczne uniwersytety nie interesowały się jeszcze tymi obszarami wiedzy. Dlatego w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim też nie rozwijano badań z tego zakresu. Profesorowie UJ Arnold Bolland, Albin Żabiński i Zygmunt Sarna byli twórcami naszego uniwersytetu, czyli ówczesnej Akademii Handlowej w Krakowie, i jego kolejnymi rektorami. Dostali zgodę rektora i Senatu UJ na utworzenie odrębnej uczelni, która miała rozwijać kształcenie i badania w nowej dyscyplinie. W tej prywatnej uczelni dobrze dorabiali do swoich etatów uniwersyteckich.

Jak to w ogóle było, że powstały nauki ekonomiczne?

W okresie, o którym mówiłem, ekonomia dopiero się kształtowała. Początki takich uczelni jak nasza wiązały się z towaroznawstwem, produktami, elementami twardej ekonomii. Pierwszy rektor, profesor Bolland, był towaroznawcą, jest autorem jednego z bardziej znanych w tamtych czasach podręczników towaroznawstwa. Przez długie lata w Polsce mieliśmy dziedzinę nauk ekonomicznych, która była podzielona na cztery dyscypliny: ekonomia, finanse, zarządzanie i towaroznawstwo. Po 2018 roku nastąpiła ogromna zmiana, gdyż zlikwidowano dziedzinę nauk ekonomicznych, a dyscypliny, które ją tworzyły, zmieniono i włączono do dziedziny nauk społecznych. Są to obecnie ekonomia i finanse, a więc dwie wcześniejsze dyscypliny, oraz nauki o zarządzaniu i jakości, które powstały z połączenia zarządzania i towaroznawstwa. Odnosząc to do klasyfikacji międzynarodowej, można powiedzieć, że ekonomia i finanse oraz to co się kryje pod pojęciem nauk o zarządzaniu, to jest ekonomia i biznes. Natomiast uczelnie ekonomiczne wychodzą poza te typowe dla dawnych nauk ekonomicznych obszary wiedzy. Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie w ostat-

niej ewaluacji poddał ocenie pięć dyscyplin naukowych. Poza dwoma wspomnianymi dyscyplinami, będącymi następczyniami dawnych dyscyplin dziedziny nauk ekonomicznych, ewaluowaliśmy także nauki prawne, nauki o polityce i administracji oraz geografię społeczno-ekonomiczną. W najbliższej ewaluacji planujemy poddać ocenie dwie kolejne dyscypliny: informatykę w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych oraz nauki o kulturze i religii w dziedzinie nauk humanistycznych. W ten sposób wyjdziemy poza dziedzinę nauk społecznych i wejdziemy w dwie zupełnie nowe dla nas dziedziny, co przełoży się – bo zakładam sukces w najbliższej ewaluacji – na wejście Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie do grupy uczelni spełniających wymóg formalny uzyskania statusu uniwersytetu klasycznego. Zgodnie z ustawą prowadzenie badań w sześciu dyscyplinach w trzech dziedzinach uprawnia do posługiwania się nazwą uniwersytet. W przypadku uczelni ekonomicznych posługiwanie się nazwą uniwersytet wynikało z ustawy o szkolnictwie wyższym z 2005 roku, która dopuszczała istnienie tzw. uniwersytetów przymiotnikowych.

Czy to znaczy, że po pozytywnej ewaluacji siedmiu dyscyplin zmienicie nazwę?

Ustawa precyzyjnie określa, kiedy uczelnia staje się uniwersytetem. Gdybyśmy nawet uzyskali statut uniwersytetu klasycznego, wynikający z posiadanych uprawnień akademickich, nie zechcemy odchodzić od naszej dotychczasowej nazwy, która jest rozpoznawalną marką na rynku edukacyjnym. To jest nasza przewaga rynkowa. Gdybyśmy weszli na rynek uniwersytetów klasycznych, to w samym Krakowie mamy już cztery uniwersytety. My bylibyśmy piątym. Przymiotnik „ekonomiczny” buduje naszą przewagę i nie chcemy z niej rezygnować. Doświadczenie wielu uczelni na świecie, które wywodzą się z biznesowego źródła, pokazuje, że przejście do nowej nazwy nie jest korzystne. Dla nas pewnym wzorcem jest London School of Business. Obecnie jest to uczelnia wielokierunkowa, z szerokim spektrum kształcenia społecznego, która jednak pozostała przy swojej pierwotnej nazwie.



Czym właściwie są nauki ekonomiczne, czym się zajmujecie?

Nauki ekonomiczne w tradycyjnym sensie nie posiadały własnego aparatu badawczego. Badając zjawiska ekonomiczne, gospodarcze, biznesowe korzystamy z metod właściwych dla nauk społecznych i w pewnym stopniu metod matematycznych. W dyskursie naukowym podnosi się kwestię, czy w ogóle nauki ekonomiczne są naukami. Jednak w 1968 roku Bank Szwecji uznał, że warto przyznawać Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii, czym niejako autoryzował istnienie nauk ekonomicznych.

Spora część tych nagród dotyczyła badań i odkryć, w których wykorzystywano zaawansowane metody matematyczne.

Słuszna uwaga. Także znaczenie badań naukowych w zakresie ekonomii dla rozwoju cywilizacyjnego, społecznego, gospodarczego potwierdza, że jest to nauka. Ona się zajmuje badaniem zjawisk gospodarczych, identyfikacją trendów i procesów, powiązaniem przyczynowo-skutkowym różnych zjawisk gospodarczych i ich skutków społecznych. To wszystko jest realizowane na różnych poziomach: globalnym, krajowym, ale również regionalnym czy też przedsiębiorstw lub nawet ich jednostek organizacyjnych. Ważnym obszarem badań ekonomicznych są także zachowania pojedynczych konsumentów. Tak w największym skrócie można określić przedmiot badań ekonomicznych.

Jest też subdyscyplina ekonomii zwana ekonometrią.

To zastosowanie metod matematycznych do badania zjawisk ekonomicznych czy zachowań gospodarczych, w tym ich modelowania. Znaczna część badań ekonomicznych ma charakter ankietowy. Możliwość weryfikacji tych danych i hipotez stawianych na ich podstawie, mimo zaawansowania metod tego rodzaju, jest ograniczona, natomiast przy metodach matematycznych wiarygodność jest znacznie większa. Co więcej, dostarczają one sporo odkrywczej wiedzy, która może być wykorzystywana przez inwestorów, polityków. Taka wiedza ma dużą wartość użytkową. Wiedza ekonomiczna pozwala nam podejmować dobre decyzje przy zarządzaniu przedsię-

Dr hab. **Bernard Ziębicki**, prof. UEK, jest specjalistą w zakresie metod organizacji i zarządzania, nowych koncepcji zarządzania, efektywności organizacyjnej, systemów wynagrodzeń, zarządzania informacjami. Jest autorem i współautorem ponad 230 publikacji naukowych. Był wykonawcą i współwykonawcą ponad 30 projektów badawczo-wdrożeniowych dla praktyki gospodarczej. W macierzystej uczelni kieruje Katedrą Metod Organizacji i Zarządzania; był dziekanem Kolegium Nauk o Zarządzaniu i Jakości, a od 2024 roku jest rektorem UEK. Kierował też studiami podyplomowymi w Krakowskiej Szkole Biznesu UEK dla kierunków: „Dokształcanie umiejętności menedżerskich” – studia dedykowane dla kadry kierowniczej Grupy Kapitałowej „Kęty” S.A. (2007-2008), „Podstawy przedsiębiorczości” – studia podyplomowe dla nauczycieli (projekt współfinansowany przez Narodowy Bank Polski) (2010-2011), „Comarch Executive Academy – studia podyplomowe typu MBA” – dedykowane studia podyplomowe dla kadry menedżerskiej Comarchu (2015-2019), „Kadry i płace” (2014-2020). Jest członkiem Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN.

biorstwami, branżami przemysłowymi, sektorami gospodarki czy wreszcie państwami.

Wszystkie założone przed wojną prywatne uczelnie ekonomiczne wznowiły po wojnie działalność, by w ciągu kilku lat zostać znacjonalizowanymi.

Nasza uczelnia dosyć długo pozostała prywatna. W 1950 roku władza ludowa uświadomiła sobie jednak, że z ogromnym powodzeniem w Krakowie działa całkiem duża prywatna uczelnia i to w burżuazyjnym systemie opłat za edukację. Podjęto wówczas decyzję o upaństwowieniu uczelni i jej przemianowaniu na państwową szkołę akademicką pod nazwą Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie. Upaństwowienie uczelni wprowadzało szereg wymogów narzucanych przez państwo, ale – jak się okazało – nie gwarantowało jej dalszego istnienia. Już na początku roku 1952 Ministerstwo Szkolnictwa oraz Wydział Nauki Komitetu Centralnego PZPR przygotowały projekt jej likwidacji. Miał on na celu wykorzenienie kulturowanych tu myśli ekonomicznych, nieprzystających do kierunku, w któ-

rym zmierzało socjalistyczne państwo. Jako powód likwidacji oficjalnie podawano złe warunki lokalowe, niesłużące rozwojowi uczelni, oraz brak zainteresowania tego typu wykształceniem w Krakowie i okolicach.

Projekt ten przedstawiony został na posiedzeniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, a jedynym przedstawicielem WSE, uczestniczącym w spotkaniu z innego powodu, był Julian Rejduch (pracownik uczelni). Występując przeciwko likwidacji Akademii, argumentował, iż jest ona jedyną wyższą szkołą o takim charakterze na południowo-wschodnim obszarze kraju, więc nie jest możliwy brak zainteresowania tym kierunkiem kształcenia. Zasugerował też, iż w ramach rozwiązania problemów lokalowych można główną siedzibę uczelni przenieść na ulicę Rakowicką 27, do budynków pozostałych po Fundacji Księcia Aleksandra Lubomirskiego. Do mocno zdewastowanego obiektu przy ulicy Rakowickiej WSE przeniosła się w przerwie wakacyjnej roku 1952. Do budynków Fundacji Lubomirskiego przylegała duża działka, na której zbudowaliśmy nasz kampus.

Natomiast nasz przedwojenny budynek jest na ulicy Sienkiewicza, a pierwsza siedziba uczelni, która jednak nie posiadała do niej prawa własności, mieściła się u zbiegu ulic Kapucyńskiej i Podwale. Ten okazały budynek do dzisiaj mieści Zespół Szkół Ekonomicznych. Przy sklepieniu wciąż widnieje tam napis Akademia Handlowa. Budynki przy Sienkiewicza wciąż użytkujemy. Mieści się tam Instytut Nauk o Jakości, który powstał na bazie Instytutu Towaroznawstwa, czyli najstarszej jednostki uczelni.

Czy pod względem lokalowym macie wszystko, czego potrzebujecie?

Nie. Jesteśmy bardzo dużą uczelnią, która w szczególności od okresu transformacji ustrojowej na początku lat 90. cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem studentów. W szczytowym okresie studiowało u nas 22 tysiące studentów. Mieśliśmy wówczas sporo zamiejscowych ośrodków dydaktycznych. W weekendy na studiach zaocznych było całkiem sporo studentów. Obecnie kształcimy tylko w Krakowie. Mamy 17 tysięcy studentów. To znacznie więcej, czasami dwa razy więcej,



niż każda z pozostałych uczelni ekonomicznych. To zapewne zasługa szerokiej oferty kształcenia i renomy uczelni. Nasi absolwenci nie mają problemu ze znalezieniem pracy. Kraków to europejska stolica centrów biznesowych. U nas jest najwięcej shared service'ów i centrów outsourcingu biznesowego. To jest ponad 250 tego typu firm, które zatrudniają ponad 120 tysięcy pracowników. Te firmy obsługują procesy biznesowe największych koncernów na świecie, takich jak: Shella, Heinekena, Google, Capgemini, Cisco, Motorola Solutions, Aptiv, EPAM, czy PMI (Philip Morris). Ostatnio swoje centrum kompetencyjne otworzył Rolls Royce. Zostałem zaproszony na otwarcie tego oddziału. Nasi absolwenci znajdują tam zatrudnienie. To świetne miejsce kariery dla absolwentów studiów ekonomicznych. Mamy w tej chwili w Krakowie najwyższe średnie wynagrodzenia w Polsce i to jest związane właśnie z obecnością firm międzynarodowych.

Skąd pochodzą studenci UEK?

Głównie z Krakowa i okolic, ale także ze wschodniej części Małopolski. Mamy też tysiąc czterystu studentów obcokrajowców z 62 krajów na świecie, oczywiście najwięcej, aż 800, to Ukraińcy; druga liczna grupa to Białorusini.

Czy macie akademiki?

Domy studenckie wynajmujemy od innych uczelni, posiłkujemy się też prywatnymi akademikami. Uczelnie ekonomiczne miały niegdyś lokalny charakter, dlatego nie mieliśmy żadnego akademika. Od lat 70. wynajmujemy duży akademik od Uniwersytetu Rolniczego na postawie umowy długoterminowej. Prowadzimy pełne zarządzanie tym obiektem, łącznie z odtwarzaniem infrastruktury. Mamy też akademik z lat 50., ale w dobrym stanie. Łącznie mamy 800 miejsc noclegowych dla studentów. To dużo poniżej zapotrzebowania, bo podań wpływa każdego roku dwa razy tyle. Natomiast w Krakowie jest spora oferta prywatnych akademików, nieco droższych, ale też o wyższym standardzie.

Czy w związku z tym planujecie budowę domu studenckiego?

Tak, planujemy budowę lub zakup akademika. Nie jesteśmy jednak w stanie z własnych środków sfinansować takiej inwestycji. Status uczelni publicznej uniemożliwia nam „zarabianie” pieniędzy. Generowane przez nas przychody z różnego typu opłat, co do zasady, mają charakter refundowania poniesionych kosztów. Liczymy na uruchomienie deklarowanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego programów wsparcia budowy akademików, które umożliwiłyby nam realizację tego przedsięwzięcia.

Jak to się stało, że UEK pozostał samodzielną uczelnią przy tendencjach konsolidacyjnych ostatnich trzydziestu lat.

Pomysł konsolidacji powraca od czasu do czasu jak bumerang. My tu w Krakowie obserwujemy, jak trudno połączyć dwa organizmy na przykładzie Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Medycznej. Uniwersytet skorzystał na tym połączeniu wizerunkowo, na pewno jednak nie zmniejszyły się koszty. My nie cierpimy na brak studentów. Mamy własny model rozwoju. Nie widzę w tym momencie potrzeby konsolidacji. Tworzenie dużych uczelni nie jest dobrym pomysłem. Koszty można optymalizować inaczej. Uczelnie ekonomiczne od początku lat 90. mają bardzo dobry czas. To był okres bardzo dynamicznego rozwoju. Model finansowania publicznego był do 2018 roku wyraźnie powiązany z liczbą studentów, co akurat nam służyło. Zmiana, jaką przyniosła ustawa z 2018 roku, nieco pogorszyła naszą sytuację; zwłaszcza duża liczba studentów w relacji do liczby pracowników powoduje zmniej-

szanie subwencji. Dlatego także uczelnie ekonomiczne ograniczają liczbę studentów.

Jakie rysy są charakterystyczne dla Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie na tle innych uczelni ekonomicznych?

To przede wszystkim różnorodność dyscyplin, w których prowadzimy badania. Dla porównania, większość naszych partnerów z Konferencji Rektorów Uczelni Ekonomicznych uprawia 2-3 dyscypliny, ale musimy zauważyć, że pozostałe uczelnie z naszej piątki też poszerzają spektrum badawcze i dydaktyczne. Wyróżnia nas to, że mamy pełne kształcenie prawnicze. W UEK od 2015 roku, a zatem od dziesięciu lat, prowadzone są studia prawnicze i nie jest to kierunek prawo biznesowe czy gospodarcze, ale po prostu prawo. W kategorii kierunków małych, czyli takich, których liczba absolwentów nie przekracza rocznie stu, od trzech lat zajmujemy niezmiennie pierwsze miejsce w kraju pod względem zdawalności na aplikacje prawnicze. Ponad 70 proc. naszych absolwentów zdaje egzamin na aplikację za pierwszym razem. Mamy bardzo mocne kształcenie w obszarze gospodarki publicznej, którego twórcą i liderem jest profesor Jerzy Hausner. Zwykle za takim mocnym kierunkiem lub badaniami stoi mocny lider. Wyróżnia nas duża liczba kierunków studiów i duża liczba studentów i absolwentów, co uprawnia nas do stwierdzenia, że Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie jest liderem kształcenia ekonomicznego w Polsce. Mamy wielu znakomitych absolwentów. Jest nim obecny minister finansów Andrzej Domański, jego zastępca Jurand Drop to także nasz absolwent i były pracownik – został wprost z katedry zabrany do Ministerstwa Finansów. Rafał Brzóska, twórca InPostu, też jest naszym absolwentem, podobnie prezes Orlenu Ireneusz Fąfara i prezydent Krakowa Aleksander Miszański, którego zastępcą jest nasz profesor i były rektor prof. Stanisław Mazur. Adam Góral, właściciel największej firmy informatycznej w regionie Asseco Poland i Sobiesław Zasada, znany sportowiec i biznesmen, też są naszymi absolwentami.

Powiedział pan o części planów rozwojowych związanych z nowymi dyscyplinami, a inne plany na przyszłość?

Brakuje nam sal wykładowych. Mamy ich 93, ale to jest za mało. Część zajęć zmuszeni byliśmy przenieść do internetu, czyli do formy zdalnej. Nie cieszy nas to, uważamy bowiem, że zajęcia stacjonarne gwarantują wyższą jakość kształcenia. Realizujemy teraz inwestycję i od przyszłego roku akademickiego wejdziemy do Centrum Obsługi Studentów, gdzie zgromadzone zostaną wszystkie jednostki zajmujące się obsługą administracyjną procesu kształcenia. W tym budynku będą też zlokalizowane nowoczesne sale dydaktyczno-konferencyjne. Kubatura tego budynku to ponad 5 tysięcy metrów kwadratowych, a zatem to spory obiekt. Ta inwestycja nie rozwiąże wszystkich problemów, ale myślimy już o kolejnym budynku, który nazwywamy jubileuszowym. To nowoczesny obiekt dydaktyczny o kubaturze 20 tysięcy metrów kwadratowych, w którym znajdzie się niemal tyle sal dydaktycznych, iloma obecnie dysponujemy. Mamy już jego plany i pozwolenie na budowę na terenie kampusu. Jeszcze nie mamy na niego pieniędzy, ale musimy go dość szybko zrealizować, gdyż nasze główne budynki dydaktyczne pochodzą z lat 70. XX wieku i wymagają bardzo gruntownych, kompleksowych remontów, co może je wręcz wyłączyć na jakiś czas z eksploatacji. Zatem mamy w planach rozwój merytoryczny: naukowy i dydaktyczny, ale i rozwój zaplecza dla naszych planów naukowo-dydaktycznych.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Ręce opadają

Sytuacja jest naprawdę zła, grozi nam cywilizacyjna zapaść. A lekarstwem mają być tylko nowe, biurokratyczne ograniczenia, totalna kontrola, dalsza powszechna obniżka poziomu nauczania i brak wystarczających inwestycji. Nie tylko ręce opadają, ale i płakać się chce.

Otrzymałem „Projekt Strategii Rozwoju Szkolnictwa Wyższego w Polsce do 2035 roku” (zachowuję pisownię tytułu, choć z punktu widzenia norm polskiej ortografii wydaje się kontrowersyjna – w ten sposób piszemy tytuły po angielsku; niepoprawna pisownia tytułu oficjalnego dokumentu jest jednak istotnym przyczynkiem do tematu), dokument liczący 42 strony, z czego 9 zajmuje wykaz skrótów, a dwie preambuła, z którą należy całkowicie się zgodzić. Dalej zaczynają się logiczne i pragmatyczne błędy.

Utopia wspólnoty

Zaczyna się od wyliczenia pryncypiów, w których rządzie wymieniono m.in.: „Włączenie społeczne i dostępność – jako warunek sprawiedliwości edukacyjnej i pełnego wykorzystania kapitału ludzkiego”, a więc zasadę możliwą do spełnienia tylko przez cały system edukacji, którego szkolnictwo wyższe jest tylko częścią. Niestety ludzie różnią się między sobą i nie każdy nadaje się do nauki na poziomie wyższym, nie mówiąc już o tym, że nie każdy chce się uczyć, choć z reguły chciałby mieć dyplom, bo on jeszcze daje społeczny prestiż. Nie mylmy jednak posiadania dyplomu i wiedzy.

Kolejnym ciekawym fragmentem dokumentu jest „Diagnoza stanu obecnego”, która pomija parę kwestii, a przede wszystkim nie do końca jest obiektywna. Po pierwsze, znowu pominięto fakt głębokiego uwikłania szkolnictwa wyższego w cały proces edukacji. Było ono relatywnie autonomiczne w momencie obowiązywania egzaminów wstępnych, bo wybierało sobie kandydatów do nauki. Z chwilą likwidacji egzaminów wstępnych i zastąpienia ich konkursem wyników maturalnych przy towarzyszącym temu katastrofalnym spadku poziomu matur, uczelnie zaczęły pracować na „materiale ludzkim”, który mają do dyspozycji i nie różniącym się zbytnio od całości młodej populacji. Twórcy programu nie zauważyli tego, a zatem również problemów w rodzaju widocznego gołym okiem wtórnego analfabetyzmu i zaniku kompetencji matematycznych u studentów. One zaś czynią każdą próbę reformy zbiorem pobożnych życzeń. Bez egzaminów wstępnych nie odsieje się osób o braku kompetencji kulturowych, wtórnych analfabetów i tzw. ofiar dyskalkulii, a wiadoma jest zasada dostosowania programów i poziomu nauczania do najsłabszych wśród edukowanych. Przyznam się, że i ja musiałem spróbować rzeczy niemożliwych i czytać naukowe artykuły z osobami nie umiejącymi potworzyć ze zrozumieniem treści dopiero co przeczytanego

akapitu lub uczyć sztuki analizy zawartości prasy studentów nie znających pojęcia procentu. Podobnie było, gdy w ostatnich latach przynoszono mi do oceny prace magisterskie – ilość błędów językowych (w pracach studentów Polaków) była taka, że powinienem w zasadzie oblać całe seminarium, a że dyrekcja by tego nie zaakceptowała, niejednokrotnie przyszło błędy samemu poprawiać, tym samym nadając pracom akceptowalny kształt językowy.

Po drugie, chyba ze względu na nieprzeprowadzenie odpowiednich badań, pominięto w dokumencie problem głębokich podziałów między uczelnianą administracją i pracownikami merytorycznymi uczelni. Ta pierwsza, jak każdy pracownik najemny wykonujący pracę o niewielkim poziomie trudności, potrzebuje nadzoru, pragnie unikać wysiłku, zachować maksymalną władzę i wysokie dochody jak najmniej pracując, podczas gdy naukowcy są samosterowni, pragną wypełniać misję, budować osobisty autorytet. W rezultacie biurokracja tłamsi i zwalcza naukowców, zamiast im pomagać.

W tym miejscu chciałem też zwrócić uwagę na problem zdolności studentów do tworzenia z naukowcami wspólnoty akademickiej (ten termin niejednokrotnie pojawia się w dokumencie), bo postępująca scholaryzacja uczelni kształtuje relacje studentów i naukowców na obraz szkolnych stosunków uczniów i nauczycieli, a czegoś takiego jak wspólnota szkolna nigdy nie było i być nie może. Interesy uczniów, nauczycieli i rodziców (tak jak je te grupy, niekoniecznie słusznie, pojmują) są całkowicie sprzeczne. Podobnie sprzeczne są interesy uczelnianej biurokracji, studentów i naukowców. Jeśli nie wdroży się systemu naboru kandydatów zainteresowanych uczeniem się i do niego zdolnych, wspólnota akademicka będzie jedynie piękną utopią.

Po trzecie, w dokumencie nie ustosunkowano się wystarczająco do problemu animozji między poszczególnymi grupami pracowników naukowych. W ostatnich dekadach rozbito tradycyjny i przez stulecia dający dobre rezultaty system zależności między asystentami, adiunktami i profesorami, osłabiono rolę profesorów belwederskich, w systemie awansowym pomija się związek pomiędzy uzyskanym stopniem i tytułem a zdolnością do wykonywania określonych czynności naukowych i dydaktycznych. Profesorowie zamiast wyklądać prowadzą ćwiczenia, a doktorzy wykłady. Ciekaw jestem, po co w takim razie naukowe stopnie, które były regulatorem życia akademickiego. Ponadto znacznie ułatwiono ich zdobywanie. Obecnie można być profesorem belwederskim wydawszy jedną, dwie książki,

a doktorem habilitowanym bez żadnej książki i nie umiejąc wyklądać. Doktorat stracił rzeczywiste naukowe znaczenie i stał się pracą ćwiczebną. Jeśli nie ma zasad regulujących współzycie, pojawia się pełen agresji bałagan. I on jest przyszłością poddanych deregulacji uczelni.

Po czwarte, w dokumencie nie dostrzeżono niszczącego wpływu, jaki ma na polską naukę sfera polityki. Naukowcy nie mają szans należytego rozwoju nie tylko w kraju, w którym każe im się uczyć osoby przypadkowe, ale także w kraju, gdzie poglądy polityczne stają się ważniejsze od sukcesów naukowych, a kłótnie polityków o władzę i kasę niszczą przy okazji wszelkie autorytety (a więc i naukowe). Nie służy także nauce ogłaszanie od czasu do czasu różnych odsłon walki z wykształciuchami, w tym traktowanie ich jako wdzięcznego materiału do leczenia własnych kompleksów i zdobywania poczucia władzy. Generalnie pełny rozwój nauki i uniwersyteckiego kształcenia możliwy jest tylko w rozwiniętej demokracji, strzegącej się demagogii i populizmu. Niestety, polskiej demokracji sporo jeszcze brakuje do stanu dojrzałości, a cała radosna twórczość kolejnych rządów niszczących od 1990 polską naukę i oświatę w zasadzie służyła wyłącznie zdobywaniu chwilowych względów wyborców i niektórych potężnych instytucji.

Manifestacja kompleksów

Dba o polityczne poparcie także sam oceniany przeze mnie dokument, zwłaszcza tam, gdzie dopuszcza się językowej i informacyjnej manipulacji. Na szczęście bywa to rzadkie, ale jednak. Spójrzmy na zdania: „Niewystarczający poziom umiędzynarodowienia kadry ogranicza jednak potencjał rozwojowy uczelni. Mniejszy udział pracowników z doświadczeniem zagranicznym przekłada się na słabszą obecność polskich instytucji w międzynarodowych sieciach edukacyjnych oraz na trudności w tworzeniu programów studiów w pełni zgodnych ze standardami międzynarodowymi”. Powyższy akapit przyjmuje za pewnik tezy głoszące, że naukowcy z zagranicy są mądrzejsi od polskich (ich zatrudnianie buduje potencjał rozwojowy efektywniej niż w przypadku uczonych polskich), uczeni z zagranicy lepiej znają naukowe instytucje europejskie (czy naprawdę np. Czech lepiej zna Hiszpanię od Polaka?), naukowiec polski (chyba że na Zachodzie wychowany) nie potrafi ze zrozumieniem przeczytać anglojęzycznych czy innych dokumentów, regulujących zagraniczne systemy studiów wyższych.

W sumie akapit sugeruje niższość Polaka w stosunku do obcokrajowca i – mimo uczonego stylu maskującego rzeczywistość – należy go czytać jedynie w kategoriach manifestacji kompleksów. A formalnie rzecz biorąc, stosuje tzw. błędne koło w dowodzeniu (*petitio principii*), bo zakłada prawdziwość tego, co dopiero powinno zostać dowiedzione.

Inny fragment dokumentu, który zwrócił moją uwagę: „Obowiązujące systemy zapewnienia jakości kształcenia przede wszystkim opierają się na weryfikacji efektów uczenia się, często w sposób sformalizowany i oderwany od potrzeb studentów i oczekiwań rynku pracy. Tymczasem współczesne podejście do jakości – zgodne z europejskimi standardami – zakłada budowanie kultury jakości opartej na rzeczywistej wartości edukacji, jej przydatności do życia zawodowego, społecznego i obywatelskiego”.

Mamy tu do czynienia z dwoma presupozycjami. Po pierwsze, że wartość edukacji polega na jej przydatności w życiu zawodowym, społecznym, obywatelskim (dobre jest to, co przydatne, na przykład kłamstwo). Po wtóre, że weryfikacja efektów (ta zaś musi być sformalizowana, bo łatwo podlegałaby zaskarżeniu) nie buduje jakości wykształcenia.

Innymi słowy, z tych presupozycji wynika, że kto egzaminy zdaje, ma wiedzę niepotrzebną, nieprzydatną, czyli bezwarto-

ściową, a kto ich nigdy nie zdawał, posiada wiedzę potrzebną, prawdziwą, zgodną z europejskim standardem. Na miłość boską! Przygotowując się do egzaminu ćwiczymy pamięć, budujemy erudycję, doskonalimy logiczne myślenie, uczymy się poznawczej samodzielności, a zdając egzamin nabieramy umiejętności retorycznych i odporności na stres. Czyżby to były umiejętności niepotrzebne w życiu i niezgodne z europejskim standardem?

Przy okazji zastrzegę: prawdziwy egzamin jest egzaminem ustnym, jest rozmową ze specjalistą. To nie może być pisemny test, który można zdać podkreślając odpowiedzi lub stawiając krzyżyki na chybił trafił. Należy więc wrócić do egzaminów ustnych. Ale o tym się nie mówi. Zamiast tego mamy „rozwijanie systemów oceny”. Tymczasem nic nie trzeba rozwijać, istnieją bowiem sposoby wypróbowane, do których trzeba po prostu wrócić.

Autorytet uczelni

Nie będę się ustosunkowywał do analizy SWOT (silnych i słabych stron oraz szans i zagrożeń) zawartej w tabelach, bo wydaje się sensowna. Szkoda tylko, że zastosowano angielski skrót, jakby nie było już zwyczaju rozwijania i stosowania polskiej terminologii. Przejdę od razu do omówienia wniosków, które wzbudziły moje wątpliwości.

Według twórców dokumentu należy dążyć do stanu, w którym uzyska się wzmocnienie: „społecznej odpowiedzialności, etosu i autorytetu uczelni” (punkt A). Jako środki osiągnięcia tego celu proponuje się między innymi: „wdrażanie jednolitych standardów etycznych, przejrzystych mechanizmów nadzoru oraz skutecznych procedur przeciwdziałania nadużyciom”. Czyli uważa się, że rozwiąże problemy opracowanie jeszcze paru kodeksów etyki zawodowej. Nadal traktuje się uczelnię jako obiekt kontroli i zakłada, że naukowcy tylko się palą do oszustw i przestępstw wszelakich. Takie założenie i związana z nimi dążność do nieustannego kontrolowania w najmniejszym stopniu nie pomoże uczelniom w odzyskaniu zaufania społecznego, bo w odczuciu potocznym kontrolowany ma zawsze mniejszy autorytet od kontrolującego. Kontrolujący urzędnicy czy politycy i tak już mają bardzo niski autorytet w społeczeństwie, więc kontrolowani uczeni będą mieli jeszcze niższy. Z drugiej strony, ktoś traktowany jako potencjalny przestępca prędzej czy później w ludzkich oczach takim się stanie.

Jeśli chce się mieć uczelnię z autorytetem, trzeba umożliwić zdobywanie autorytetu poszczególnym uczonym, a oni go mają dzięki wydanym książkom i sukcesom w prowadzonych badaniach. Nadzór, zwłaszcza ideologiczno-polityczny, zawsze nauce szkodził, a środkiem budującym autorytet społeczny jest raczej zaufanie (o ile się go nie zawiedzie). Zamiast pilnowania, proponuję wprowadzić dla profesury – ale tej rzeczywistej a nie „medialnej” (mam na myśli osoby nieposiadające tytułu, a tylko nazywane w mediach profesorami) – coś w rodzaju merytoryczno-ideologicznego (ale nie prawnego) immunitetu, aby nie była możliwa sytuacja, kiedy byle tabloid potrafi zapewnić uczonemu kłopoty w pracy. Ze swej strony profesorowie nie powinni angażować się w politykę. Powinni też zawsze występować z otwartą przyłbicą i jako konkretne osoby, zatem należy zlikwidować anonimową ocenę projektów, grantów i publikacji.

Ponadto kwestię zdrowych stosunków na uczelni należy rozstrzygnąć przez zarezerwowanie najwyższych uczelnianych funkcji wyłącznie dla posiadających realne naukowe zasługi profesorów oraz skrócenie kadencji senatów, rektorów, dziekanów. Natomiast czynne prawo wyborcze powinni mieć wszyscy pracownicy. Wszelkie instytucje kontrolne powinny mieć

obieralny charakter. Trzeba zaufać demokracji ludzi mądrych, a nie zastępować ich posiadającymi uprawnienia kontrolne faktycznymi biurokratami.

Ostatecznie jednak dla powtórnego zbudowania w Polsce autorytetu uczelni najważniejsze byłoby wprowadzenie elitarnego szkolnictwa wyższego i poważnych egzaminów wstępnych, bo ceni się tylko dobra trudno dostępne. Pożądane byłyby także kilkusetprocentowe podwyżki wynagrodzeń dla ich nauczającej kadry, bo autorytet mają nie biedni a bogaci.

Kolejne zdanie: „Znaczącym kierunkiem jest podnoszenie jakości i przejrzystości kształcenia, czemu służyć będzie rozwój systemu akredytacji zgodnych z europejskimi standardami oraz promowanie certyfikacji branżowych i zawodowych”.

Certyfikacje branżowe i zawodowe nie mają nic wspólnego z podniesieniem autorytetu uczelni, bo to nie one będą wydawać certyfikaty, ale instytucje egzaminujące, związane np. z samorządami zawodowymi. Natomiast współpracę ze sferą produkcji poprawić może jedynie pojawienie się odpowiednich potrzeb ze strony przemysłu. Biedna lub kierowana przez zagraniczny kapitał gospodarka nie potrzebuje krajowych uczelni, bo albo jej nie stać na ich usługi, albo ma własne u siebie, to znaczy w kraju właściciela. Jedyne, co w tej chwili można zrobić, to usprawnić pracę urzędów patentowych oraz radykalnie zwiększyć środki na granty badawcze i zmienić filozofię, którą kierują się grantodawcy i ich recenzenci, którzy w tej chwili skupiają się przede wszystkim na tym, jak pod byle pretekstem grantu odmówić. Ponadto to samorządy i instytucje powinny się starać o współpracę z uczelniami, a nie na odwrót. Z reguły nie szanuje się patentów.

Wykorzystać istniejące metody

Kolejne zdanie: „Projekt strategii wskazuje cele i działania systemowe, które mają wspierać długofalowy rozwój szkolnictwa wyższego w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem jakości i dostępności kształcenia...”

Już naprawdę nie wiem, jak można powiększyć dostępność wyższego wykształcenia w Polsce, skoro jest ono dostępne dla każdego, komu się chciało przystąpić do matury. Następnym krokiem będą chyba łapanki uliczne i dowożenie na uczelnię w ciężarówkach członków gangów osiedlowych. Inny sposób to radykalne obniżenie wieku studentów. Będzie można dowozić ich z przedszkoli. A mówiąc serio: zwiększanie dostępności do szkolnictwa wyższego nie może się obyć bez zmniejszenia wymagań i w rezultacie rujnuje wartość wykształcenia – i tę rzeczywistą, i tę w społecznej świadomości. Nawet jeśli rządzący spełnią marzenie zrównania jakości wyższego wykształcenia z wykształceniem zasadniczym zawodowym (do czego dążą od lat ponad trzydziestu), nie rozwiąże to żadnego uniwersyteckiego problemu, a na dodatek okaże się czymś fatalnym dla kondycji kraju. Nawet dążąc do powszechnego i egalitarnego szkolnictwa wyż-

szego, a więc takiego, w którym ukończenie medycyny będzie kosztować tyle samo wysiłku co uzyskanie dyplomu z kosmologii, trzeba pamiętać o konieczności zorganizowania sieci choć kilku uniwersytetów elitarnych, w których prowadzone będą realne badania, zarabiać się będzie poważne pieniądze, do których dostać się będzie trudno, a jeszcze trudniej będzie je ukończyć. Za to ich absolwenci mieć będą zagwarantowane: dobrą pracę, społeczny prestiż i ludzki szacunek. Unikanie zaś niesprawiedliwości społecznej polega nie na zwiększaniu dostęp-



ności uczelni, a stypendiów dla ludzi zdolnych, choć niemających, którym inteligencja, erudycja i umiejętności pozwolą na zdanie najtrudniejszych wstępnych egzaminów.

I kolejne zdanie: „Szczególny nacisk położony zostanie również na bezpieczeństwo i dobrostan członków społeczności akademickiej. Tworzone będą rozwiązania systemowe, takie jak standardy bezpieczeństwa psychospołecznego, fizycznego i cyfrowego, a także sieci wsparcia psychologicznego i socjalnego”.

Już najprostszy zdrowy rozsądek wskazuje, że bezpieczeństwo studiujących zagwarantować mogą nie psychologowie, a odpowiednio wyposażeni, wyszkoleni i liczni funkcjonariusze straży rektorskich i świetnie opłacani informatycy.

Punkt B, posiadający liczne podpunkty, zakłada starania o osiągnięcie „doskonałości dydaktycznej”.

Jeśli pokierować się codziennym uczelnianym doświadczeniem i zdrowym rozsądkiem, to należy stwierdzić, że zamiast wymyślać i wdrażać tzw. nowe metody kształcenia, należy

wykorzystać należycie te już istniejące i od lat wypróbowane. Środki do osiągnięcia wyznaczonego celu są znane. Po pierwsze, chodzi o zwiększenie liczby etatów kadry naukowo-badawczej. Dzięki temu zabiegowi grupy wykładowe i ćwiczeniowe będą mniejsze, a możliwości dokładnego egzaminowania o wiele lepsze. Powinno się zdawać egzamin z języka polskiego na każdy kierunek studiów, bo naprawdę niepotrzebny jest nam inżynier czy matematyk, który nie potrafi posługiwać się ojczystym językiem i nie zna literatury i kultury ojczystej. Jak nie chce jej znać, niech sobie studiuje za granicą. Po drugie (o czym już wspominałem), należy powrócić do egzaminów wstępnych na studia. Ponadto należy przeprowadzać przede wszystkim egzaminy ustne lub dwustopniowe (pisemne i ustne). Przede wszystkim jednak trzeba podnieść poziom szkolnictwa średniego poprzez wprowadzenie matury, którą zdawać będzie nie ponad 90% przystępujących, a np. ok. 70% z nich (a jeszcze lepiej gdyby to było ok. 50%). Pamiętać także należy, że żadne kursy nie zastąpią porządnego wykształcenia, a z drugiej strony wykonywania konkretnych zawodów można i trzeba się uczyć w miejscu pracy. To doświadczenie tworzy konkretne, zawodowe kwalifikacje robotników, urzędników czy rzemieślników.

Postulowane umiędzynarodowienie dydaktyki nastąpi wtedy, kiedy obcokrajowcy będą chcieli czegoś się na polskich studiach nauczyć i na odwrót (nasi studenci na uczelniach zagranicznych), jak również wtedy, kiedy zagraniczni specjaliści będą mogli na polskich uczelniach zarobić więcej niż w swoich krajach. Postulowany realny wpływ studentów na proces dydaktyczny nie ma żadnego sensu w wypadku studentów takich, jakimi są teraz. Dopóki nie nastąpi wzrost ich poziomu, spowodowany uprzednim podniesieniem jakości szkolnictwa średniego, będzie się ten wpływ ograniczał do wymuszania jak najlepszych ocen, możliwych do uzyskania jak najmniejszym wysiłkiem. A przy okazji należy zaprzestać oceniania naukowców przez studentów, zwłaszcza anonimowego. Gdyby się podpisywali, można by się było z tym zwyczajem pogodzić. Natomiast ocenianie w tym kształcie, jaki jest teraz, jest,



moim zdaniem, zachętą do pisania anonimowych donosów, a więc działaniem moralnie wstrętnym.

Ogólnie rzecz biorąc, nie będą środkiem poprawy poziomu wyższego wykształcenia liczne postulaty wymienione w recenzowanym dokumencie. Gwarancją jakości wyższego wykształcenia są tylko talent i umiejętność nauczyciela oraz zdolności i wola ucznia. Nauczmy się takich uczniów i nauczycieli wyszukiwać i na uniwersytety kierować, a jeśli do tego zainwestujemy odpowiednie środki, będziemy mieli wysoką jakość kształcenia. Wszystkie instytucjonalne sposoby wymienione w punktach B.2 i B.3 są jedynie ścieżkami umożliwiającymi zarabianie pieniędzy przez instytucje i ich (często niezbyt lotnych) ekspertów. Wręcz wzorem takiego myślenia jest postulowany rozwój „ośrodków innowacji i wsparcia dydaktycznego”. Przepraszam, ale Ośrodki Doskonalenia Nauczycieli działały z reguły na rzecz szkół.

Nie ma sensu tzw. „integracja dydaktyki z aktywnością badawczą i przedsiębiorczością” (B.5). Studia są okresem życia przeznaczonym na zdobywanie wiedzy. Najpierw trzeba ją zdobyć, a później można wykorzystać. Oczywiście można się uczyć także przez praktykę, ale sądzę, że wystarczy przyznawanie licznych i wysokich grantów naukowcom, aby ci mogli opłacić udział studentów w badaniach oraz przedłużyć praktyk od dawna funkcjonujących na studiach zawodowych (dziennikarskich, nauczycielskich, medycznych itd.).

Aby wykorzystać potencjał nowoczesnej cyfryzacji (B.6) potrzebne są jedynie wysoko opłacane etaty dla informatyków, aby uczyli studentów wykorzystania tego potencjału oraz środki na zakup sprzętu i oprogramowania dla potrzeb dydaktycznych.

Promocja polskość

Na koniec ustosunkuję się całościowo do tego punktu „C. Wsparcie ekosystemu nauki”.

Sądzę, że istotnie ważne jest wspieranie interdyscyplinarności. Aby jednak rzeczywiście ją wzmacniać, należy przede wszystkim zmienić system punktowania i oceny naukowych osiągnięć. Co to znaczy, żeby parcelować naukę na dziedziny, dyscypliny i specjalizacje, a na przykład nie uznawać w ewaluacji dobrych prac naukowych, kiedy się uzna, że nie mieszczą się w dziedzinie czy dyscyplinie zadeklarowanej przez naukowca. Tu akurat mam duże doświadczenie, gdyż zajmowałem się w zawodowym życiu medioznawstwem (dziedzina nauk społecznych), literaturoznawstwem i językoznawstwem (nauki humanistyczne). W rezultacie miałem kłopoty z deklarowaniem dorobku medioznawczego przy staraniach o stopnie, bo najpierw nie uznawano takiej dyscypliny, a potem jakiś anonimowy mądryś uznał, że zgłaszając dorobek nie wolno mieszać dziedzin. Innym problemem było odmawianie mi nagród za wydane książki – kierownictwo z reguły lepiej niż ja wiedziało, jaką reprezentują dziedzinę, choć raczej ich nie czytało. A jednym z największych moich zmartwień było to, że nie mogłem deklorować uprawiania trzech dyscyplin, bo w tabelce ankiety mieliści się tylko dwie.

No przepraszam! Te idiotyzmy były zasługą urzędników, a nie naukowców. Naukowiec rozwiązuje problem, patrząc nań z takiego punktu widzenia, który zapewnia jego rozwiązanie i z tyłu punktów widzenia, ile potrzeba. A przeszkadza mu głównie urzędnik, który chciałby wszystko kontrolować, oceniać i usuwać z dokumentacji, żeby nie mieć za dużo do pisania. Drodzy rządzący, jeśli chcecie badań interdyscyplinarnych, ograniczcie zburokratyzowanie i scholaryzację systemu.

Umiędzynarodowienie polskiej nauki też jest postawione na głowie. Obcy uczeni przyjadą, jeśli zapewni się im odpowiednie pensje (czyli większy pensje wszystkim naukowcom pracującym w Polsce i to o kilkaset procent) i bazę badawczą (a to

również nakłady). Studenci przyjadą, jeśli na polskich uczelniach znajdą ciekawe i tanie perspektywy nauczania. Aby te perspektywy były dla nich ciekawe, trzeba zapoznawać ludzi z całokształtem polskiej kultury. W tym kontekście stawianiem rzeczy na głowie i liczeniem wyłącznie na komercyjny sukces jest rozwijanie studiów w językach obcych. Chętnych cudzoziemców trzeba intensywnie uczyć języka polskiego oraz naszej historii i obyczaju. Tylko wtedy zainteresują się naszym krajem, a później staną się ewentualnie naszymi ambasadorami za granicą. Oczywiście będzie to kosztować, ale się być może kiedyś zwróci.

Zwiększanie autorytetu naszej nauki za granicą nie odbędzie się za pomocą naszego udziału w międzynarodowych projektach badawczych, gdzie zapewne będziemy jedynie wyrobnikami za marne pieniądze. Autorytet nauki tworzą uczeni, zwłaszcza tacy, którzy badaniami merytorycznie kierują i proponują ciekawe koncepcje. Trzeba więc w Polsce organizować badania atrakcyjne dla badaczy zagranicznych. Trzeba też przekładać (i to nie na koszt biednych autorów) na języki kongresowe dobre prace polskich naukowców, a więc nie takie, gdzie roi się od cytowań z obcej literatury i tylko z niej. One dla żadnego cudzoziemca nie będą ciekawe, bo takie ma i u siebie. Cytuje te same autorytety.

Trzeba promować w badaniach swojskość i oryginalność, zamiast zmuszać naukowców do pisania po angielsku i druku w podejrzanych drapieżnych czasopismach i wydawnictwach zachodnich. Trzeba nagradzać dobre prace starannymi przekładami na angielski, francuski, niemiecki, rosyjski. Trzeba samemu tworzyć międzynarodowe czasopisma (rzadkim przykładem jest np. „Przegląd Wschodnioeuropejski”) i wydawnictwa dla ich druku. Dostępne w sieci trafią w końcu i za granicę, jeśli będą odpowiednio propagowane.

Nikt tego za nas nie zrobi. Polscy uczeni nie będą drukowani w zagranicznych czasopismach, bo te mają do drukowania swoich naukowców i swoich recenzentów do oceny, te czasopisma i wydawnictwa są dla nich. Trzeba też samemu tworzyć wielkie bazy danych, zajmujące się m.in. indeksowaniem czasopism, bo większości naszych czasopism do Scopusa czy Eriha pod różnymi pretekstami nie dopuszczają. Trzeba też samemu tworzyć wielkie bazy danych w internecie. Owszem, stworzyliśmy POLONE, ale natychmiast znaczną część jej zbiorów uczyniono niedostępną (tj. wolno z nich korzystać tylko w wybranych czytelniach i bez możliwości całościowego kopiowania). Nie tędy droga.

Tylko wielka nauka, literatura i kultura będą się liczyć na świecie. Chcemy się liczyć, uczynimy je w Polsce wielkimi.

No rzeczywiście ręce opadają. Sytuacja jest naprawdę zła, grozi nam cywilizacyjna zapaść. A lekarstwem mają być tylko nowe, biurokratyczne ograniczenia, totalna kontrola, dalsza powszechna obniżka poziomu nauczania i brak wystarczających inwestycji. Nie tylko ręce opadają, ale i płakać się chce.

Ambitne ministerstwo chce przeprowadzić reformy. Ale tak je planuje, by kolejny raz nic z nich nie wyszło. Trzeba się przyznawać do błędów i nie zwlekać z porzuceniem obranej trzydziści lat temu drogi, która zaowocować może tylko kompletnym upadkiem polskiej edukacji i zastąpieniem jej rozpowszecznianiem modnych idiotyzmów. Trzeba też pogodzić się z faktem, że bez pieniędzy się reform nie robi. Przydałoby się także zaufać zdrowemu rozsądkowi. Bez tych trzech rzeczy urządzi się tylko kolejne, politycznie bezpieczne pudrowanie trupa, a ściślej mówiąc: zorganizuje się spektakl zachęcania trupa, aby pudrował się sam i na własny koszt.

Prof. dr hab. Wojciech Kajtoch, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Mariusz Karwowski

Akademie małych ojczyzn

Rola publicznych uczelni zawodowych jest szczególnie ważna, bo zapobiegają drenażowi mózgów. Osoby, których nie stać na studiowanie z dala od miejsca zamieszkania i które osiągną dzięki tym studiom awans społeczny, zwiększają potencjał kapitału ludzkiego w regionie.

Zespół pod kierunkiem dr. hab. Dominika Antonowicza z Katedry Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przeprowadził pierwsze na taką skalę badania sektora publicznych uczelni zawodowych w Polsce. Ich wyniki zaprezentowano podczas dwudniowej konferencji „Wielka rola małych uczelni”, która odbyła się w Toruniu. Wydarzenie składało się z kilku paneli dyskusyjnych, a punktem wyjścia do każdego były sformułowane przez naukowców rekomendacje dla polityki publicznej. – Badaliśmy, jak zmieniły się publiczne uczelnie zawodowe w okresie wielu lat. Chcieliśmy poznać najróżniejsze elementy ich funkcjonowania: społeczne, kulturowe, ekonomiczne, przy uwzględnieniu kontekstu, w jakim działają. Staraliśmy się opisać ten sektor nie w relacji z innymi grupami uczelni, ale przez pryzmat cech, które go wyróżniają – tłumaczył szef zespołu.

Sektor w liczbach

Pierwsze, wówczas jeszcze państwowe wyższe szkoły zawodowe, powstały w 1998 roku w dziewięciu miastach: Tarnowie, Koninie, Legnicy, Elblągu, Jeleniej Górze, Nowym Sączu, Gorzowie Wielkopolskim, Jarosławiu i Sulechowie. Dziś działają w 31 miastach (jako ostatni na mapie pojawił się w 2023 roku Grudziądz), głównie średniej wielkości (tylko pięć ma siedzibę w ośrodkach liczących powyżej 100 tys. mieszkańców) i na tzw. pustyniach edukacyjnych – poza jedną uczelnią wszystkie są jedynymi publicznymi szkołami wyższymi w swoich miastach, a w konsekwencji tylko one oferują studia bezpłatne. Od kilku lat mogą używać nazwy „akademia nauk stosowanych”, z czego większość skrzętnie skorzystała. Największe z nich to uczelnie w Tarnowie (3,8 tys. studentów), Legnicy (3,2 tys.) i Nowym Sączu (2,9 tys.), najmniejsze – w Wałcu (469) i Głogowie (435). W sumie kształcą się w nich prawie 45 tys.aków, a zatrudnionych jest ok. 4,5 tys. wykładowców. O ile na początku w PUZ-ach dominowały kierunki społeczne (w 2005 roku – 34,9% studentów) i pedagogiczne (27,1%), o tyle dziś okołomedyczne (26,9%), prawno-ekonomiczne (15,7%) i techniczne (12,9%).

Więcej niż połowa studentów pochodzi z powiatu właściwego dla siedziby uczelni. Głównym motywem podjęcia nauki

(71,4%) jest bliskość miejsca zamieszkania, a dalej interesujące kierunki (53,2%), brak opłat za studia (46,1%) oraz dobre perspektywy zawodowe (28,4%). Ponad połowaaków (56%) ma ambicje zdobycia tytułu magistra (prawie 9% marzy o doktoracie), ale jednocześnie tylko 40% planuje kontynuować studia na II stopniu. I częściej deklarują to kobiety (46,7%) aniżeli mężczyźni (29,5%). W ostatnich latach nastąpiło wyraźne osłabienie drenażu mózgów w PUZ. Jeszcze w 2016 roku spośród wszystkich absolwentów I stopnia kontynuujących studia, jedynie nieco ponad co czwarty robił to na uczelni macierzystej, pozostali migrowali do innych ośrodków – dla połowy była to uczelnia publiczna, zazwyczaj akademicka i zlokalizowana w dużym mieście. W 2022 roku odsetek studiujących na II stopniu w PUZ wzrósł dwukrotnie – do 56%. Będąc dla wielu uczelnią jedynego wyboru, PUZ stanowi też kanał awansu społecznego, rodzice aż 76% studentów nie mają dyplomu szkoły wyższej. Trzech na czterechaków wywodzi się z rodzin robotniczych i rolniczych. Co szósty otrzymuje stypendium socjalne, to najwyższy odsetek w porównaniu z uczelniami akademickimi i uczelniami niepublicznymi.

Badania, transfer wiedzy, algorytm

Rekomendacja 1: Badania w publicznych uczelniach zawodowych powinny być finansowane również w formie projektowej przez agencje finansujące badania naukowe (NCN i NCBR) z uwzględnieniem specyfiki sektora.

Rekomendacja 2: Publiczne uczelnie zawodowe powinny pełnić rolę regionalnych centrów wiedzy, badań stosowanych, wdrożeń oraz innowacji, co powinno znaleźć odzwierciedlenie w algorytmie finansowania.

Na początku dyskusji D. Antonowicz odwołał się do doświadczeń innych krajów, m.in. Niemiec, Austrii czy Niderlandów, które odeszły od wąskiego definiowania uczelni zawodowych jako stricte edukacyjnych. Za granicą ewoluują w kierunku badawczo-wdrożeniowym, przy silnym wsparciu otoczenia. W Finlandii, dużo bardziej innowacyjnej niż Polska, postawiono na specjalistyczne kształcenie podyplomowe mocno związane z komponentem aplikacyjnym. Oczekiwania

władz publicznych zmierzają tam do tego, by uczelnie zawodowe włączyć do ekosystemu gospodarczego. – Państwa, takie jak Finlandia, wcześniej doświadczyły presji demograficznej niż my. Stanowią więc swego rodzaju laboratorium wiedzy, możemy się im przyglądać, podglądać – mówił.

Innowacje, które mają pchać do przodu fińską gospodarkę, nie biorą się znikąd. W ich generowaniu ważną rolę odgrywają właśnie publiczne uczelnie zawodowe, które stanowią większość instytucji szkolnictwa wyższego w tym kraju. Są zachęcane do tego poprzez odpowiednie mechanizmy finansowe. – Nie da się przetrwać, wyłącznie kształcąc, bo studentów jest coraz mniej. Różnica w porównaniu z Polską jest taka, że ten impuls ze strony państwa jest tam bardzo czytelny – dodał Antonowicz.

Dr Mariusz Lewandowski z UMK zwrócił uwagę na „klinch oczekiwań”, w jakim znalazły się uczelnie zawodowe. Ministerstwo chce ich stabilności, ale żeby nie obciążały zbyt mocno budżetu. Pracodawcy chcieliby absolwentów z kompetencjami przydatnymi na rynku pracy. Samorząd oczekuje, że rozwiążą lokalne problemy. Z kolei kandydaci zastanawiają się, czy po ukończeniu studiów w „zawodówkach” dostaną przyszłościową pracę. – Brakuje wspólnej strategii komunikacyjnej, która pokaże, w którą stronę same uczelnie chcą podążać. Mogłyby stać się regionalnymi hubami innowacji, ale do tego potrzeba czasu i zmiany nastawienia ze strony wszystkich interesariuszy – mówi M. Lewandowski.

Kluczowe jest także rozpoznanie lokalnych potrzeb. Wczytywanie się w nie trwa już od jakiegoś czasu, czego widocznym efektem są choćby centra symulacji medycznej, przygotowujące do kształcenia w zawodach połączonych na rynku zawodów. Ale potencjał tkwi również w wielkich inwestycjach, jak Port Polska czy elektrownia atomowa, które z pewnością wygenerują zapotrzebowanie na pracowników, choćby personel pomocniczy. D. Antonowicz zastrzegł, że warto szukać pomysłów nie na nauczanie, lecz na rozwiązania dla lokalnej gospodarki, tak aby dodać jej impulsu rozwojowego. – Innowacje, czy to medyczne, czy technologiczne, czy np. związane z projektowaniem gier, mogą być takim impulsem, ale konieczny będzie zastrzyk publicznych pieniędzy.

Zwrócił przy tym uwagę, że finansowanie PUZ tylko przez jedno ministerstwo, jak to ma miejsce obecnie, jest problematyczne. Trzeba zdyswersyfikować to źródło na kilka resortów, adekwatnych do specyfiki kierunków. W algorytm powinno się ponadto wpisać taką formułę finansowania, która skłoni uczelnie bardziej do wyjścia na zewnątrz, ale będzie też motywatorem dla otoczenia. Budowa laboratoriów, żeby wykształ-

cić czy podnieść kwalifikacje pracowników, nie wydaje się zbyt dużym oczekiwaniem wobec przedsiębiorstw. Nie jest tak, że uczelnie muszą same wszystko robić. Państwo powinno jednak zachęcać firmy, tworząc np. odpowiedni system podatkowy. – Musimy myśleć nie jak znaleźć pomysł na publiczne uczelnie zawodowe, tylko jak znaleźć pomysł na rozwój regionalny – podsumował Antonowicz, dodając na koniec, że taka interwencja dawałaby infrastrukturę instytucjonalną (np. w postaci klastrów) do współpracy z podmiotami, które zainteresowane są komercjalizacją wiedzy.

W ocenie dr. hab. Roberta Musiałkiewicza, rektora Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku, a do niedawna także przewodniczącego Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych, ten typ uczelni to niezwykle istotne ogniwo systemu szkolnictwa wyższego dla osób, których zwyczajnie nie stać na studia. Zauważył przy tym, że łączna subwencja dla wszystkich PUZ-ów przekracza 900 mln zł, podczas gdy subwencje pojedynczych największych uczelni akademickich wynoszą ponad 1 mld zł. – Warto byłoby porównać koszty, jakie generuje jeden absolwent profilu praktycznego na uniwersytecie i koszty, jakie generuje jeden absolwent uczelni zawodowej. I co się dzieje na rynku z jednym, a co z drugim – z przekąsem pytał dr hab. Paweł Maciaszczyk, rektor PANS w Tarnobrzegu. Dodał, że coraz częściej kierunki praktyczne otwierają także uniwersytety. – Zaczynają nam podkraść profil – konstatował gorzko. Z kolei dr inż. Jarosław Niedojadło, rektor ANS w Elblągu, przekonywał, że to uczelnie zawodowe dostarczają fachowców na potrzeby regionów. – Cały czas jesteśmy w kontakcie z pracodawcami, mamy bardziej elastyczną ofertę niż uczelnie akademickie, mimo że ścieżka uruchomienia nowego kierunku jest karkołomna. Przy tym nie dostajemy finansowania na badania, wszystkie pieniądze na ten cel musimy zdobyć sami.

D. Antonowicz wspomniał, że kilka miesięcy temu był zaproszony na posiedzenie Rady Narodowego Centrum Nauki, gdzie namawiał do utworzenia osobnej ścieżki grantowej dla uczelni zawodowych. Nie kosztuje to dużo, przy 10 grantach byłoby to maksymalnie pół miliona złotych, a dałoby same pozytywne efekty. Jego zdaniem, tylko tak można zbudować kulturę grantową w mniejszych ośrodkach, które nie mają szans w konkurencji z dojrzałymi uczelniami akademickimi. W okresie inkubacyjnym potrzebują więc pewnego rodzaju wsparcia. – Publiczne uczelnie zawodowe też powinny rywalizować między sobą, tak jak dzieje się to w przypadku innych typów uczelni. W Finlandii czy Norwegii finansowanie w kolejnych dekadach będzie się odbywało głównie z projektów, a w mniejszym stop-



niu podmiotowo. Taką kulturę musimy zbudować też u nas, bez wykluczania części uczelni.

Organizacja i akredytacja

Rekomendacja 3: Publiczne uczelnie zawodowe powinny kształcić w zawodach społecznie doniosłych, w tym zwłaszcza medycznych oraz nauczycielskich.

Rekomendacja 4: Należy uznać specyfikę kształcenia w publicznych uczelniach zawodowych i uwzględnić ją w wymogach i procesach akredytacyjnych.

Dr Marta Jaworska z UMK zauważyła, że uczelnie zawodowe płynnie i dynamicznie reagują na zmiany na lokalnym rynku pracy i nie boją się otwierać nowe kierunki. W momencie uderzenia niżu demograficznego musiały szukać alternatywnych rozwiązań. I znalazły. Jeszcze w 2005 roku kierunki medyczne, jak pielęgniarstwo, ratownictwo, fizjoterapia, były w ofercie zaledwie trzech PUZ-ów, a dziś są już w ponad połowie (16) i rekrutuje się na nie trzykrotnie więcej studentów. Również dr Anna Kola z UMK akcentowała wysoką reaktywność na zmiany społeczne. Jeszcze dekadę temu uczelnie te ograniczały współpracę głównie do biznesu, teraz rozszerzyły ją także o instytucje publiczne, samorządowe czy organizacje pozarządowe. Zaznaczyła, że swój profil zmieniały nie tylko dlatego, żeby uatrakcyjnić ofertę, ale by odpowiadać na współczesne wyzwania, np. demograficzne. Płynne i skuteczne wejście w te procesy, tłumaczyła, umożliwiły konsekwentne inwestycje w infrastrukturę dydaktyczną. Zasugerowała też podjęcie współpracy z uniwersytetami w kontekście studiów nauczycielskich, które mają przygotować do realizacji podstawy programowej z zakresu biologii, chemii, fizyki, geografii.

W opinii dr hab. Anny Budzanowskiej z Uniwersytetu Śląskiego, byłej wiceminister nauki, szerokodyscyplinowe uniwersytety wskutek niżu demograficznego czy drop-outu stają się dla uczelni zawodowych naturalną konkurencją. Wskazywała, że w uczelniach technicznych liczba absolwentów spada, studenci nie chcą iść na II stopień, szukają alternatywnych modeli kształcenia. Jej zdaniem PUZ-y powinny zareagować, proponując mikropoświadczenia oraz kierunki zamawiane. To dla nich szansa w obliczu długotrwałych procedur przy tworzeniu nowych kierunków. Zwłaszcza, że od modelu mikropoświadczeń, jak podkreślała, nie uciekniemy. – Dzięki temu osoby, które są już absolwentami i mają jakieś doświadczenie, można doszkolić i dać dyplom, który zapewni wejście do zawodu.

Zgodziła się, że konieczna jest także odrębna dla nich ścieżka akredytacyjna. Dziś ocenę ich działalności dydaktycznej ocenia się wedle kryteriów przygotowanych dla uczelni akademickich. Tymczasem w modelach kształcenia odzwierciedlona jest specyfika PUZ-ów, nie zawsze dostrzegana przez ekspertów Państwowej Komisji Akredytacyjnej. – Za ogromną porażkę uważam to, że mają państwo nałożone takie kajdany – stwierdziła. Dodała, że potrzeba odważnej decyzji politycznej, by pozwolić PUZ-om na jeszcze szybsze reagowanie na potrzeby rynku. – Reagujecie na tyle, na ile możecie w ramach zasobów, które posiadacie. Mimo przeszkód radzicie sobie doskonale, a w każdym razie lepiej niż uniwersytety – podsumowała swoje wystąpienie.

– W jaki sposób mamy szybko reagować, jeśli do uruchomienia nowego kierunku trzeba złożyć wniosek do PKA? Uniwersytety czy politechniki nie mają takiego obowiązku. Według sprawozdania za ubiegły rok, na 281 wniosków złożonych przez publiczne uczelnie zawodowe tylko 44 dostały od PKA oceny pozytywne. Są uczelnie, które już po raz piąty składają wnioski o kierunek informatyka – raportował R. Musiałkiewicz.

Motyw zawodowe vs. uniwersytety wybrzmiał też w wypowiedzi dr Elżbiety Stokowskiej-Zagdan, rektor Akademii Nauk Stosowanych im. Stefana Batory w Skierniewicach. Doma-



gała się autonomii w zakresie tworzenia kierunków nieobjętych standardami kształcenia. Takiej, jaką mają uczelnie akademickie. Kierunki medyczne podlegają ocenie Krajowej Rady Akredytacyjnej Szkół Pielęgniarek i Położnych i powinna być ona z automatu uznawana przez PKA. – Czym różnią się nasze uczelnie od medycznych? Wykształcenie pielęgniarki na uniwersytecie medycznym kosztuje o wiele więcej niż w uczelni zawodowej. Natomiast 80% pielęgniarek w szpitalu w Skierniewicach to nasze absolwentki. Do tego borykamy się z problemami w pozyskaniu specjalistów za wynagrodzenie, które jesteśmy w stanie zaoferować z subwencji, bo resort nie dostrzega kosztochłonności kształcenia medycznego. To jest niesprawiedliwość, która musi być systemowo rozwiązana – apelowała. Opowiedziała się też za międzyresortowym finansowaniem kształcenia na kierunkach społecznie potrzebnych (Ministerstwo Zdrowia, Ministerstwo Rozwoju, Ministerstwo Obrony Narodowej).

Przypomniano, że nie toczy się żadna poważna debata o akredytacji, choć model zapisany w ustawie jest niezmiennym praktycznie od dwóch dekad. Wskazywano, że to dobry moment, by zaadaptować go do obecnej rzeczywistości. Dr inż. Michał Sójka, rektor Publicznej Uczelni Zawodowej w Grudziądzu, podkreślał, że PKA powinna uwzględniać specyfikę praktycznego profilu kształcenia, choćby poprzez większe docenienie praktyków w porównaniu z pracownikami naukowymi, którzy nigdy nie wyszli poza mury akademii. P. Maciaszczyk zapowiedział starania o zmianę zasad otwierania kierunków. – Skoro uniwersytety mogą uruchamiać kierunki praktyczne, do czego nie są przygotowane tak dobrze jak my, to dlaczego my nie możemy spełniać oczekiwań naszych partnerów, otoczenia. Czy PKA lepiej od nas wie, którzy specjaliści są potrzebni w regionie? Uniwersytety niech zadbają o naukę, my cenimy praktyków, doświadczenie – tłumaczył.

Oponowała A. Budzanowska, której zdaniem wszelkie regulacje zmierzające do zamknięcia PUZ-ów wyłącznie w kształceniu zawodowym, bez tworzenia obszaru doskonałości naukowej, jest przeciwnie skuteczne i niezgodne z duchem rozwoju człowieka.

– W uczelniach zawodowych są przecież akademicy, którzy chcą się rozwijać także naukowo i regulacja, która tego by zabraniała, byłaby niezgodna z elementarnymi prawami obywatelskimi. Sugerowała, by na poziomie ministerstwa wprowadzić mechanizmy docenienia tej części kadry, która ma ambicje rozwoju naukowego. Zachęcała też do zainteresowania się inicjatywą Uniwersytetów Europejskich czy Wspólnot Wiedzy i Innowacji (KIC), gdzie uczelnie zawodowe są wręcz pożądane.

Do dyskusji włączył się dr hab. Artur Zimny, rektor Akademii Nauk Stosowanych w Koninie, przekonując, że dla uczelni zawodowych najcenniejszym pracownikiem jest nie akademik, teoretyk, lecz czynny praktyk, pracujący w biznesie, w przemyśle. – U mnie stanowią oni około 70% kadry – sięgnął po dane. Podzielił się też spostrzeżeniem, że rozwój PUZ-ów nastąpił po zniesieniu minimów kadrowych. Wcześniej otwierano czysto akademickie kierunki, jak politologia, dziennikarstwo, do prowadzenia których pozyskiwano akademików z dużych ośrodków. Dlatego właśnie przez długi czas, trochę wbrew ówczesnej nazwie, uczelnie te miały de facto akademicki charakter. – Teraz jesteśmy w stu procentach praktyczni i to cieszy.

Nowi beneficjenci

Rekomendacja 5: Kształcenie w publicznych uczelniach zawodowych musi być uelastyczniane w celu pozyskania nowych odbiorców, np. osoby pracujące, imigranci.

Rekomendacja 6: Publiczne uczelnie zawodowe powinny ewoluować w kierunku instytucji poświadczających efekty kształcenia, np. w postaci mikropoświadczeń.

Przeprowadzona badania pokazały, że już co piąty student PUZ-ów należy do grupy określonej mianem „nietradycyjni 30+” (w uczelniach akademickich to ledwie 5%). Jak wyjaśnił dr Krzysztof Wasielewski z UMK, uczelnie zawodowe przyciągają coraz więcej studentów pracujących (40%), głównie etatowców. Wydaje się, że to właśnie na nich będą się w najbliższej przyszłości orientować. Już teraz konstruują swoją ofertę głównie pod tego typu studenta, a model kształcenia popołudniowego czy weekendowego jest w nich wyraźnie obecny. Chodzi o to, by dzięki doksztalcaniu, budowaniu nowych umiejętności, jednym słowem lifelong learning, osoby te nie wyjeżdżały z regionu. Szansą może być też kształcenie imigrantów pod kątem wyposażania ich w zawodowe kompetencje. Segmentem, który po zmianach ustawowych mógłby być zagospodarowany przez PUZ-y, są studia na V poziomie krajowej ramy kwalifikacji. To krótkie, trysemestralne programy, które łączą teorię z praktyką i kończą się mikropoświadczeniem. Ich absolwenci mogą kontynuować kształcenie na studiach wyższych.

W Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Koszalinie, jak podała rektor dr Monika Pawłowska, już ponad 30% studentów ma powyżej 30 lat (w tym 20% to 40+). Z jej obserwacji wynika, że to ludzie zakorzenieni w danym mieście, pracujący, którzy chcą podwyższyć swoje kwalifikacje. Nie myślą o przeprowadzce w celu podjęcia kształcenia, jak studenci tradycyjni. Dodała, że ponad 70% jej studentów należy do pierwszego pokolenia w rodzinie, które podejmuje kształcenie w szkole wyższej. Jej zdaniem, budując markę, jakość kształcenia, nie można sobie pozwolić na elastyczność w stylu „rób co chcesz, a potem się wszystko zaliczy”. Student musi włożyć w to jakiś wysiłek.

Odniosła się też do kwestii naukowego filaru w PUZ-ach. – Uważam, że uczelnia bez nauki nie istnieje. Tyle że mogę sobie na nią pozwolić w ograniczonym stopniu. Od wielu lat moja uczelnia zajmuje pierwsze miejsce, jeśli chodzi o kosztowność. Prowadzenie badań czy ich dofinansowanie jest możliwe dzięki różnego rodzaju oszczędnościom. W zeszłym roku wypromowaliśmy 10 doktorów, mamy też profesora bel-

wederskiego. Naukowość powinna być traktowana jako wartość dodana, a nie podstawowe kryterium oceny naszych uczelni.

W tym kontekście ciekawe spostrzeżenia dorzuciła dr hab. Agnieszka Olechnicka z Uniwersytetu Warszawskiego, przywołując swoje doświadczenia z pracy w roli doradcy Komisji Europejskiej do spraw regionalnych i inteligentnych specjalizacji. Jednym z zagadnień, którymi się zajmowała, były innowacje w regionach wyludniających się. Patentów i publikacji tam jak na lekarstwo, co może zatem stanowić innowację? Na przykład badania oparte na praktyce. Pielęgniarki w szpitalu, prowadząc swoje zwykłe codzienne czynności, doskonalą swoją praktykę np. w leczeniu trudno gojących się ran. Ich praca doprowadziła do tego, że powstały zaawansowane opatrunki. Pielęgniarki, mimo że są niewidoczne w publikacjach, doskonaląc krok po kroku swoje metody doprowadziły do stworzenia urządzeń, które leczą rany próżniowo. Taką naukę uczelnie zawodowe już dziś prowadzą.

Ekspertka w swojej pracy zajmuje się rozwojem regionalnym oraz rolą w nim sektora nauki. Jak zauważyła, PUZ-y wpisują się w klasyczną poczwórną helisę: obejmują społeczeństwo, sektor naukowy, biznes i administrację publiczną. Przy czym ważne jest nie tylko to, co się dzieje w każdej z tych grup, ale i na ich przecięciu, jak ze sobą współpracują, jakie elementy wytwarzają w ramach współpracy (nowe kierunki, nowe instytucje, typu inkubatory przedsiębiorczości czy laboratoria). – Rola PUZ-ów jest szczególnie ważna, bo zapobiegają drenażowi mózgów. Osoby, których nie stać na studiowanie z dala od miejsca zamieszkania, które osiągają dzięki tym studiom awans społeczny, zwiększają potencjał kapitału ludzkiego w regionie – mówiła.

Przykład dowodzący możliwości szybkiego dostosowania się do otoczenia przytoczył dr Sebastian Łukaszeński, przewodniczący Rady Uczelni ANS w Koninie. W regionie pojawiły się chińskie firmy i od razu wzrosło zainteresowanie nauką języka. Uczelnia wprowadziła kurs chińskiego do swojej oferty. Tak samo, jego zdaniem, powinno być z kierunkami studiów. – Tymczasem od pomysłu do realizacji mija czasem kilka lat, w efekcie czego pożądany w danym momencie kierunek przestaje być aktualny. Uzyskiwanie zgody nie może tyle trwać, chyba że chcemy kształcić bezrobotnych.

Dodał, że kontakty z biznesem są konieczne, bo inaczej nie byłoby wiadomo, czego on potrzebuje. W przypadku konińskiej ANS współpraca społeczno-gospodarcza nasiliła się w ostatnich pięciu, sześciu latach. Synergia może wyglądać tak: przedsiębiorcy fundują różnego rodzaju pomoce dydaktyczne, dostosowane do profilu ich branży albo systemów wdrożonych w firmie, zaś studenci, korzystając z nich, nabywają konkretne umiejętności, których potrzebują lokalni pracodawcy.

Regionalna odpowiedzialność

Rekomendacja 7: Powołanie Inicjatywy Doskonałości – Uczelnia Regionalna, która miałaby promować uczelnie zawodowe szczególnie aktywne w wymiarze regionalnym i przyczyniać się do wzmocnienia tej aktywności.

Rekomendacja 8: W algorytmie finansowania powinno się dowartościować studentów na poziomie magisterskim, zwłaszcza absolwentów, którzy kontynuują kształcenie na uczelni macierzystej.

W wywiadach z władzami uczelni badacze UMK zauważyli, że działania na rzecz otoczenia społeczno-gospodarczego sprowadzają się głównie do obszaru kształcenia. Dopiero potem pojawiały się inne aktywności o równie fundamentalnym znaczeniu: edukacyjne (od najmłodszych po seniorów), społeczno-kulturalne (na rzecz miasta), gospodarcze (wykorzystywanie laboratoriów). W niektórych środowiskach uczelnie zawo-

Publiczne uczelnie zawodowe

1. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Koszalinie
2. Akademia Nauk Stosowanych w Elblągu
3. Państwowa Uczelnia Zawodowa im. prof. Edwarda F. Szczepanika w Suwałkach
4. Publiczna Uczelnia Zawodowa w Grudziądzu
5. Akademia Nauk Stosowanych w Wałczu
6. Akademia Nauk Stosowanych im. Stanisława Staszica w Pile
7. Akademia Łomżyńska
8. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych im. Ignacego Mościckiego w Ciechanowie
9. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych we Włocławku
10. Akademia Nauk Stosowanych im. Hipolita Cegielskiego w Gnieźnie Uczelnia Państwowa
11. Akademia Nauk Stosowanych w Koninie
12. Akademia Nauk Stosowanych Stefana Batorego w Skierniewicach
13. Akademia Białka im. Jana Pawła II
14. Akademia Nauk Stosowanych im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie
15. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Głogowie
16. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Chełmie
17. Collegium Witelona Uczelnia Państwowa w Legnicy
18. Karkonoska Akademia Nauk Stosowanych w Jeleniej Górze
19. Akademia Nauk Stosowanych Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu
20. Państwowa Uczelnia Zawodowa im. prof. Stanisława Tarnowskiego w Tarnobrzegu
21. Akademia Zamojska
22. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Nysie
23. Akademia Nauk Stosowanych w Raciborzu
24. Małopolska Uczelnia Państwowa im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Oświęcimiu
25. Akademia Tarnowska
26. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych im. ks. Bronisława Markiewicza w Jarosławiu
27. Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Targu
28. Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu
29. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Krośnie
30. Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Przemyśle
31. Uczelnia Państwowa im. Jana Grodka w Sanoku



Dynamika profili kształcenia w PUZ

Rok	Dominujący profil dydaktyczny	Odsetek studentów
2005	Kierunki społeczne	34,90%
	Kierunki pedagogiczne	27,10%
	Kierunki usługowe	10,00%
	Kierunki około-medyczne	9,80%
2010	Kierunki społeczne	28,90%
	Kierunki pedagogiczne	18,80%
	Kierunki techniczne	13,70%
	Kierunki około-medyczne	13,60%
2015	Kierunki około-medyczne	18,60%
	Kierunki techniczne	17,50%
	Kierunki prawno-ekonomiczne	14,10%
	Kierunki pedagogiczne	13,10%
2022	Kierunki około-medyczne	26,90%
	Kierunki prawno-ekonomiczne	15,70%
	Kierunki techniczne	12,90%
	Kierunki usługowe	10,90%

Źródło: opracowanie własne na podstawie danych GUS

dowe stanowią zaplecze eksperckie dla samorządów. W jednym z miejsc PUZ postrzegana jest jako atut w procesie pozyskiwania inwestorów – rozmowa nie może się odbyć bez obecności rektora i prezentacji uczelni. Przedstawiciele samorządów zwracają uwagę, że w ostatnich latach następuje coraz szerzej otwarcie uczelni na środowisko lokalne. – Być może jest to spowodowane niższym demograficznym, który sprawia, że siłą rzeczy są zmuszone zaznaczać silniej swoją obecność w przestrzeni miasta czy regionu. De facto realizują więc trzecią misję, odgrywając ogromną rolę w procesie wspomagania procesów rozwojowych w wymiarze lokalnym – wskazywał dr Jarosław Domalewski z UMK.

Obecna podczas tej części obrad wiceminister prof. Maria Mrówczyńska od razu na wstępie określiła się jako gorąca orędowniczka uczelni zawodowych. Jej zdaniem zaangażowanie w rozwój regionu jest kluczowe, inaczej traci nie tylko uczelnia, ale i jej otoczenie. Otwarcie się na nowe aktywności, w ocenie wiceszefowej resortu, wynika z tego, że PUZ-y nabrały pewności siebie w działaniu. – Przystały być jedynie ubogimi siostrami, próbującymi zagospodarować tych, którzy nie wyjeżdżają do dużego miasta. Po ćwierć wieku funkcjonowania okrzepły, wpięły się na dobre w swoje regiony, czują wartość, jaką niosą ze sobą – stwierdziła. Dodała, że również dzięki kultywowaniu regionalnych tradycji i kultury, m.in. poprzez prowadzenie bibliotek, chórów, zespołów lokalnych, stały się bardziej widoczne. Wyraziła życzenie, by jeszcze bardziej inwestowały we własnych pracowników, budowały swoją kadrę i nie opierały się na zaciągu zewnętrznym. – Nie można pozwolić, aby te uczelnie zaczęły zniknąć, bo później już się nie odbudują, będzie to strata dla regionów.

Zapewniła, że ministerstwo nie zapomina o uczelniach zawodowych. W projekcie nowej strategii rozwoju kraju znajdują się one pod szczególną ochroną jako istotne dla kształtowania swoich regionów. Co więcej, Konferencja Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych jest jedną z trzech wpisanych do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce jako ciało opiniujące i konsultujące wszystkie zmiany i akty prawne.

W toku dyskusji zaznaczono, że uczelnie zawodowe, paradoksalnie, w obliczu niżu są w nieco bardziej komfortowej sytuacji niż akademickie, bo wykazują się większą elastyczno-

ścią, jeśli chodzi o dostosowanie oferty kształcenia pod kątem potrzeb potencjalnych studentów, czyli np. osób aktywnych zawodowo, które chcą podnosić swoje kwalifikacje.

– Jesteśmy tyle wari, ile wnosimy w rozwój naszych regionów. Zarówno w sensie społeczno-kulturowym, jak i gospodarczym – podkreślił A. Zimny. Przyznał, że gdyby nie powstała uczelnia w Koninie, on sam nie zdobyłby wyższego wykształcenia. Dziś, jako jej absolwent, nią zarządza. – Po latach uczelnie zawodowe dorobiły się własnych rektorów. Już nie muszą oni przyjeżdżać z innych miast. Mieszkam w Koninie, moje całe życie zawodowe jest związane z uczelnią. To też jest czynnik, który powoduje, że się angażujemy w takim stopniu – dodał.

ANS w Koninie gra właśnie o duży projekt. Jeśli zapadnie decyzja o lokalizacji drugiej elektrowni jądrowej w Polsce (Konin rywalizuje z Bełchatowem), uczelnia ma być partnerem strategicznym. Rektor już zapowiedział, że będzie kształcić personel pomocniczy „atomówki”. – W systemie szkolnictwa wyższego odgrywamy wprawdzie marginalną rolę, ale z punktu widzenia rozwoju regionalnego trudno przecenić nasze znaczenie. Jesteśmy instrumentem polityki interregionalnej prowadzonej przez rząd, ale powinniśmy być też instrumentem polityki intraregionalnej prowadzonej przez samorządy województw. Wpisujemy się w regiony i chcemy je wspierać – zakończył.

Pomysł IDUR spotkał się z zainteresowaniem uczestników konferencji, ale słusznie uznano, że bez dodatkowych środków z budżetu nie ma co liczyć na jego realizację. Zwłaszcza, że uczelniom zawodowym dedykowana już jest Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości. Więcej optymizmu wlała wiceminister M. Mrówczyńska, odnosząc się do rekomendacji dotyczącej dowartościowania w algorytmie studentów na poziomie magisterskim. – Przyjęcie na II stopień jest zazwyczaj obarczone dużo niższym współczynnikiem sukcesu i każda uczelnia ma z tym problem. Dlatego ta rekomendacja wydaje mi się bardzo potrzebna.

Jak zauważył J. Domalewski, rozwijanie studiów drugiego stopnia ma fundamentalne znaczenie w kontekście zatrzymania młodych ludzi w miejscu ich zamieszkania. – Tymczasem przelicznik 0,6 dla studenta studiów II stopnia jest wyraźnie krzywdzący dla publicznych uczelni zawodowych.

Przyszłość PUZ

W kontekście przyszłości badacze UMK wskazują cztery główne funkcje, jakie publiczne uczelnie zawodowe mogą realizować: regionalne centra zaawansowanego kształcenia, wiedzy oraz innowacji; trampolina społecznego awansu dla osób nieuprzywilejowanych; budowanie kapitału społecznego i wyrównywanie szans; lokalne kształcenie w zawodach społecznie doniosłych w sektorze służby zdrowia oraz edukacji.

R. Musiałkiewicz widzi szansę w zwiększeniu stopnia scholaryzacji. Jak podawał, w krajach OECD odsetek osób z wyższym wykształceniem wynosi 42%, w Polsce 34%. Wrócił też do kwestii dostępu do finansowania grantowego. W latach 2011–2024 pracownicy publicznych uczelni zawodowych złożyli do Narodowego Centrum Nauki 173 wnioski (na 147 tys. ogółem), z których zaledwie 7 (na 31 tys.) uzyskało finansowanie (siedem uczelni nie złożyło żadnego wniosku). Przez 13 lat do PUZ-ów trafiło niecałe 1,8 mln zł, czyli 0,01% środków rozdysponowanych przez agencję. W maju 2025 roku KRePUZ wysłała do dyrektora NCN apel o specjalną ścieżkę w programie MINIA-TURA. Na razie bez efektów.

Przyszłościowo władze PUZ myślą też o naprawie przepisów ustawy o cudzoziemcach. Od jej przyjęcia proces wizowy stał się wyraźnie trudniejszy. Przy czym, znów, nie dotyczy to uczelni akademickich, tam zachowano status quo. To zawodowe mają pod górę, muszą uzyskiwać stosowne zezwolenie od ministra do spraw wewnętrznych, jeśli chcą przyjąć studentów z zagranicy. Tymczasem z ostatniej symulacji ZUS wynika, że do 2060 roku liczba ludności Polski spadnie poniżej 30 mln. – PUZ-y mogłyby integrować społeczności regionalne. Bez migrantów będzie nam bardzo trudno – przekonywała A. Olechnicka, która rolę PUZ-ów widzi nie tylko w odpowiadaniu na potrzeby społeczne, ale też zapewnianiu kompetencji krytycznych, jak cyfryzacja, digitalizacja, sztuczna inteligencja.

P. Maciaszczyk podkreślił, że jedną z priorytetowych spraw jest z pewnością zmiana trybu uruchamiania nowych kierunków, także drugiego stopnia. – Uczelnie niepubliczne mogą, my nie. Nie dostajemy zgody na wiele kierunków, które powinniśmy otwierać, bo tego oczekuje od nas lokalne środowisko, takie są potrzeby. Wszyscy, którzy mogliby u nas zostać i dalej

się kształcić, idą na uczelnie niepubliczne – mówił i zapowiedział podjęcie działań w sprawie powołania branżowej komisji akredytacyjnej.

Przypomnijmy, że na przełomie stuleci (1998–2002) działała Komisja Akredytacyjna Wyższego Szkolnictwa Zawodowego. Była to pierwsza umocowana ustawowo – w ustawie z 26 czerwca 1997 r. o wyższych szkołach zawodowych – państwowa komisja akredytacyjna. Przestała istnieć wraz z powstaniem PKA. Obecny na konferencji dr hab. Jakub Brdulak, sekretarz PKA, podkreślał, by nawet mimo negatywnych doświadczeń nie przekreślać znaczenia akredytacji. Daje ona dyplomom polskich uczelni, w tym zawodowych, widoczność w europejskim systemie szkolnictwa wyższego. Obejmuje on dziś 47 krajów. – Dzięki temu, że tam jesteśmy, student z dowolnego miejsca na świecie może przyjechać i jego dyplom będzie uznawany na całym kontynencie. Warto mieć z tyłu głowy ten szerszy kontekst.

Ostatnim wątkiem dyskusji była tożsamość uczelni zawodowych. D. Antonowicz stwierdził, że instytucje dostosowują się do otoczenia, w którym funkcjonują. Przeszło ono w ostatnich kilkunastu latach sporą metamorfozę. Dla wielu podmiotów kształtowanie własnej tożsamości wciąż trwa. – W naszych regionach jesteśmy mocnymi graczami. Może rzeczywiście nie mamy wyraźnej tożsamości w kontekście całego sektora, ale lokalnie wszyscy nas identyfikują – przekonywał R. Musiałkiewicz.

Dodał, że kształtowanie się tożsamości każdej uczelni to nie jest łatwy proces. Kiedy powstały ówczesne państwowe wyższe szkoły zawodowe, kształciły geografów, historyków, politologów... Dziś w pierwszej dziesiątce kierunków, po których zarabia się najlepiej, dziewięć oferowanych jest właśnie przez publiczne uczelnie zawodowe. – Przejście z kierunków czysto akademickich na zawodowe nadało silny wektor naszej tożsamości. Mam poczucie, że ta transformacja się udała, choć przecież to też nie jest etap końcowy.

Patronem medialnym wydarzenia było „Forum Akademickie”. Publikacja ze szczegółowymi wynikami badań ukaże się w drugim kwartale 2026 roku.



Zgłaszam się na ochotnika

Podstawowym problemem szkolnictwa wyższego w Polsce jest, moim zdaniem, jednowładztwo na uczelniach, które w praktyce wprowadziła obecna ustawa. Daje ona rektorowi nieograniczoną władzę. Jak pamiętam, tłumaczono, że nowa ustawa ma wzmocnić samorządność uczelni. Zamiast samorządności przyniosła ona nam jednak dyktaturę.

Obecnie w uczelniach odbywają się spotkania, na których omawiany jest projekt „Strategii Rozwoju Szkolnictwa Wyższego w Polsce do 2035 roku” (pozostawmy na boku sens tworzenia takich dokumentów). Myślę, że niewielu z Państwa uwierzy, gdy powiem, że przeczytałem całe 42 strony tego dokumentu i dodatkowo 3 załączniki. A jakże, załączniki muszą być! Będę szczery: nie przeczytałem wszystkiego, ale przejrzałem i poczytałem. Przeczytać całości się po prostu nie da. Jak przystało na poważny dokument, napisany jest on językiem, za który od wszystkich moich polonistek w szkole dostałbym dwóję. Uwaga dla młodych czytelników: za moich czasów to była najgorsza ocena.

Z lektury dowiedziałem się, że „Strategia przewiduje zróżnicowane, ale komplementarne instrumenty rozwoju, które odpowiadają na potrzeby i potencjały poszczególnych typów uczelni, oraz powiązanych instytucji naukowych, regionalnych i branżowych, wzmacniając ich funkcjonowanie w spójnym systemie szkolnictwa wyższego oraz umożliwiając pełnienie przypisanych im funkcji społecznych, gospodarczych i kulturowych”. Zanim dotarłem do końca zdania, zapomniałem, co było na początku. No cóż, jestem nieco wiekowy, ale skoro strategia przewiduje, że szkolnictwo wyższe ma być inkluzywne, to proszę też pamiętać o takich ludziach jak ja.

Ale oto okazuje się, że „Strategia” pamięta o wszystkich. Paragraf „Bezpieczeństwo instytucjonalne” zawiera punkt „C.4.3. Systemowe i zintegrowane wsparcie dobrostanu psychicznego społeczności akademickiej poprzez rozwój profesjonalnych usług psychologicznych i społecznych, programów profilaktycznych oraz działań edukacyjnych, mających na celu przeciwdziałanie przemocy, stresowi oraz wykluczeniu”. Uff..., a już czułem się wykluczony! Po pierwszej, pobieżnej lekturze pomyślałem, że taki styl pisania może mieć jedynie sztuczna inteligencja. Intuicja mnie zawiodła. AI powiedziała mi, że „Strategię” z dużą pewnością pisał człowiek, a AI być może jedynie pomagała w tworzeniu tego dzieła. Tym bardziej mam olbrzymią prośbę do Autorów. Skoro jest to projekt dotyczący szkolnictwa wyższego, może poprosić kompetentnych polonistów o napisanie tego jeszcze raz po polsku. A może dodać do tej strategii nowy punkt: nauka języka ojczystego dla wszystkich uczonych polskich. Sam bym chętnie z takich kursów skorzystał, bo często robię błędy i później jest mi za nie wstyd, szczególnie przed studentami. Z przykrością zauważam jednak, że w świecie naukowym w naszym kraju zjawisko wstydu powoli zanika.

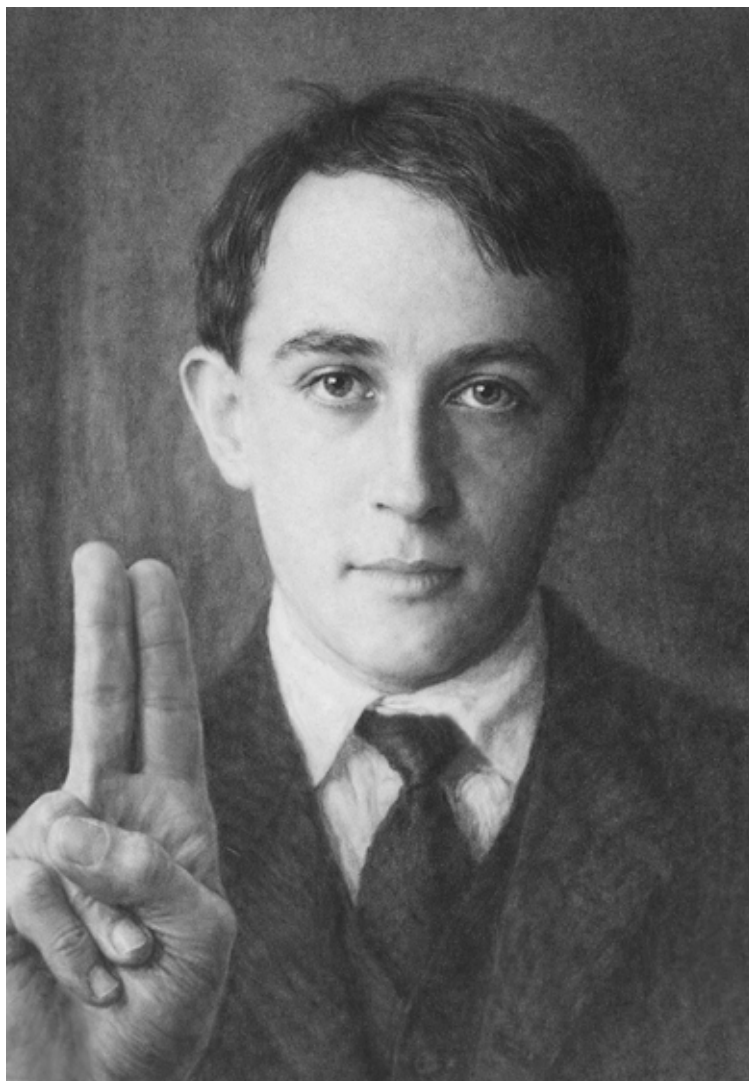
Ale powróćmy do „Strategii”. Autorzy, zgodnie z dobrymi, obecnie obowiązującymi biurokratycznymi standardami wskazywali silne i słabe punkty – modna analiza SWOT – i zawarli w tekście mnóstwo bardzo nośnych sformułowań. Nigdzie nie znalazłem jednak odpowiedzi na pytanie, jak szkolnictwo wyższe w Polsce ma być zarządzane. Mam spore doświadczenie w zarządzaniu zespołami naukowymi, stowarzyszeniami, fundacją oraz prywatnymi firmami. Z doświadczenia wiem, że zarządzanie zespołami ludzkimi to podstawa sprawnego działania i bez tego żadna strategia nie ma szansy na realizację. Na jednym ze spotkań zapytałem więc o to. Na sali zapanowała kłopotliwa cisza i, jak to doskonale znamy z naszej akademickiej codzienności, bardzo grzecznie podziękowano mi za „wspañie pytanie” i... sprawnie przeszliśmy do udzielenia odpowiedzi na pytania innego uczestnika. Korzystam więc z okazji i powtarzam poniżej moje wątpliwości.

Podstawowym problemem szkolnictwa wyższego w Polsce jest, moim zdaniem, jednowładztwo na uczelniach, które w praktyce wprowadziła obecna ustawa. Daje ona rektorowi nieograniczoną władzę. Jak pamiętam, tłumaczono, że nowa ustawa ma wzmocnić samorządność uczelni. Zamiast samorządności przyniosła ona nam jednak dyktaturę. Co prawda, rektorzy są wybierani, ale dotychczasowe doświadczenia praktyczne są mało zachęcające. Pamiętamy dość żenujące historie otwartych walk pomiędzy kandydatami z wykorzystaniem komisji dyscyplinarnych jako broni, czy też bardziej subtelne rozwiązywanie problemu – powołanie wielu prorektorów. Chyba najlepiej to ujął jeden z ustępujących rektorów, który po ogłoszeniu wyników wyborów stwierdził z rozbrajającą szczerością: „wygrał nasz człowiek”. No właśnie, jest wiele różnych sposobów, żeby wygrywali „nasi ludzie”. I tak powstają swoiste dynastie.

Jak przystało na władców, zwycięzcy szybko tworzą wokół siebie dwór. Żeby zapewnić sobie dobrostan, władca bardzo chętnie korzysta z możliwości ustawowych jednoosobowego, dowolnego formowania dworu. Sam wybiera dziekanów, dyrektorów instytutów czy kierowników katedr. Może wszystkich mianować i odwoływać, w rzeczywistości według własnego widzimisię. Tu pojawia się proste wytłumaczenie. Demokratyczne procedury prowadziłyby wszak do wybrania osób o dużym autorytecie. Taka osoba miałaby ogromny mandat społeczny i reprezentowałaby przed rektorem zdanie swojego środowiska. Rektor nie potrzebuje takich silnych, niezależnych

osób. Rektorowi potrzebni są ludzie wykonujący jego polecenia ściśle i bez zbędnej dyskusji, bo przecież to on jednoosobowo odpowiada za uczelnię. Takie zdanie wypowiedział bardzo otwarcie jeden z rektorów przed zgromadzoną licznie społecznością akademicką. Trzeba docenić szczerą wypowiedź. Moim zdaniem sformułowania te wynikają z braku szacunku dla środowiska akademickiego, poczucia niczym nieskrępowanej władzy i... braku praktycznej i teoretycznej wiedzy na temat zarządzania. Wiadomo doskonale, że działania oparte na sile i dyktaturze nie doprowadziły do niczego dobrego w historii ludzkości. Popatrzmy jednak na mechanizmy uczelniane. Zaraz po wyborze rektor zostaje otoczony przez dwór i wchodzi w dworskie obyczaje. Pomagają w tym akademickie tradycje, togi, gronostaje, berła, łańcuchy, tytułatura... Jak pokazuje doświadczenie, Ich Magnificencje szybko tracą kontakt z rzeczywistością i uzyskują wiarę w swoją nieomyślność i sprawczość. A ustawa w tym bardzo pomaga. Rektor powołuje wszak również członków różnych komisji i rzeczników, w tym dyscyplinarnych i antymobbingowych. W praktyce oznacza to, że ma ogromny wpływ na działanie wydawałoby się niezależnych instytucji. Jest to bardzo ważny element władzy. „Nasi ludzie” nie muszą się już bać żadnych konsekwencji i mogą się czuć bezkarni. Wszyscy znamy historie postępowań dotyczących poważnych nierzetelności naukowych, które ciągnęły się i wciąż ciągną latami lub przeciwnie – zostały bardzo sprawnie zamiecione pod dywan. Jeśli natomiast ktoś podpadnie rektorowi i dworowi, to pod byle pozorem można go przywołać do porządku, korzystając na przykład z posłusznego rzecznika dyscyplinarnego czy antymobbingowego. Jak mówi znana zasada funkcjonująca tam, gdzie kończy się demokracja: „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”. Niesforne(nie)go?) pracownika można wezwać przed oblicze takiego lub innego rzecznika albo postraszyć sądem. Jeśli jest nadal niesforne, to można mu wytoczyć sprawę sądową, np. o zniesławienie uczelni. I nie ma znaczenia, czy przyczyna jest poważna, czy bez sensu, i jak się zakończy sprawa w przyszłości. Proces będzie się ciągnął latami, biedaczek będzie musiał wynająć prawnika, denerwować się, tracić czas i wydawać prywatne pieniądze. Pan rektor ma natomiast do pomocy cały swój dwór, prawników, administrację i zasoby finansowe uczelni. Do własnej kieszeni sięgać nie musi, ani dokładać ze swojej kilkudziesięcioletniej pensji. Nic więc dziwnego, że większość niesfornych szybko rezygnuje z naprawiania świata. Trudno kopać się z koniem, tym bardziej, że raty zaciągniętych kredytów trzeba płacić regularnie, a pensja, w odróżnieniu od rektorskiej, kilkudziesięcioletnia nie jest.

A przed kim odpowiada rektor? Nie, nie! Nie tylko przed Bogiem i Historią! Odpowiada przed Bardzo Poważną Instytucją, jaką jest Rada Uczelni. W jej skład wchodzi między innymi przedstawiciel studentów i kilka innych Bardzo Znamienitych Osób. Jak wiemy, w praktyce rozwiązanie to może działać dość sprawnie. Dobrym pomysłem już stosowanym w życiu jest np. włączenie do składu rady członków najbliższej rodziny rektora czy też prorektora. Wszystko to zwiększa inkluzywność



Rys Sławomir Małaj

uczelni i jest zgodne z tak ważną dzisiaj zasadą proroctwa. Jak pokazuje praktyka, nawet minister niewiele jest w stanie zrobić rektorowi.

Historia potwierdza, że nic, co jest oparte na dyktaturze i pozbawione społecznej, demokratycznej kontroli, nie prowadzi do trwałego sukcesu. Zakończmy więc może ten eksperyment w szkolnictwie wyższym w Polsce. Nauka, szkolnictwo wyższe i uczelnie to nie korporacyjny biznes. Bez wolności naukowej, prawdziwej samorządności i demokratycznych zasad zarządzania uczelniami nie osiągniemy wiele. I nie pomogą w tym działania marketingowe uczelni chwalcących się na swoich stronach internetowych czy Facebookach otrzymaniem kolejnej Bardzo Prestiżowej Nagrody czy też awansowaniem na Bardzo Ważnej Światowej Liście Rankingowej z pozycji 88 997 na 88 996.

Spróbujmy naprawić system zarządzania szkolnictwem wyższym w Polsce zanim wszyscy młodzi, zdolni i ambitni ludzie stracą złudzenia i odejdą. Jako osoba z niemałym dorobkiem badawczym i wieloletnim doświadczeniem w zarządzaniu zespołami naukowymi i biznesowymi, zarówno krajowymi jak i międzynarodowymi, chętnie pomogę.

*Prof. dr hab. inż. Jarosław Kaba
jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym na SGGW w Warszawie,
prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych, członkiem Komitetu
Nauk Weterynaryjnych i Biologii Rozrodu PAN, wiceprezydentem European College
of Small Ruminant Health Management i prezesem Toinen pro art Fundacji,
e-mail: jkaba@o2.pl*

Strefy krzyków i ciszy

Uczonemu ze statusem samodzielnego pracownika naukowego nie wypada wprawdzie wypowiadać się tak, jakby sam nie wiedział o czym mówi, ale dobrze jest pomijać najbardziej drażliwe kwestie w rozmowach z tymi, którym zawdzięcza swój akademicki awans. Jest to już jednak „wyższa szkoła jazdy”, nazywana dyplomacją bądź po prostu dobrym wychowaniem.

W życiu każdego człowieka są strefy, w których jest miejsce na krzyk, oraz takie, w których jest miejsce na ciszę. Czasami są pożądane te pierwsze, a czasami te drugie. Wiele jednak zależy nie tylko od ludzkich potrzeb, ale także od możliwości ich zaspokojenia oraz znalezienia dla nich środowiskowego zrozumienia i tolerancji. Nie inaczej jest w przypadku życia akademickiego.

Strefy krzyków

Powiedzenie, że człowiek rodzi się z krzykiem, należy do tzw. oczywistych oczywistości. Jeśli jednak ktoś ma co do tego wątpliwości, to powinien pofatygować się na szpitalną salę porodową lub przynajmniej posłuchać relacji rodzących kobiet. Mężczyzn umacniają one w przekonaniu, że jednak lepiej jest urodzić się mężczyzną. Do naturalnych stref krzyków należą również place zabaw dla dzieci, zwłaszcza te należące do przedszkoli. Nawet kilkuletnie dzieci potrafią się zdobyć na krzyk, który niesie się daleko. Uczniowie szkół podstawowych mają nieco bardziej ograniczone możliwości wyrażania krzykiem stanów emocjonalnych. Jednak nie na tyle, aby w przerwach między lekcjami nie dać dowodu swego potencjału wokalnego. W początkach mojej pracy zawodowej byłem nauczycielem w takiej szkole i miałem okazję się przekonać, że dla jej uczniów nie ma większej radości niż zakończenie lekcji. Szkoła średnia jeszcze bardziej ogranicza te możliwości. Nastolatkom nie mogą jednak pójść na przykład na stadion i razem z innymi kibicami krzyczeć tak, jakby ich coś opętało.

Tacy krzykacze pojawiają się od czasu do czasu również w strefach akademickich. Jedną z nich stanowią akademiki. Mieszkając tam przez całe studia i wielokrotnie miałem okazję się przekonać, że nie ma lepszej okazji do artykułowania możliwości studenckiego gardła niż sobotnio-niedzielne spotkania z kompanami od butelki. Szczególną okazją do ich zademonstrowania są juwenalia. W moich studenckich czasach odbywały się one zarówno na terenie uczelnianym, jak i na ulicach miasta. Wychodzenia na miasto zaprzestano po tym, jak doszło do śmiertelnego wypadku jednej ze studentek. Obecnie organizowane są one nadal, ale na akademickim kampusie, który znajduje się w pobliżu osiedla mieszkaniowego. Mieszkańcy wielokrotnie skarżą się władzom uczelni na zakłócanie przez studentów ciszy nocnej. Okazało się jednak, że niewiele można z tym zrobić, bowiem studenci mają swoje prawa, w tym prawo do zabawy.

Do stref krzyków należą również miejsca, w których odbywają się różnego rodzaju demonstracje. Biorą w nich udział nie tylko studenci, jednak niejednokrotnie są ich inicjatorami. Tak było m.in. podczas studenckiej wiosny 1968 roku. Największą skalę przybrały one we Francji, bowiem objęły nie tylko paryską Dzielnicę Łacińską, ale także inne francuskie miasta. W Polsce przeszły do historii pod nazwą „Marca 1968 roku”. Nie tylko nie były one masowe, ale także nie przyniosły tak głębokich zmian w szkolnictwie wyższym jak we Francji. Znacznie większą skalę miały demonstracje po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. Studenci wprawdzie nie odważyli się artykułować protestu przeciwko próbie zdławienia demokratycznych przemian na ulicach, ale okupowali pomieszczenia na wielu polskich uczelniach. Po przełomie 1989 r., tj. w okresie tzw. wolnej Polski, studentom nie tylko łatwiej jest publicznie demonstrować swoje potrzeby (rzecz jasna nie tylko krzykiem, także wypisywanymi na transparentach postulatami), ale również wysuwać żądania w gruncie rzeczy niemożliwe do zrealizowania, na przykład „akademiki za złotówkę”.

Jeśli ktokolwiek sądzi, że profesorom nie wypada wykrzykiwać swoich potrzeb, to powinien zapoznać się z opublikowanym w numerze 715 „PAUzy” artykułem Andrzeja Białasa pt. *Krzyk rozpacz*. Autor powołuje się na „teksty powszechnie znanych autorytetów prawniczych, profesorów Andrzeja Zolla, Andrzeja Mączyńskiego i Jana Widackiego, którzy krytycznie komentują tekst prof. Grzegorza Bartosza („PAUza” 703) wzywający do przeciwstawienia się – również za pomocą środków prawnych – zalewowi kłamstwa w przestrzeni publicznej (głównie w internecie, ale nie tylko). Wypowiedzi tych prawników są jednoznaczne: prawo nie nadaje się do kontrolowania prawdziwości informacji publicznej, a jego zastosowanie spowodowałoby więcej szkód niż korzyści. Grozi bowiem wprowadzeniem cenzury oraz ograniczeniem swobody wypowiedzi, czyli złamaniem jednego z podstawowych praw człowieka. Takie „krzyki rozpacz” pojawiają często również na łamach „Forum Akademickiego”. Szczególnie wiele z nich dotyczy sposobu przeprowadzania parametryzacji jednostek naukowych. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Sebastian Kołodziejczyk podejmowane w ostatnim czasie próby jego poprawienia nazwał „pudrowaniem trupa”. Jest o co krzyczeć, bowiem przy kryteriach parametryzacji przeprowadzonej za lata 2020-2023 na liście „naj-



lepszycy” znalazły się jednostki, które zatrudniają niewielu uczonych, najczęściej nierozpoznawalnych poza najbliższym otoczeniem. Natomiast łatwo tam znaleźć takich, którzy mają w swoim dorobku publikacyjnym przede wszystkim publikacje kupione w tzw. drapieżnych czasopismach. Sporo krzyku wywołuje również sposób oceny jakości czasopism naukowych. Są oczywiście tacy, którzy go bronią, bowiem ich uczelnie stać na zapłacenie rachunku za publikacje w „drapieżnikach”. Jednak inne uczelnie są na to za biedne lub ich uczeni uważają, że swoich pozycji naukowych powinni bronić siłą zawodowych kwalifikacji.

W swoim akademickim życiu od czasu do czasu spotykałem się zarówno z okrzykami radości, jak i rozgoryczenia, które trudno opisać. Te pierwsze pojawiały się głównie za drzwiami uczelnianych gabinetów po udanym zaliczeniu przez studenta egzaminu. Natomiast te drugie m.in. wówczas, gdy kandydaci do stopnia doktora habilitowanego lub tytułu profesora otrzymywali negatywne opinie i nie mogli się z nimi pogodzić. Przysługuje im prawo odwołania od decyzji jednostek mających uprawnienia do nadawania stopni i tytułu. Niejednokrotnie składali takie odwołanie, jednak rzadko kiedy okazywało się ono skuteczne. Zdarzało się, że powołani dodatkowi opiniodawcy jeszcze surowiej oceniali ich naukowe osiągnięcia. Krzyki radości pojawiały się czasami również po zakończeniu sprawowania funkcji rektora lub dziekana przez osoby, które potrafiły dobrze dać się we znaki tym, których nie cenili lub nie lubili. Natomiast wyrazy rozgoryczenia wówczas, gdy funkcyjne osoby wyczerpywały możliwości ubiegania się o funkcje przez kolejną kadencję lub przepadały w uczelnianych wyborach. W jednym i drugim przypadku były one jednak raczej dyskretne. Zdarzało się nawet, że ci, którzy przez całą procedurę wyborczą zwalczały niewygodnego im kandydata, po wygraniu przez niego wyborów śpieszyli z gratulacjami i udawaną radością.

Strefy ciszy

Taką strefą dla wielu osób są m.in. cmentarze. Mówi się nawet o „cmentarnej ciszy”. Jednak póki co nauka i akademickie nauczanie nie umarło, a że nie zawsze jest okazem zdrowia to już zupełnie inna sprawa. Taką strefą bywają również domy prywatne, przynajmniej te, w których małżonkowie nie „skaczą sobie do oczu”. Jest jednak sporo trafności w rysunku Francisco Goi zatytułowanym *Gdy rozum śpi, budzą się demony*. W przypadku uczonych „demony” mogą przybrać postać osób, które nieźle dały im się we znaki lub przypominają im popełnione błędy lub braki w edukacji, np. słabe opanowanie języka, który jest niezbędny do udanego wystąpienia na międzynarodowym forum. Tak czy inaczej może się nam przyśnić zarówno coś miłego, jak i coś przykrego. Cisza częściej przydarza się uczonym, którzy mają wyrozumiałych współmałżonków i dobrze wychowane dzieci. Można też udać się do bibliotecznej czytelnicy, gdzie z zasady panuje cisza. Dzisiejsi uczeni jednak rzadko z niej korzystają, bowiem mają do dyspozycji komputer, z którym mogą się zamknąć w pokoju i pracować przynajmniej do czasu, aż kogoś z rodziny nie zaniepokoi przedłużająca się cisza. Wszystko jednak należy od warunków, w których wpływ uczonych na wejście w strefy ciszy jest z reguły ograniczony.

Są jednak również sytuacje, które zależą głównie od samych uczonych. Należą do nich zarówno strefa mówienia o swoich porażkach, jak i o swoich osiągnięciach. Niektórzy na temat porażek wolą zachować całkowite milczenie, bo mówienie o nich ucieszy przeciwników, a zasmuci przyjaciół i sympatyków. Nie wszystko jednak da się pokryć milczeniem. Prawie zawsze znajdują się osoby, które nam błędy przypominają, a nawet

przedstawiają je tak, że chciałoby się schować ze wstydu. Są również tacy, którzy gdzie i komu się da opowiadają o swoich osiągnięciach, jak np. publikacja tekstu w prestiżowym czasopiśmie lub otrzymanie wyróżnienia. Znam profesora, który robi to regularnie. Gdyby zachował w tym trochę umiaru, może nic by mu nie ubyło z profesorskości.

Uważa się, że o zmarłych można mówić dobrze albo wcale, nawet o tych, którzy jak najgorzej zapisali się w pamięci. Jest to tym trudniejsze, im szerzej ktoś był znany i swoimi nierozważnymi działaniami poczynił szkody odczuwalne długo przez wiele osób. Takich stosunkowo łatwo jest znaleźć w gronie uczonych, którzy pomylili akademickie obowiązki z zadaniami politycznymi. Funkcjonowali na niejedynej uczelni, w tym na mojej byłej (UAM). Nie wymienię ich z nazwiska nie tylko z uwagi na szacunek dla zmarłych, ale także dlatego, że dzisiaj mało komu jest to potrzebne. Istnieją jednak rozliczenia. Są oczywiście robione również w stosunku do zmarłych, którzy zapisali swoje karty w historii nauki. Takich publikacji pojawiło się wiele po przełomie 1989 r. Formułowane są w nich często radykalnie różne oceny i opinie. Jeśli miałbym sformułować ogólniejszą konkluzję, to powiedziałbym, że takie rozliczenia są wprawdzie potrzebne, ale wyłącznie na nich nie zbuduje się lepszej przyszłości życia akademickiego.

„Cisi” i „gęgacze”

Nawiązuję tutaj do napisanego w 1964 r. satyrycznego utworu Janusza Szpotańskiego, zatytułowanego: *Cisi i gęgacze, czyli bal u prezydenta. Opera w trzech aktach z uwerturą i finałem*. Nie zamierzam jednak wracać do czasów Władysława Gomułki ani też w satyrycznym świetle przedstawiać sytuację tych, którzy w życiu akademickim mieliby coś istotnego do powiedzenia, jeśli tylko odważyliby się mówić. Jednak wypowiadają się w taki sposób, że ich głos można uznać co najwyżej za „gęganie”. Są różne powody milczenia lub wypowiedziania się tak, aby broń Boże sobie nie zaszkodzić. W przypadku młodych uczonych w grę może wchodzić obawa, że mogliby pozbawić się miejsca w akademickim środowisku. Mogą oczywiście coś sugerować, np. zapoznanie się z publikacją, w której przedstawiony jest zupełnie inny punkt widzenia niż ich przełożonych. Jest to jednak również ryzykowne, bo dowodzi, że przełożeni nie są na bieżąco z uzyskiwanymi w nauce wynikami. Jeśli zatem młodzi nie zachowują milczenia, to „gęgają” w taki sposób, aby nie można było się zorientować, czy są za, czy przeciw poglądom przełożonych. Uczonemu ze statusem samodzielnego pracownika naukowego nie wypada wprawdzie wypowiadać się tak, jakby sam nie wiedział o czym mówi, ale dobrze jest pomijać najbardziej drażliwe kwestie w rozmowach z tymi, którym zawdzięcza swój akademicki awans. Jest to już jednak „wyższa szkoła jazdy”, nazywana dyplomacją bądź po prostu dobrym wychowaniem.

Czy cierpi na tym nauka? Niekoniecznie. Można przecież wybrać ścieżkę badawczą, która nie będzie kolidowała z zakresem działań przełożonych. Można w końcu poszukać nowego miejsca pracy, w którym znajdą się uczeni podzielający nasze poglądy lub przynajmniej reprezentujące podobny poziom naukowych kompetencji. Ten drugi wariant jest wybierany przez najambitniejszych. Rzecz jasna, w każdym przypadku taka migracja jest obciążona ryzykiem, że trafi się na kogoś, kto jest dobrych relacjach z naszymi poprzednikami przełożonymi i w ramach świadczenia koleżeńskich usług mocno da się we znaki „wędrowniczkom”. Zawód uczonego należy jednak do tych, którzy „sielsko i anielsko” wyglądają jedynie dla słabo zorientowanych, a stosunkowo łatwo jest im kogoś „uśmiercić” jedną negatywną opinią.

Rozmowa z prof. Ewelina Knapką z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, laureatką Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej 2025 w obszarze nauk o życiu i o Ziemi za odkrycie neuronalnych mechanizmów wewnątrzgatunkowego i międzygatunkowego przekazywania emocji

Czy szczury się zakochują?

Z jednej strony widzimy coraz więcej problemów emocjonalnych związanych ze zmianami społecznymi. Z drugiej pojawia się potrzeba zrozumienia mechanizmów takich jak zarażanie emocjami, uczenie się od innych czy wpływ grupy na nasze zachowania. Jest to szczególnie ważne dziś, gdy media społecznościowe mają ogromny wpływ na codzienne życie.

Strach jest jakąś szczególną emocją pośród innych?

Jest ważny z punktu widzenia przystosowania i dlatego budzi moje naukowe zainteresowanie. Przez pewien czas zajmowałam się warunkowaniem i wygaszaniem reakcji strachu, ale nie w kontekście społecznym, lecz modelowania terapii np. w PTSD (post-traumatic stress disorder, zespół stresu pourazowego – dop. MK). Natomiast w aspekcie czysto praktycznym reakcja strachu jest bardzo silna, żywiołowa, łatwo ją zaobserwować. A w związku z tym bada się ją też łatwiej niż emocje pozytywne, jak radość, które są bardziej złożone.

W tym celu stworzyła pani nawet „mysie miasto”.

Myszy są dla nas modelem doświadczalnym, na podstawie którego chcemy zrozumieć, jak działa ich mózg w kontekście przekazywania informacji społecznych, procesów koordynowania interakcji społecznych. Żeby to zrobić w wiarygodny, powtarzalny sposób, zwierzęta muszą być niezestresowane i zachowywać się naturalnie. Myszy, kiedy się stresują, nie są zainteresowane innym osobnikami, uciekają. Trzeba im więc stworzyć odpowiednie warunki. I stąd pomysł na Eco-HAB, który odzwierciedla to, jak żyją w naturalnym otoczeniu.

System oparty jest na antenach RFID, które zbierają dane z chipów. Dzięki temu śledzimy wszystkie ruchy zwierząt: gdzie się znajdują, którędy się przemieszczają. Obserwujemy też, jak się ścigają – mysz, która ściga drugą, wykazuje oznaki dominacji – dzięki czemu potrafimy odtworzyć ich strukturę „społeczną”. Dodatkowo nagrywamy to kamerą, co umożliwia analizę bardziej specyficznych zachowań, np. interakcji między myszami. Na filmie „nakładamy” wirtualne kropki, a sieci neuronowe rozpoznają dzięki temu różne części ciała myszy. Patrzymy później, jak te kropki z dwóch myszy układają się wobec siebie i w ten sposób możemy zidentyfikować określone zachowanie.

Co w tych obserwacjach było dla pani najbardziej zaskakujące?

Pierwszym zaskoczeniem było to, jak silna jest reakcja na emocje drugiego osobnika. Jej natężenie jest podobne zarówno w przypadku obserwatora danej sytuacji, jak i osobnika bez-

pośrednio ją przeżywającego. Nie dość, że u obu aktywowane są te same struktury, to i równie silnie.

Zaskoczyło mnie też to, że ta informacja jest specyficzna. Kiedy zaczynaliśmy badania, przypuszczaliśmy, że szczur, mysz czy człowiek w sytuacji pobudzenia jest bardziej uważny na to, co się dzieje wokół, ale że nie jest to aż tak specyficzne. Tymczasem, gdy zaczęliśmy przyglądać się bliżej, jak pobudzenie emocjonalne wpływa na uczenie się, w jaki sposób zwierzęta są potem w stanie wykorzystać te rozpoznane już bodźce, kiedy przebywają w nowym środowisku, uświadomiliśmy sobie, że to bardzo specyficzna informacja.

Czyli?

Na przykład szczur przez kontakt z innym, pobudzonym, osobnikiem jest w stanie „powiedzieć” na podstawie stanu emocjonalnego tego drugiego o tym, jaka odległość dzieli go od nadchodzącego zagrożenia. To bardzo precyzyjna informacja, która podpowiada, jak ma się zachować: czy schować się i przeczekać, bo zagrożenie jest stosunkowo bliskie, czy też nie musi się spieszyć, bo niebezpieczeństwo jest odległe.

Za badania pokazujące, jak nasz mózg rozumie i reaguje na emocje, otrzymała pani Nagrodę FNP.

Zostałam nagrodzona konkretnie za serię prac, które są związane przede wszystkim ze społeczną percepcją strachu i wykorzystywaniem wiedzy uzyskiwanej przez zwierzęta dzięki kontaktom z innymi osobnikami, które się boją i są pobudzone negatywnie. Natomiast rozpoczęliśmy już cykl badań, który ma na celu przyjrzenie się emocjom pozytywnym. Wyniki nie są jeszcze opublikowane, ale już wiemy, że mózg też bardzo silnie reaguje na emocje pozytywne, wykorzystuje je, żeby przystosować się do środowiska – zlokalizować źródło pozytywnych emocji. Wywołujemy je, podając myszom słodką wodę. Gryzonie bardzo ją lubią.

Czy mechanizmy uruchamiające w nas różne emocje są inne dla każdej z nich? Nie ma punktu wspólnego?

Musi być coś specyficznego dla każdej, bo inaczej mózg by ich nie odróżniał. Ale oczywiście, są elementy wspólne dla wszystkich. Na przykład część fizjologiczna odpowiedzi, pobu-



Fot. Paweł Kula

dzenie. Bardzo często zarówno negatywne, jak i pozytywne emocje wywołują u nas choćby wzmożenie rytmu serca. To czysta fizjologia. Samo to nie różnicuje jeszcze stanów emocjonalnych, patrząc tylko na przyspieszone tętno nie potrafilibyśmy powiedzieć, z jaką emocją mamy do czynienia. Do głosu muszą zatem dojść mechanizmy różnicujące. Mówi się o walencji, która wprost odnosi się do wartości emocji, ale to nadal jest zgrubne, bo określa tylko, czy jest ona negatywna, czy pozytywna, ale nie mówi, jaka to konkretnie emocja.

Gdy myślimy o emocjach w kontekście tego, jak ludzie je przeżywają, dochodzi jeszcze element subiektywny. Dzięki korze mózgowej przetwarzamy, klasyfikujemy emocje, ale też nadajemy im osobisty kontekst. Ten subiektywny aspekt jesteśmy w stanie wychwycić tylko u ludzi, bo kiedy ich o to pytamy, mogą zwerbalizować swoje emocje, mówiąc na przykład, że się zakochali. Ale czy szczury się zakochują?

Skoro emocje w nas tkwią od urodzenia, inaczej niż np. kompetencje, umiejętności, to czy podobnie jak tamtych musimy się ich uczyć?

To bardzo dobre pytanie. Część tego wyposażenia w mózgu jest wrodzona, biologiczna i nie musimy się go uczyć. Już nowo narodzone dzieci reagują, pozytywnie albo negatywnie, w zależności, czy są nakarmione, czy jest im zimno. To proste, fizjologiczne reakcje, jak płacz, który sygnalizuje z reguły jakiś dyskomfort. Natomiast w trakcie życia uczymy się bardziej złożonych stanów emocjonalnych oraz kojarzenia różnych sytuacji z naszymi fizjologicznymi odpowiedziami, stanami emocjonalnymi.

A co z uczeniem się emocji innych ludzi?

Znana jest hipoteza neuronów lustrzanych, która mówi, że rozpoznajemy emocje innych w ten sposób, że te same

neurony są pobudzone wtedy, kiedy przeżywamy jakąś emocję i kiedy inna osoba jej doświadcza, przy czym hipoteza ta jest słabo potwierdzona. Wiadomo, że istnieją neurony lustrzane, lecz zostały opisane przede wszystkim w kontekście naśladowania zachowań. Ten sam neuron się włącza, kiedy wykonujemy jakiś ruch, jak i wtedy, kiedy obserwujemy ten ruch. Natomiast w kontekście emocji nie zbadano tego dokładnie. Pewne jest, że te same obszary mózgu są aktywowane, kiedy przeżywamy emocje i kiedy je obserwujemy, ale nie ma dowodów na to, że odpowiadają za to fizycznie te same komórki.

Jak to jest u zwierząt?

Próbujemy zbadać ten problem u szczurów i na bazie dotychczasowych doświadczeń wydaje się, że są to jednak różne populacje neuronów. Wskazywać to może, że nie są to neurony lustrzane. Wyniki sugerują także, że to raczej wyuczone zachowanie, tzn. zwierzę musiało się nauczyć, co oznacza reakcja emocjonalna innego osobnika.

Z jednej strony w te mechanizmy emocjonalne jesteśmy uzbrojeni od urodzenia – to biologiczna część naszej natury. Z drugiej dochodzi jeszcze kontekst społeczny, który też warunkuje naszą emocjonalność. Na przykład może ją tłumić. Czy może być on na tyle silny, że zmieni także biologiczne podłoże emocji? Myślę tu konkretnie o wstydzie, który – przepraszam za nienaukową obserwację – jeśli nawet współcześnie nie zanika, to wydaje się, że nie jest tym, czym kiedyś.

Badamy zwierzęta w uproszczonych modelach, bo chcemy rozumieć to, co robimy jako ludzie. Strach jest dość silną emocją, która na pewno nie zanika. Natomiast jeżeli bodziec,

który zwierzę kojarzy z czymś niebezpiecznym, nie będzie mu za kolejnym razem przynosił żadnych ujemnych skutków, to ta reakcja zostaje osłabiona. Zwierzę się uczy, że konkretna rzecz nie stanowi zagrożenia. To właśnie wygaszanie reakcji strachu, które jest już dobrze poznanym mechanizmem.

Natomiast myślę, że to, o co pan pyta, ma związek raczej z wpływem społecznym. Wstydu u zwierząt nie zbadamy, ale kiedy myślimy o takich emocjach – które, jak może się nam wydawać, „zanikają” – to jest to przykład tego, co subiektywnie generuje nasza kora mózgowa. To znaczy, że do jakichś zachowań przypisujemy kulturowo czy społecznie jakąś wartość. Wstydzimy się czegoś, co jest nieakceptowane społecznie. W różnych kulturach, w różnych środowiskach, ale też w różnych okresach życia mogą to być inne zachowania. U nastolatków są inne niż w grupie dorosłych. I tak samo w dzisiejszych czasach dopuszczalne są zachowania, które jeszcze pół wieku temu byłyby wstydlive. Może wywołać to w nas wrażenie, że wstyd zanika. Ale na poziomie biologicznym na pewno nadal jest.

Na ile badania pani zespołu przybliżają nas do poznania tajemnic mózgu?

Bez wątpienia dokładamy się do wiedzy, jak działa mózg. Niektóre zagadnienia, jak choćby siłę reakcji na emocje innych czy w jaki sposób zwierzęta wykorzystują te informacje, żeby przystosować się do środowiska, badaliśmy pierwsi. Natomiast trzeba mieć świadomość tego, że nie jesteśmy jedynym zespołem, który nad tym pracuje. Dużo moich badań związanych z ludzkim mózgiem jest efektem współpracy.

Gdy zaczynałam, to pole badawcze praktycznie nie istniało. Praca o przekazywaniu strachu szczurów była jedną z pierwszych. Dziś to już bardzo eksploatowany obszar, ale mnie to cieszy. Przez ostatnich dwadzieścia lat naprawdę sporo się dowiedzieliśmy np. o różnych zachowaniach pomocowych u zwierząt, o tym jak mózg kontroluje takie zachowania itp.

Z czym wiąże pani wzrost popularności tej tematyki?

Z pewnością jest to temat na czasie. Z jednej strony widzimy coraz więcej problemów emocjonalnych związanych ze zmianami społecznymi. Z drugiej strony pojawia się potrzeba zrozumienia, jak działają mechanizmy takie jak zarażanie emocjami, uczenie się od innych czy wpływ grupy na nasze zachowania. Jest to szczególnie ważne dziś, gdy media społecznościowe mają ogromny wpływ na nasze codzienne życie.

Można powiedzieć, że była pani pionierką w tym obszarze.

Trochę tak, nie ukrywam, ale myślę, że znaczenie tych badań rośnie dopiero z czasem. Im więcej wiemy, im bardziej rozwijamy to pole badawcze, tym bardziej rozumiemy, jakie może mieć to znaczenie. Natomiast początek zawsze jest związany z ciekawością badawczą...

Ale w przypadku całkiem nowej tematyki również z ryzykiem.

Rzeczywiście, kiedy zaczynałam, to był projekt dużego ryzyka. Dlatego bardzo pomógł mi grant ERC (Starting Grant w 2016 roku – przyp. MK), który pozwala rozwinąć skrzydła, uwzględniając to wysokie ryzyko. Wiedzałam, że nawet jeżeli coś się nie uda, to nie będzie dramatu. Ten grant był bardzo ważny, pozwolił mi zacząć badania, o których marzyłam od czasu doktoratu, tzn. nad zachowaniami społecznymi i transferem emocji. I zapewnił odpowiednie finansowanie, więc w tym sensie był to absolutnie game changer.

Czy jest pani w grupie osób, które uważają, że powinniśmy pozyskiwać więcej tych grantów, czy nie ma to znaczenia dla jakości uprawianej nad Wisłą nauki?

Nie jest tak, że każdy, kto dostanie grant ERC, dokona czegoś przełomowego. Byłam w panelach, które oceniają takie granty, więc widzę to też z drugiej strony. Nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Ryzyko jest wpisane w ideę grantu ERC, który ma finansować ambitne, przełomowe badania, ale jednocześnie muszą mieć one w sobie potencjał wykonalności. Dla mnie istotne jest, że spora część grantów przynosi mniejsze albo większe, ale jednak przełomy. Z tego punktu widzenia uważam więc, że warto się starać. Jak zwiększyć nasz udział? Obserwuję, jak działa system wspierania grantów w Czechach czy Portugalii. Na etapie pomysłu badawczego tworzy się grupa wsparcia złożona z innych naukowców, którzy dyskutują z autorem, w ten sposób udoskonalając propozycję. Później wsparcie oferowane jest na kolejnych etapach. Ostatnie rozdania grantów ERC pokazują, że to działa. Może trzeba wziąć przykład z innych, którym się udaje?

W 2018 roku, wspólnie z prof. Leszkiem Kaczmarkiem, założyła pani centrum badawcze BRAINCITY. Jak spogląda pani na ten 7-letni okres z dzisiejszej perspektywy?

Podstawowy cel MAB-ów (Międzynarodowe Agendy Badawcze, program, w ramach którego powstało BRAINCITY – dop. MK) to budowanie doskonałości naukowej, która wiąże się między innymi z przyciąganiem ludzi. Do tego trzeba stworzyć odpowiednie warunki, zarówno finansowe, jak i administracyjne. Kiedy przyjeżdża ktoś z zagranicy, musi dostać wsparcie w radzeniu sobie z nową rzeczywistością. Przez lata było bardzo trudno przyciągnąć do Polski kogokolwiek, w szczególności postdoków. To się zmieniło. Mam w tej chwili zespół liczący 25 osób i połowa z nich przyjechała z zagranicy. Zależy nam na tym, żeby mieć postdoków, bo oni przeszli już etap doktoratu, chcą pozostać w nauce, inwestować w siebie, dalej się rozwijać. Ponieważ mają określone umiejętności, wiedzę, jesteśmy w stanie realizować z nimi dużo bardziej zaawansowane projekty.

Myślę, że ta zmiana mentalności nastąpiła również dzięki MAB-om, które wprowadzają takie myślenie. To jednostki zarządzane w nowoczesny sposób, z komitetem doradczym, który podpowiada, jak organizować część naukową, administracyjną, jak przyciągać nowych liderów wykształconych w renomowanych ośrodkach...

Uważa pani, że tego typu ośrodki doskonałości – podobną rolę pełnią też Centra Dioscuri – z wysokim finansowaniem przyznawanym na dłuższy okres, to jest kierunek, który powinno się nadać polskiej nauce?

Tak, myślę, że to kwestia zbudowania pewnej masy krytycznej. Różne systemy ewaluacji i ich porażki pokazują, że trudno coś zmienić od wewnątrz. Natomiast wiele działań jest motywowanych społecznie. Są rzeczy, które wypada i których nie wypada robić. Nasze ambicje wynikają z tego, jak zachowują się ludzie wokół nas. Jeżeli ich celem jest nauka atrakcyjna na arenie międzynarodowej, a nie tylko w Polsce, jeżeli są bardziej otwarci na świat, jeżeli współpracują z wybitnymi naukowcami z zagranicy, to ciągną do góry całe środowisko. Kiedy osiągniemy już tę masę krytyczną, łatwiej będzie przyciągać kolejnych ambitnych badaczy i budować doskonałość naukową. Myślę więc, że to dobra droga, bo nieuchronnie musimy zacząć iść w stronę poprawy jakości naukowej.

Ale jest jeszcze coś – budowanie środowiska naukowego, które jest zainteresowane rozwojem określonej dziedziny. Nasze centrum skupia się na plastyczności neuronalnej. Dużo pomy-

słów rodzi się z rozmów na korytarzu. Stworzenie takiej grupy, w której obok siebie pracują ludzie zaangażowani, świetni naukowo, tworzy wartość dodaną.

Jakiś czas temu prof. Maciej Żylicz, były prezes FNP, wspominał na naszych łamach, że zbyt wysokie budżety takich centrów nie wytrzymały konfrontacji z polskimi przepisami odnośnie do zamówień publicznych.

Sądzę, że problemem nie jest wielkość budżetu, ale niedopasowanie rozwiązań prawnych do potrzeb naukowych. Wymaga to zmian ustawowych, bo nie może być tak, że gdy kupujemy sprzęt do laboratorium, obowiązują nas te same procedury, co przy budowie autostrad. To kuriozum i nauka w tym względzie musi być traktowana inaczej.

Natomiast istotna dla działania takich centrów jest stabilność finansowania. Po pięciu latach nie dało się odnowić tego projektu z tego samego źródła (w Centrach Dioscuri jest taka jednokrotna możliwość, o czym pisali niedawno na naszej stronie internetowej dr hab. Aleksandra Pękowska i dr hab. Grzegorz Sumara – przyp. MK). Musieliśmy ponownie aplikować i dostaliśmy środki, ale już z programu FENG, który ma charakter wdrożeniowy. To zmusiło nas do zmiany oryginalnych planów. Systemowo wygląda to więc tak, że inwestujemy bardzo duże pieniądze w powstanie danego centrum, ale potem nie bardzo mamy pomysły, jak je utrzymać. Nie wydaje się to dobrą strategią, dlatego że budowanie takiego ośrodka zajmuje lata. A przecież tworzenie grupy, badania to nie jest kwestia miesiąca czy dwóch. Brak pomysłu na przedłużenie finansowania – oczywiście na warunkach konkursowych – jest sporym problemem.

Ma pani już dość pytań o zastosowanie swoich badań?

Nie, to są zasadne pytania. Warto myśleć o tym, jakie zastosowanie mogą mieć moje wyniki. Jeżeli pojawiają się jakieś pomysły na ich bazie, to wręcz trzeba je wdrażać w życie. Jak już wspomniałam, teraz w MAB-ie skupiamy się na wykorzystaniu wyników naszych wcześniejszych badań podstawowych. Jednocześnie podkreślam, i mówiłam o tym także na gali na Zamku Królewskim, że nie można wylewać dziecka z kąpielą. Nie będziemy już robić badań podstawowych, bo ze społecznego punktu widzenia ważne są badania stosowane – to tak nie działa.

Cała historia nauki pokazuje, że rozwój czy aplikacje biorą się z badań podstawowych. Tyle że, gdy je zaczynamy, nigdy nie wiemy dokąd dojdziemy. Nikt nie zaczyna projektu z zamiarem odkrycia leku na Alzheimera. Byłoby to naiwne. Dlatego jestem bardzo przeciwna mówieniu, że teraz będziemy inwestować w badania stosowane. Musi być cała ścieżka: najpierw badania podstawowe, później doprowadzenie do stanu, żeby było to atrakcyjne dla biznesu, przemysłu, a na końcu wdrożenie. Trzeba myśleć o całości maratonu – jak rozłożyć siły, jak gospodarować środkami – a nie tylko o końcowym odcinku. Inaczej będą to pieniądze wyrzucone w błoto.

Dlaczego badania podstawowe mają w ostatnim czasie tak złą prasę?

Na pewno wszyscy chcieliby mieć szybko namacalne wyniki w postaci np. wynalazków. Nauka podstawowa nie jest od tego, ona tworzy podłoże, z którego te wynalazki mogą wyrosnąć. Nagroda jest tu więc odroczone.

Odpowiedzialność leży też po stronie nas, naukowców. Czuję się w obowiązku tłumaczyć, dlaczego zajmuję się nauką. Obserwatorowi z zewnątrz może się wydawać, że to rodzaj hobby. Tymczasem, nie robię tego tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak zachowuje się mysz. To jest pewien model, dzięki któremu chcę zrozumieć, jak działa mózg, nasz mózg, ludzki.

I choć wymaga to bardzo zaawansowanej wiedzy i umiejętności, powinniśmy umieć wytłumaczyć to podatnikowi, który płaci za nasze badania.

Pani kariera wygląda na zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach. Ukończyła pani dwa kierunki, biologię i psychologię, na Uniwersytecie Warszawskim, później związała się pani z Instytutem Nenckiego, którego profil idealnie wpisuje się w te dyscypliny, a do tego zajmuje się pani biologią emocji.

To nie do końca jest przypadek, ale też nie było to aż tak zaplanowane, jak wygląda (śmiech). Dostyc wcześniej zainteresowałam się mózgiem. W liceum myślałam o tym, żeby zostać lekarzem. Kiedy trafiłam pod skrzydła Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, uczestnicząc w różnego rodzaju warsztatach uświadomiłam sobie, że właśnie to mnie najbardziej ciekawi. Poszłam na studia na MISMaP UW (Międzywydziałowe Indywidualne Studia Matematyczno-Przyrodnicze – dop. MK), gdzie łatwiej było połączyć dwa kierunki, a to połączenie wynikało właśnie z zainteresowania mózgiem. Moją motywacją było zdobycie wiedzy, która pozwoli prowadzić badania w tym zakresie. Szukając miejsca na doktorat, trafiłam do Nenckiego, co z uwagi na profil tej placówki było dość naturalnym wyborem. Po dwóch stażach zagranicznych, na Uniwersytecie w Zurychu u prof. Hansa-Petera Lippa oraz na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor u prof. Stephana Marena, wróciłam do Nenckiego. To były moje wybory, ale nie zawsze wszystko da się tak zaplanować. Myślę, że warto mieć ogólnie wyznaczoną ścieżkę, którą się chce podążać i nie wahać się korzystać z okazji pojawiających się po drodze.

Czy w którymś momencie myślała pani o wyjeździe z Polski na stałe?

Tak. Laboratorium ma zapewnione finansowanie, nigdy jakoś dramatycznie nie brakowało nam funduszy, ale ostatnie lata, mówię tu m.in. o zamrożeniu budżetu Narodowego Centrum Nauki, były bardzo niesprzyjające. Trudno kogokolwiek zapraszać do zespołu, kiedy nie wiadomo, co będzie się działo za chwilę. I wówczas rzeczywiście zaczęłam na poważnie myśleć o szukaniu innego miejsca. Natomiast sytuacja się zmieniła na tyle, że ostatecznie zdecydowałam się jednak pozostać.

Stoi pani na czele zespołu badawczego. Czy w ludziach, których pani zrekrutowała, dostrzega jeszcze tę Ewelinę Knapkę, która robiła doktorat w Nenckim? Jest w nich pasja, zaangażowanie, chęć, jak pani, dokonywać przełomów w nauce?

Jest sporo młodych ludzi, którzy chcą robić naukę, którzy są zainteresowani, jednym słowem: dla których nauka jest ważną częścią życia. Przyjemnie się z nimi pracuje, staram się takich wybierać, bo i dla mnie wówczas komfort pracy jest większy, a i efektywność zdecydowanie lepsza.

W ciągu ostatnich 20 lat bardzo podniósł się stopień zaawansowania technologicznego. Oczekuje się w związku z tym, że projekty realizowane będą wieloma technikami. Dla doktoranta, który dopiero zaczyna, może to być bardzo trudne. Techniki są skomplikowane, trzeba się ich nauczyć, potrzebna jest interakcja z ludźmi. Nie da się dziś wykonać projektu jednoosobowo. Staram się więc tak zorganizować zespół, żeby ludzie ze sobą współpracowali, chcieli sobie pomagać. Uważam, że powinniśmy bardziej doceniać nie tylko liderów, lecz także członków zespołów – ludzi wykonujących pracę kluczową dla ostatecznego sukcesu.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Ewa Hoffmann-Piotrowska

Przeczytać Mickiewicza raz jeszcze...

Upominam się o Mickiewicza „jasnoromantycznego”, którego bohaterowie odsłaniają tęsknotę do uporządkowanego istnienia, któremu można by nadać sens. Zależało mi, by pokazać, że egzystencjalne pomysły Mickiewicza mają jak najbardziej praktyczny wymiar, oparty na wartości wspólnot, postaw koncyliańskich, akcentowaniu potrzeby międzyludzkiego dialogu.

Gdy spojrzymy na romantyzm jako projekt egzystencjalny, uświadomimy sobie, że to romantycy jako pierwsi zdefiniowali tak wyraźnie rozpad współczesnej im (i poniekąd nam) kultury, diagnozując kłopoty z istnieniem człowieka wrzuconego w świat „bez wiar i nadziei”. Poeci pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, co późniejszym czytelnikom wydawało się szczególnie atrakcyjne, szybko zrozumieli problemy, jakie zrodziły

znaczące przemiany cywilizacyjne przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Reagując na nie, nie tylko postanowili pokazać współczesnego im człowieka w kryzysie rodzącej się nowoczesności, ale odważnie weszli w dyskusję z mechanizmami rządzącymi człowiekiem coraz bardziej alienującym się wobec świata. Stawali się przy tym częstokroć sędziami swoich czasów i postaw reprezentowanych przez literackich bohaterów.



Julien Bernard Romain, *Portret Adama Mickiewicza* Źródło: dzieje.pl za: BN Polona



Caspar David Friedrich, *Duży rezerwat w pobliżu Drezna*, olej na płótnie, niedatowany

Wytykając im egotyzm, melancholię, nadmierny izolacjonizm, promowali przy okazji w mniej lub bardziej zawołany sposób programy uzdrowienia człowieka, który w starciu z coraz mniej przyjazną rzeczywistością ulegał załamaniu, wykazując różne symptomy „choroby wieku”. Pokazywali jednoznacznie, że jeśli człowiek nie będzie chciał porozumieć się z sobą i społeczeństwem, doprowadzi do konfliktu z rzeczywistością, do bolesnego o tę rzeczywistość rozbicia. Natura człowieka nie jest wszak stworzona do samotności i praktyk alienacyjnych.

Wielkie romantyczne kreacje osobników pogubionych w świecie, niedostosowanych społecznie, uczuciowo niezrealizowanych, wegetujących na granicy „normalnego” życia, które znamy z lektur szkolnych, były jednak bardzo często przestrogą przed repetowaniem takich koncepcji losu w świecie realnym. Jako nieodrodni wychowankowie oświecenia romantyczni artyści byli wszak dydaktykami: opisując życiowe niedostosowania człowieka, jednocześnie szukali recept na jego kłopoty z istnieniem. Wiedzieli, że literatura powinna nie tylko opisywać destrukcję się na ich oczach świat, ale pokazywać, jak można go scalić i ocalić. Tak widziany romantyzm ukierunkował badania, które zaowocowały książką *Mickiewicz jasnoromantyczny. Światotwórcze koncepty poety* (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2025).

W poszukiwaniu postaw koncyliacyjnych

Literatura epoki, zwłaszcza twórczość Adama Mickiewicza, interesuje mnie jako projekt duchowy i egzystencjalny, zamysł poszukujący dla człowieka miejsca w trudnym modernizującym się świecie wskazującym sens jego istnienia w czasie, jak to ujmował Zygmunt Krasieński, degradujących się „wiar i nadziei”. Badania wyrastają z osobistej fascynacji romantyzmem nie jak epoką antykwareczną, lecz żywą, silnie dialogującą z naszą współczesnością i mającą nam wiele do powiedzenia. Pomysł napisania książki wyrósł zatem z potrzeby prze-

czytania tej epoki raz jeszcze, z dystansem wobec schematów recepcyjnych, choć w kontekstach historycznych, z uwzględnieniem przemian społecznych i cywilizacyjnych modernizującego się świata, na które romantyzm był odpowiedzią.

Z perspektywy dzisiejszych badań nad interesującą nas tu epoką trudno mówić o jej jednowymiarowej koncepcji. W badaniach naukowych, ale i dydaktyce szkolnej wyróżnia się nadal jednak czarnoromantyczny prąd, akcentujący w utworach romantycznych problematykę szaleństwa, immoralizmu, negatywne strony ludzkiego bytowania. W książce dialoguję z takim odczytywaniem epoki, choć jest to dialog pokorny i toczony ze świadomością ogromnego zadłużenia wobec prac poprzedników. W praktyce naukowej coraz częściej słychać dziś głosy, że była to epoka bardzo niejednorodna stylowo i prądowo, którą zatem można i trzeba czytać różnorodnie, dystansując się od narosłych przez lata interpretacyjnych schematów. I taką propozycją osobistej, „innej” lektury jest ujęcie romantyzmu w „jasnoromantycznej” perspektywie.

Literatura pierwszej połowy wieku dziewiętnastego oczywiście obrazuje nieustannie człowieka zdeintegrowanego, skłóconego ze światem, Bogiem, samym sobą, w czym zbliża się do kłopotów z istnieniem współczesnego człowieka. Ale autorom prezentującym takich bohaterów bardzo często przyświecał cel dydaktyczny: chcieli przestrzec czytelnika przed takimi postawami i szukać dróg przekroczenia rozmaitych egzystencjalnych trudności. W swoich badaniach dopominam się zatem o dopełniające dotychczasowe perspektywy widzenie epoki. W twórczości romantyków, obok figur kontestacji rzeczywistości, widzę też pragnienie budowania konstruktywnych modeli egzystencjalnych, szukania postaw koncyliacyjnych w tworzeniu relacji z samym sobą i otaczającym światem. Ciekawi mnie też bardzo, dlaczego taka heroiczna i pozytywna koncepcja romantycznego podmiotu przebija się z takim trudem. Dlaczego uproszciliśmy i zredukowaliśmy romantyzm do epoki buntu, gestów negacji,

opisów koszmaru egzystencji i duchowych niemocy?

Między tytanimizmem a psychologicznym realizmem

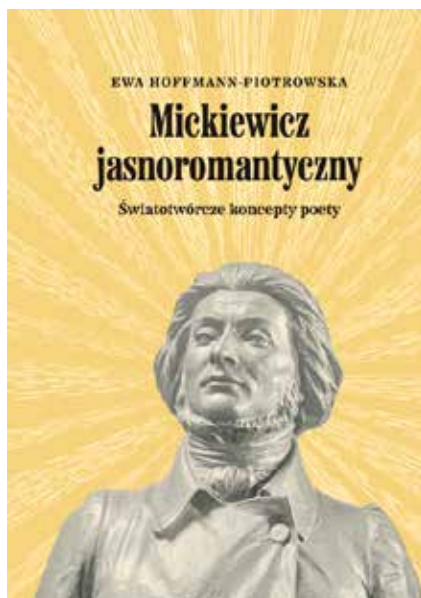
Szczególnym patronem janoromantycznego nurtu w literaturze omawianych czasów czynię w moich badaniach Adama Mickiewicza. Wiązałabym ten fenomen z silnie obecną w jego twórczości wiarą w człowieka, w zdolności jednostki do przekraczania własnych ograniczeń, w możliwości porozumienia bohatera ze wspólnotą, w szansę odnalezienia racji dla ludzkiego bytowania. Wreszcie z ideą podmiotu rzucającego rękawicę rodzącym się w porewolucyjnym, ponapoleońskim i porozbiorowym świecie postawom nihilistycznym, alienacyjnym, deprawującym ludzką kondycję. Pociąga mnie przy tym niełatwy heroizm Mickiewiczowskich propozycji moralnych, oscylujący między tytanimizmem a psychologicznym realizmem. Jasnoromantyczne projekty nie są wszak konceptami pogodnymi i łatwymi do uznania, choć – mimo to – dają człowiekowi nadzieję. Szukam tych projektów, rozczytując na nowo dobrze znane utwory poety: *Dziady*, *Pana Tadeusza*, *Zdania i uwagi*, wybrane wiersze z różnych okresów twórczości poety. Próba odczytywania kanonicznych dzieł nigdy nie jest oczywiście rzeczą łatwą. Niesie ryzyko powtórzeń. Ale miarą arcydzieł jest ich interpretacyjna „niewyczerpalność”, co staram się wykorzystać, odczytując działalność autora liryków lozańskich jako wielki i nadal żywy intelektualnie projekt duchowy.

Upominam się zatem o Mickiewicza „jasnoromantycznego”, którego bohaterowie odsłaniają tęsknotę do uporządkowanego istnienia, któremu można by nadać sens. Zależało mi także, by pokazać, że egzystencjalne pomysły Mickiewicza mają jak najbardziej praktyczny wymiar, oparty na wartości wspólnot, postaw koncyliarnych, akcentowaniu potrzeby międzyludzkiego dialogu.

Szukam patronów ideowych konceptów antropologicznych poety w jego lekturach i fascynacjach ideowych. W tym kontekście przedmiotem rozważań stają się autorzy i teksty rzadziej eksplorowane w pracach poświęconych Mickiewiczowi, a którzy w sposób znaczący wpłynęli na jego światotwórcze koncepty: święty Augustyn i jego *Wyznania*, św. Paweł – jego biografia i listy, dzieło *De imitatione Christi* średniowiecznego mnicha z Kempis czy wreszcie fałszywy mistyk Pierre-Michel Vintras, który w latach czterdziestych zafascynował autora *Dziadów*. Starałam się podążać tropem fascynacji lekturowych poety, odtwarzając – na ile to możliwe – tryb tego czytania i przyczyny zainteresowania konkretnym autorem. Poza dziełami literackimi sięgam także do korespondencji poety – przyglądam się np. listowaniu Mickiewicza z Konstancją Łubieńską; poeta po latach odnowił znajomość, stając się dla niej duchowym przewodnikiem. W swoich rozważaniach nie stronię więc także od nawiązań do biografii Mickiewicza, jako podstawowego kontekstu, traktując ją nade wszystko jako dzieje myśli, zabiegania o prawdę i miejsce człowieka w nowoczesnej Europie, zaś twórczość Mickiewicza jako nieustanne zmaganie się z tym, jak wyrazić własne idee, myśli, własnego ducha.

Tęsknota do porządku istnienia

Zaproponowane konteksty zapełniają, jak się wydaje, lukę w badaniach nad doświadczeniem duchowym romantycznych



twórców. Sfera ta jest bez wątpienia wyróżnikiem zarówno polskiego, jak i europejskiego romantyzmu. Twórcy epoki odkrywali w doznaniach i tradycjach religijnych, jak trafnie formułuje rzecz Edward Kasperski, „pogłębiane widzenie człowieka”, odnajdując inspirację dla interpretacji rzeczywistości społecznej, historycznej, wreszcie artystycznej. To właśnie ich przekonania duchowe, wywodzące się z interesującego, acz często swobodnie i autoutożsamiająco interpretowanych tradycji kultury chrześcijańskich, stanowiły punkt wyjścia koncepcji egzystencjalnych, prognoz historiozoficznych, projektów socjalnych romantyków. Wnioski z twórczej przez nich literatury prowadziły jednak większość badaczy i czytelników do przekonania o konfrontacyjnym charakterze relacji między romantycznym podmiotem a Stwórcą i światem,

którego wyrazem były prezentowane w tekstach epoki postawy agoniczne, buntownicze, alienacyjne. Tymczasem romantycy tęsknili do porządku istnienia, tak w wymiarze przyrodzonym, jak i transcendentnym. Kontekstem do rozważań o Mickiewiczowskim romantyzmie czynię powieści *Spowiedź dziecięcia wieku* Alfreda de Musseta i *René* François de Chateaubrianda doświetlone jego *Pamiętnikami z za grobu*. Dostrzegam wszak wiele zbieżności w opiniach francuskich i polskich autorów na temat kondycji współczesnego im świata i człowieka. Także w próbach szukania remediów na człowiecze bóleczki wobec rodzącej się nowoczesności. Wspomnianych autorów łączy myśl przewodnia zgodna z przywoływaną wielokrotnie w niej wykładnią Richarda Tarnasa, który przyznawał, że właśnie „poszukiwanie jednoczącego porządku i sensu pozostało niezbywalną istotą romantyzmu”.

Proponuję zatem czytanie omawianej epoki jako koherentnego, afirmatywnego projektu, którego twórcy szukają szczęścia i do szczęścia dążą poprzez odkrywanie ładu świata. Tak pojmowany romantyzm to spójny intelektualnie projekt, a jego twórcy to także mialiści nie tylko umiejętnie rozpoznający zagrożenia świata, dryfującego w kierunku zmaterializowania i odmetafizycznienia, ale wskazujący remedia na rozmaite choroby wieku.

Co ciekawe, autorzy omawianego czasu – a zwłaszcza pierwszoplanowy bohater mojej książki – bliscy byli w tych poszukiwaniach refleksjom psychologii egzystencjalnej Viktora Frankla, którego prace patronowały wielu fragmentom monografii. Twórczość tego autora była mi bardzo pomocna w formułowaniu jasnoromantycznego projektu zarówno Mickiewicza, jak i pomniejszych bohaterów tej książki.

Na prawach odautorskiego komentarza chciałabym podkreślić, że ujęte w książce rozważania są pokłosiem mojego prywatnego układania się z romantyzmem. Zawsze bliższe były mi projekty kultury akcentujące wymiar jej ciągłości, kontynuacji i dialogu z tradycją niż podkreślające agoniczny tryb rozwoju ludzkich wspólnot. Dlatego w szczególnie bliskiej mi epoce szukam projektów godzenia podmiotu z sobą samym, z rzeczywistością, znaków pozytywnego dialogu z tradycją, uznając oczywiście, że postawy różnie rozumianego buntu i dystansu wobec świata są istotnym składnikiem romantycznego przeżywania rzeczywistości, jednak nie jedyne.

Dr hab. Ewa Hoffmann-Piotrowska, prof. UW, Instytut Literatury Polskiej,
Wydział Polonistyki, Uniwersytet Warszawski

Stanisław Ferdynand Serkowski (1871–1936)

Wybitny bakteriolog i pomysłodawca nowatorskich inicjatyw społecznych

Wybitny uczony w dziedzinie bakteriologii i higieny, absolwent Wydziału Medycznego Uniwersytetu Charkowskiego, dydaktyk na Uniwersytecie Warszawskim, pomysłodawca nowatorskich projektów na rzecz rozwoju ochrony zdrowia społecznego w okresie zaborów oraz w międzywojennej Polsce.

Stanisław Ferdynand Serkowski urodził się 7 listopada (26 października) 1871 r. w Warszawie w rodzinie właściciela pierwszej w Polsce fabryki lamp i wyrobów brązowych Jana i Ludgardy Serkowskich. Ród Serkowskich pieczętował się znany z przełomu XIV–XV w. herbem szlacheckim Lubicz.

Ustalenie dokładnego miejsca uzyskania wykształcenia średniego i początków studiów na uczelni to ciekawa karta życia Stanisława Serkowskiego i niełatwe zadanie dla badaczy. Według jednych danych, opartych na wspomnieniach rodzinnych jego wnuczki Ewy Wiercińskiej-Smołki, wykształcenie średnie uzyskał w Collegium Jezuitów w Chyrowie (obecnie miasto w Ukrainie, w obwodzie lwowskim), a następnie w Gimnazjum Lwowskim, gdzie w 1891 r. otrzymał świadectwo dojrzałości. Studia wyższe podjął na Uniwersytecie Charkowskim, bo Cesarski Uniwersytet Warszawski był uważany za narzędzie rusyfikacji i nie cieszył się popularnością wśród młodzieży polskiej.

Według innej wersji Serkowski ukończył gimnazjum w miasteczku Mariampol na Suwalszczyźnie i w roku akademickim 1892/1893 przebywał na studiach na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Świadczy o tym wykaz studentów Uniwersytetu Warszawskiego na rok akademicki 1892–1893 i Uniwersytetu Charkowskiego na rok akademicki 1896–1897, w których umieszczono jego nazwisko. 16 sierpnia 1893 r. „Serkowski Stanisław-Ferdynand Iwanowicz, dworianin, rimo-katolik, urodzony w Warszawie” jest wpisany na listę studentów Wydziału Medycznego Uniwersytetu Charkowskiego. Jako poprzednie miejsca studiów wymieniono „Mariampol. gimnazjum i Warszawsk. uniw.” (*Harkovskij Imperatorskij universitet. Spisok studentov Imperatorskogo Harkovskogo universiteta na 1896–1897 akademicheskij god, Harkov 1896*). W swoim curriculum vitae, zachowanym w zbiorach Archiwum Uniwersy-

tetu Jagiellońskiego w Krakowie, napisał, że „ukończył gimnazjum w Marjymopolu (Suwał. gub.) w roku 1891”.

Charków (1893–1899)

Charkowski okres życia dla Stanisława Serkowskiego był bardzo ważny. To czas uzyskania wykształcenia wyższego i początek owocnej działalności zawodowej oraz badawczej, publikacji pierwszych prac naukowych, a także zawarcia związku małżeńskiego i urodzenia dzieci.

W 1893 r. Serkowski przeniósł się z Warszawy do Charkowa, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Medycznym miejscowego uniwersytetu. Jednocześnie pracował społecznie w Katedrze Higieny prof. Irinarcha Skworcowa, którego można uważać za mentora naukowego młodego uczonego. Pracując pod jego kierownictwem, Stanisław Serkowski zainteresował się bakteriologią, która została też naukową pasją w późniejszym okresie życia. W 1897 r. uczestniczył w konkursie naukowym zorganizowanym przez Wydział Medyczny, a przygotowana przez niego praca *Opredelenie znaczenija dla rozpoznawanija razlicnych form mikrobow morfologiczeskago wida (strojenija) ich kolonii na twerdych sredach* została uhonorowana złotym medalem. Serkowski był wśród dziewięciu studentów z różnych wydziałów odznaczonych złotymi medalami, ale tylko jego praca została wyróżniona jako najwybitniejsza i jedyna, która była zaszczycona drukiem w wydawnictwie uczelni. Była to pierwsza publikacja naukowa przygotowana przez młodego uczonego. W następnym roku ukazała się ona w Charkowie jako pierwszy jego podręcznik (330 stron) pt. *Posobie dlja raspoznanija mikrobow, s prełożeniem diagnosticzeskich tablicy izłożeniem glawniejszych sposobow izsledowanija z przedmową prof. Skworcowa*.

W październiku 1898 r. Stanisław Serkowski otrzymał dyplom lekarza z wyróżnieniem. Na początku 1899 r. przy

Katedrze Higieny wprowadzono stanowisko nadetatowego laboranta, na którym został zatrudniony przez rok. Historyk medycyny weterynaryjnej Konrad Millak zauważył, że w czasach charkowskich młody uczyony „przeżywał żywe zainteresowanie chorobami zaraźliwymi zwierząt i wydał podręcznik epizootologii dla studentów”. Wtedy opublikował on pięć prac naukowych, m.in. podręcznik, monografię, kompendium.

Podczas pobytu w Charkowie ożenił się z Władysławą Frankowską córką miejscowego urzędnika Henryka i Lucyli Frankowskich. Mieli oni czworo dzieci: bliźnięta Stanisława (1897, zmarł jako niemowlę) i Janinę, Zofię, Marię.

Serkowski odwiedził Charków na początku 1905 r., gdy na południu Imperium Rosyjskiego istniało zagrożenie epidemią cholery. Przebywał na Uniwersytecie Charkowskim w celu dokładniejszego zbadania sposobów zapobiegania tej chorobie.

W 1899 r. w celu doskonalenia swojej wiedzy oraz prowadzenia badań w zakresie bakteriologii Serkowski przebywał w naukowych placówkach Berlina i Pragi. W swoim życiorysie uczony odnotował „następnie stale pracował przez dwa lata w instytutach bakteriologicznych za granicą i corocznie przez krótszy czas”.

Łódź (1900–1907)

W 1900 r. Stanisław Serkowski przeniósł się do Polski, gdzie wraz z rodziną zamieszkał w Łodzi. Niemal siedmioletni okres łódzki (do lipca 1907) był czasem szerokiej działalności praktyczno-naukowej, różnorodnych inicjatyw higienicznych i społecznych skierowanych na rzecz rozwoju miasta, polepszenia warunków życia ludności. Serkowsky mieszkali przy centralnej ulicy miasta Piotrkowskiej 120, gdzie we własnym mieszkaniu 15 stycznia 1901 r. uczyony otworzył laboratorium chemiczno-bakteriologiczne.

Od początku działalności „prywatne laboratorium doktora Serkowskiego” zasłynęło w Polsce i poza jej granicami jako praktykujący ośrodek naukowo-dydaktyczny, gdzie prowadzono szkolenia studentów, organizowano miesięczne kursy dla lekarzy i farmaceutów z mikroskopii i bakteriologii klinicznej. Podczas epidemii cholery 1905 r. zorganizowano w nim specjalne kursy ratunkowe na temat bakteriologicznej diagnostyki cholery i szczepień przeciwdrobnoustrojowych, a też dwutygodniowe kursy praktyczne dla farmaceutów. Serkowski prowadził też kursy praktyczne dla mleczarzy i rolników. Samodzielnie oraz ze swoimi kolegami przygotował i opublikował szereg badań naukowych. Monografia jego autorstwa dla chłopów zajmujących się produkcją mleka otrzymała nagrodę z Funduszu Z. Pileckiego.

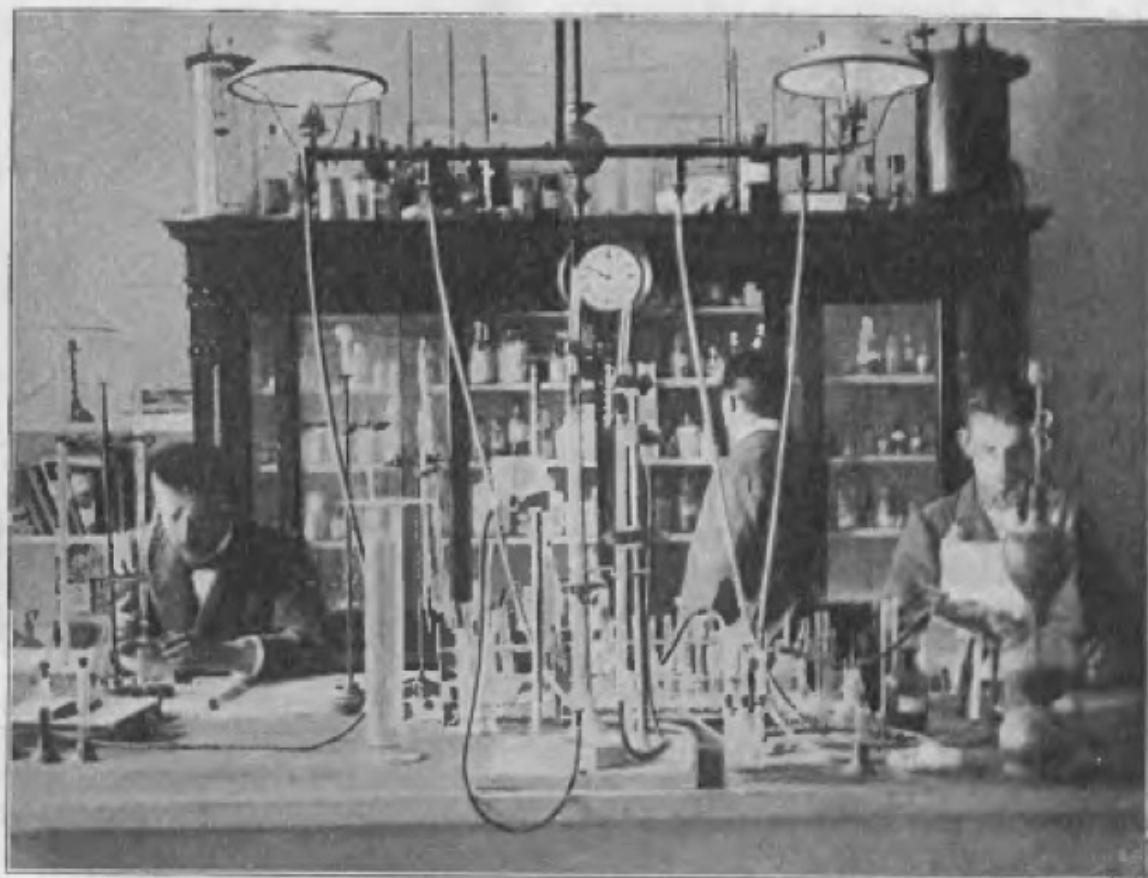
Od stycznia 1901 do lipca 1907 r. kierował mieszczącą się w tym samym budynku miejską pracownią chemiczno-bakteriologiczną. Później prowadził badania bakteriologiczne cholery, szkorbutu oraz zapalenia opon mózgowych, badał ruch chorych zakaźnych w szpitalach oraz prowadzenie ewidencji umieralności.

W latach 1903–1906 kierował działalnością Oddziału Łódzkiego Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego, występował z wieloma cennymi, wyprzedzającymi swój czas inicjatywami. W 1904 r. został pomysłodawcą założenia pierwszej w Polsce instytucji „Kropla Mleka”. Był to zupełnie nowatorski pomysł, miał być wzorcem dla innych nowo powstających ośrodków dziecięcych.

Zainicjował powołanie w ramach działalności tego towarzystwa specjalnej sekcji antyalkoholowej. Była to też pionierska inicjatywa na terenie Polski. „Tygodnik Ilustrowany” 28 lipca 1906 r. odnotował: „Inicjatywę do założenia nowej w Łodzi instytucji podał znany uczyony higienista dr. Stanisław Serkow-



Stanisław Serkowski na tle zbiorów jego muzeum w Warszawie Źródło: „Tygodnik Ilustrowany”, nr 18/1912



INSTYTUT CHEMICZNO-BAKTERIOLOGICZNY Dra SERKOWSKIEGO W ŁODZI. Sala II.

Instytut Chemiczno-bakteriologiczny dra Serkowskiego w Łodzi Źródło: Pracownia nauki d-ra St. Serkowskiego w Łodzi, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 26/1906

ski. Przewodniczącym sekcji obrano d-ra Skalskiego, ruchliwego działacza społecznego. Niebawem zainteresowanie zbudziła nowa akcja społeczna w Łodzi. [...] W Królestwie Łódź pierwsza daje publiczny początek wielkiej akcji i chcemy wierzyć – posłuży przykładem dla kraju całego”.

W 1905 r. Serkowski uczestniczył w walce z cholerą: dzięki jego uporowi w mieście zorganizowano bezpłatne szczepienie przeciw cholerze, a sam uczony rozpoczął na szeroką skalę szczepienie lekarzy i studentów przybyłych do Łodzi z różnych stron kraju. Wtedy zajął się badaniem cholery, w wyniku czego powstała praca pt. *Epidemiologia cholery i jej profilaktyka*, a w 1918 r. jej trzecie wydanie zostało uhonorowane nagrodą w konkursie imienia J. Knolla.

W latach 1900–1902 i w 1906 r. Serkowski był członkiem kolegium redakcyjnego „Czasopisma Medycznego”, w 1904 r. został wybrany na członka korespondenta Komitetu Medycznego w Lublinie. Na początku 1906 r. zrezygnował z proponowanego mu stanowiska kierownika katedry higieny Uniwersytetu Lwowskiego.

W pierwszej połowie lipca 1906 r., wobec tego, że magistrat Łodzi nie okazywał należytego zainteresowania inicjatywami sanitarno-higienicznymi, postanowił przenieść laboratorium do Warszawy, ale najpierw zaplanował wyjazd za granicę do placówek naukowych. Warszawski „Tygodnik Ilustrowany” 30 czerwca 1906 r. odnotował: „dr Serkowski 1 lipca r.b. opuszcza Łódź, wyjechawszy dla prac naukowych do Frankfurtu i Paryża, gdzie zamierza badaniom poświęcić czas dłuższy. Powrót swój

do kraju niewątpliwie przyspieszy, kiedy samorząd lub wyższa uczelnia polska zażąda usług uczzonego, będącego jedną z chluby nauki polskiej”.

Warszawa (1907–1936)

W połowie lipca 1907 r. Stanisław Serkowski przeniósł się do Warszawy. Warszawski okres życia był wypełniony działalnością naukową, społeczną, organizacyjną, staraniami dla rozwoju higieny oraz bakteriologii na skalę całego kraju. W Warszawie zamieszkał przy ulicy Świętokrzyskiej 16, dokąd też przeniósł swoje laboratorium.

Od początku aktywnie zaangażował się w działalność licznych towarzystw naukowych: był członkiem Towarzystwa Naukowego w Warszawie, Towarzystwa Lekarzy Warszawy, członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego w Wilnie, Towarzystwa Przyjaciół Przyrody w Poznaniu. Pracował też na polu wydawniczym: był członkiem kolegium redakcyjnego „Wiadomości Lekarskich”, współzałożycielem „Gazety Lekarskiej”.

W latach 1909–1911 kierował pracownią Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego. Odpowiednio ją wyposażył i zorganizował działalność naukową, edukacyjną i praktyczną. W 1911 r. rozszerzył laboratorium własne, urządził muzeum – jedyne o tym profilu w Polsce. Mieściło się w nim kilka tysięcy zebranych przez niego eksponatów z zakresu higieny i bakteriologii, albumy fotograficzne oraz duża biblioteka. Opublikował przewodnik po wystawie *Zbiór muzealny laboratorium doktora*

Stanisława Serkowskiego 1900–1912 (Warszawa, 1912), a także cztery albumy fotografii i mikrofotografii swoich zbiorów (Łódź, 1902, 1904, 1911, 1913) dla rozpowszechnienia wśród lekarzy. W 1912 r. zorganizował w swoim laboratorium miesięczny kurs naukowy oraz trzymiesięczne zajęcia praktyczne z zakresu bakteriologii dla lekarzy miejskich i powiatowych.

W latach I wojny światowej był kierownikiem laboratorium zorganizowanego przez Wszechrosyjski Sojusz Ziemski w celu przeciwdziałania wybuchowi epidemii cholery. W 1915 r. został wybrany na członka nowo powstałego pododdziału medycznego Komisji Szkół Wyższych działającej w celu otwarcia wydziału medycznego na odrodzonym Uniwersytecie Warszawskim. W 1917 r. został członkiem Rady Medycznej Państwa Polskiego. 9 marca 1917 r. „na posiedzeniu grona profesorów nauk lekarskich w Uniwersytecie Jagiellońskim” pod przewodnictwem dziekana profesora Stanisława Maziarskiego został noszonym jego dyplom lekarski uzyskany w Charkowie.

Kolejnym aspektem działalności Stanisława Serkowskiego była praca dydaktyczna na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1917–1921 r. jako docent prowadził wykłady z higieny i bakteriologii w nowo utworzonym przez siebie Zakładzie Higieny i Bakteriologii. W 1918 r. założył i został kierownikiem uniwersyteckiego laboratorium bakteriologicznego. Historyk medycyny Piotr Szarejko o działalności Serkowskiego napisał: „U progu niepodległości Polski włączył się do rozważań nad tematami ogólnonarodowymi i ogłosił książkę *Przyrost naturalny ludności jako zagadnienie higieny społecznej* (Warszawa, 1917), w której podkreślał potrzebę zwiększania przyrostu naturalnego kraju i proponował odpowiednie ku temu środki”.

Stanisław Serkowski był gorącym zwolennikiem ścisłej współpracy lekarzy z weterynarzami, dlatego przed 1918 r. ufundował przy Warszawskim Towarzystwie Weterynaryjnym nagrodę swego imienia za pracę nad zarazami zwierzęcymi. Był też redaktorem kwartalnika poświęconego przeglądowi piśmiennictwa i współczesnym dążeniom wiedzy w zakresie bakteriologii i parazytologii chorób zwierzęcych „Postęp Lekarski – Dział Weterynaryjny” (1929–1931). Było to wydawnictwo prawie całkowicie wypełniane przez Serkowskiego.

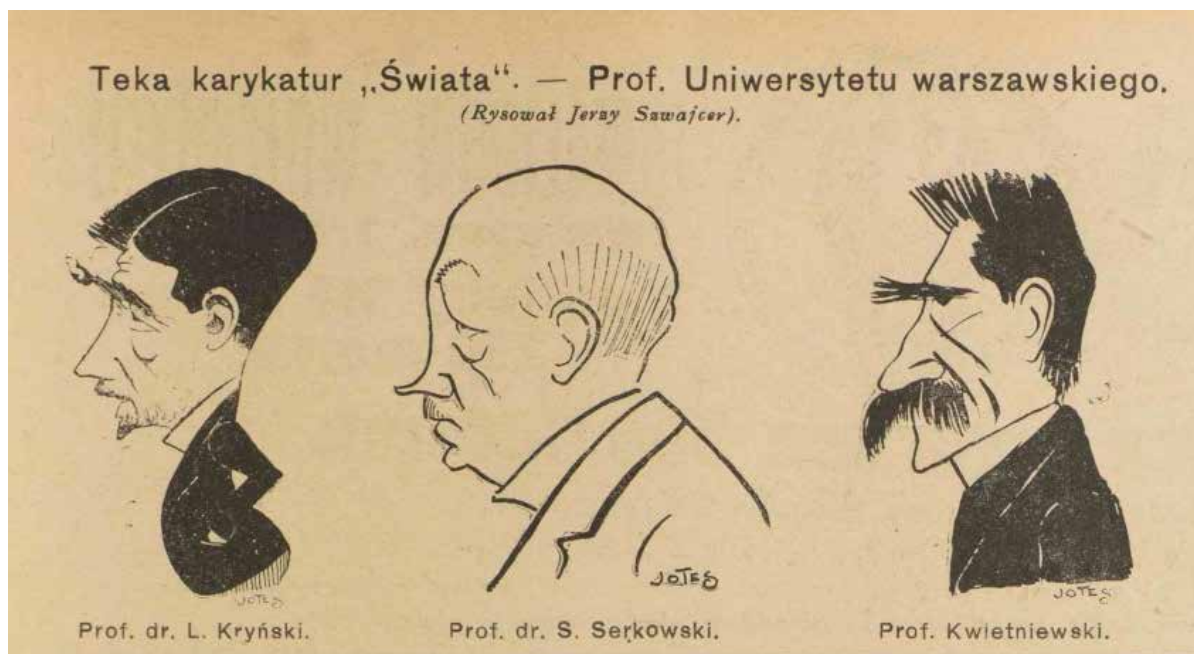
Kontynuował swoje badania naukowe, jako pierwszy opisał próbki peptydu w mleku, zatrucie pokarmowe rybami. Opublikował kilka podręczników (1915, 1918) poświęconych higienie sanitarnej dla lekarzy powiatowych, studentów medycyny i farmaceutów. Najwięcej prac poświęcił immunologii, bakteriologii i serologii, ogółem przygotował ponad 100 publikacji w języku polskim, rosyjskim, angielskim, niemieckim i francuskim.

W 1918 r. na Uniwersytecie Warszawskim obronił pracę habilitacyjną pt. *Bakteriologia epizootycznego pomoru ryb w wodach Królestwa Polskiego*, w której jako pierwszy zwrócił uwagę na bakterię proteolityczną i zaproponował dla niej nazwę *Proteus proteolyticus*.

Stanisław Serkowski pracował nad sposobami barwienia bakterii, opisując metody ich stosowania w analizie i bakteriologii. W swoim laboratorium bakteriologicznym zajmował się przygotowaniem surowca do szczepienia ludzi i zwierząt, prowadził badania nad bakteriami w celu stosowania ich w rolnictwie i hodowli. W 1929 r. jego laboratorium warszawskie kupiło Przemysłowe Towarzystwo Chemiczno-Farmaceutyczne „d. Magister Klawe SA”. Zostało ono przekształcone na Instytut Serologiczno-Bakteryjny (do wyrobu surowic leczniczych), na którego czele Stanisław Serkowski stał do 1931 r.

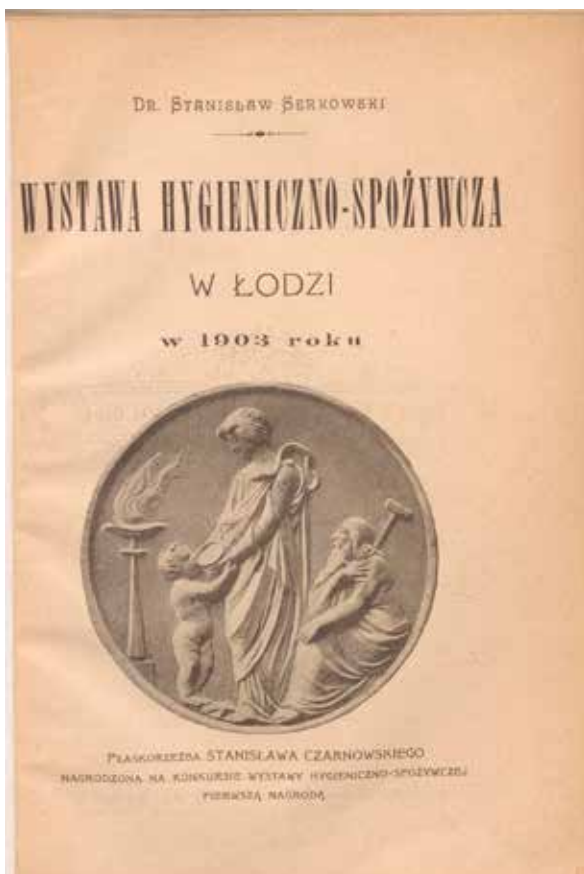
W owych czasach bakteriolog Ludwik Hirszfeld, kierownik Państwowego Zakładu Higieny, wystąpił wobec Serkowskiego z bezpodstawnymi zarzutami dotyczącymi produkcji biopreparatów. Sprawę sądową wygrał Serkowski, ale po niej załamał się psychicznie. W 1932 r. wycofał się z aktywnej działalności społecznej i stopniowo likwidował własne laboratorium i muzeum. Opiekował się chorą żoną, która doznała udaru mózgu. Władysława Serkowska zmarła 20 maja 1933 r. Stanisław Serkowski przeżył ją o kilka lat i zmarł 1 września 1936 r. na przewlekłą chorobę serca. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Dla Stanisława Serkowskiego sześć lat życia w Charkowie było okresem uzyskania wykształcenia, początku drogi zawodowej, wyboru zakresu badań naukowych i założenia podwalin pod przyszłe życie osobiste i zawodowe. Był wybitnym uczonym,



Profesor dr Stanisław Serkowski. Teka karykatur „Świata”. Prof. Uniwersytetu Warszawskiego (Rysował Jerzy Sawajcer)

Źródło: „Świat”, nr 3/1919



Serkowski Stanisław, *Wystawa Hygieniczno-Spożywcza w Łodzi w 1903 roku* Źródło: <https://polona.pl/item-view/31875d12-bb75-431d-ba31-074ba05be1b3?page=8>



Serkowski Stanisław, *Bakterjologia epizootycznego pomoru ryb w wodach Królestwa Polskiego i sanitarna ocena ryb*, Warszawa 1918 Źródło: <https://polona.pl/item-view/91ba4f09-038e-4821-8917-a43ea4502f75?page=2>

autorem licznych prac naukowych, pomysłodawcą rozmaitych inicjatyw społecznych dla polepszenia życia oraz działań w czasach zagrożenia epidemicznego. Jego laboratoria w Łodzi i później w Warszawie były pierwszymi placówkami naukowymi i dydaktycznymi w dziedzinie bakteriologii i higieny w okresie zaborów, a także po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach

uchodźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkalo – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski

Książki nadesłane

Korespondencja Jerzego Giedroycia z Markiem Zielińskim w latach 1990-2000. Spór o polskie zmiany, opr. Małgorzata PTASIŃSKA, Wyd. Neriton, Warszawa 2024.

Marzena MAGDA-ADAMOWICZ, **Innowacje rozwijające zainteresowania i uzdolnienia muzyczne uczniów klas I-III**, ANSJAK w Lesznie, Leszno 2024.

Anioły i demony. Antologia romansu popularnego, wyb., wstęp i oprac. nauk. Maria BUJNICKA, oprac., wprow., posł. i przyp. Dobrosława WĘŻOWICZ-ZIÓŁKOWSKA, Marta TOMCZOK, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Krzysztof ŁĘCKI, **Wariant Gombrowicza (repetycje, marginesy, dygresje)**, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Mirosław TYL, **Charyzma i doktryna. Spór o filozofię chrześcijańską w Polsce (1950-1989)**, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Przedwiośnie ery sztucznej inteligencji. Technologia – zarządzanie – PRAWO. TOM 1: Czy algorytmy uratują naszą planetę?, red. nauk. Edmund WITTBRODT, Zdzisław BRO-

DECKI, Marta DARGAS-DRAGANIK, Wyd. UG, Gdańsk 2024.

Przedwiośnie ery sztucznej inteligencji. Technologia – zarządzanie – PRAWO. TOM 2: Czy algorytmy połączą Biblię z komputerem?, red. nauk. Edmund WITTBRODT, Zdzisław BRODECKI, Marta DARGAS-DRAGANIK, Wyd. UG, Gdańsk 2024.

Marta MICHALSKA, **Dźwięki, ludzie i nasłuchiwanie miasta. Wybrane elementy fonosfery Warszawy na przełomie XIX i XX wieku**, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024, seria: Monografie FNP.

Marek ZAKRZEWSKI, **Świat matematyków. Dzieje profesji i środowiska**, Oficyna Wyd. GiS, Wrocław 2024.

Christopher KELLY, **Cesarstwo Rzymskie**, tłum. Andrzej Kompa, Wyd. UŁ, Łódź 2024.

Agnieszka PLATA, **Spór o zbiory Muzeum Brytyjskiego jako trudny przypadek w prawie**, Wyd. UG, Narodowy Instytut Dziedzictwa, Gdańsk-Warszawa 2024.

Marcelina Smużewska

Żeby akademik nie był „peleryniarzem”

Walery Goetel proponował ideę nowoczesnego hellenizmu. Przywołał termin kalokagathii, czyli dążenia do piękna (sprawności) i dobra (mądrości) jednocześnie. Trzeba jak najwięcej wyciągać studentów z ciasnych i dusznych laboratoriów w stronę przyrody. Dziś nikogo takie rozumowanie nie dziwi, wtedy było novum.

Jedynie z pozoru sport nie ma wiele wspólnego z historią nauki. Wszak instytucjonalizacja wychowania fizycznego to ludzie, ich życiorysy, pasje, wartości. Najpierw pojawiła się jednak idea (dziś byśmy powiedzieli, że całkiem dobrze ugruntowana naukowo). Chodziło o dążenie do zrównoważonego rozwoju intelektualnego i fizycznego młodych ludzi. Można powiedzieć: określony typ „edukacji” czy bardziej staroświecko „wychowania”. Stworzenie czegoś dla dobra ogółu wymagało i wymaga nadal pracy organizacyjnej. Pierwsze stowarzyszenia studenckie powstały „z powodu istotnych braków”. Nieważne, czy chodziło o książki, czasopisma, odczynniki, potrzebę wypraw naukowych, czy też boiska, sale sportowe i sprzęt. Zaborcy nie zamierzali dbać o potrzeby studentów Polaków. Dzięki współpracy łatwiej było brakujące elementy uzyskać. Organizacja była także potrzebna, by się tym uzyskanym zasobem sprawiedliwie dzielić i o niego dbać. Niniejszy tekst jest swojego rodzaju hołdem dla tych najwcześniejszych działań organizacyjnych w obszarze sportu.

Narodziny organizacji sportowej

Krakowski Akademicki Związek Sportowy został założony 15 maja w 1909 roku w Collegium Novum UJ i działa do chwili obecnej. Był dwudziestą szóstą organizacją spośród zarejestrowanych stowarzyszeń studenckich na krakowskiej uczelni. Celem związku było „wniesienie w mury Uniwersytetu Jagiellońskiego blasków młodości, zdrowia i siły (...), obudzić wśród młodzieży akademickiej zamiłowanie do sportu i spopularyzować go poprzez stworzenie potrzebnych do jego rozwoju warunków” (*I Sprawozdanie z działalności za rok 1909 i 1909/10*, cyt. za: Czesław Michalski, *Akademicki Związek Sportowy w Krakowie. Część I 1909-1954*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2007).

Jak wspominał jeden z założycieli: „w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku wśród polskich akademików „dominował typ studenta »peleryniarza«. Gardzili oni wychowaniem fizycznym i sportem, ćmili ogromne ilości papierosów i spędzali gros czasu w kawiarniach. Jedynym »sportem« uznawanym przez nich, i to tylko od czasu do czasu, była gra w bilard w zadymionych lokalach kawiarnianych” (Walery Goetel, *Do trzech razy*

sztuka [w:] *Pół wieku Akademickiego Związku Sportowego. Sukcesy, cyfry, porażki, wspomnienia, anegdoty*, Wyd. Sport i Turystyka, Warszawa 1962).

Do grupy założycieli AZS należeli cytowany Walery Goetel, Wacław Majewski i Władysław Pawlica. Były to postacie nietuzinkowe, o czym poniżej. Wymienieni studenci działali też w Krakowskim Klubie Narciarskim. Szczególnie bliska była im więc turystyka górską i sporty zimowe. Mieli silne przekonanie, że do zachowania równowagi życiowej, obok rozwoju umysłowego, potrzebny jest także wysiłek fizyczny. W referacie programowym na spotkaniu założycielskim, ówczesny student II roku geologii Walery Goetel proponował ideę nowoczesnego hellenizmu. Przywołał termin kalokagathii, czyli dążenia do piękna (sprawności) i dobra (mądrości) jednocześnie. Trzeba jak najwięcej wyciągać studentów z ciasnych i dusznych laboratoriów w stronę przyrody. Dziś nikogo takie rozumowanie nie dziwi, wtedy było novum.

Pierwszym prezesem organizacji został student medycyny Wacław Majewski. Nie czekając na formalną rejestrację organizacji, działacze poprowadzili pierwszą w historii wyprawę w Pieniny. Odbędzie się ona pod koniec maja 1909 r. i wzięło w niej udział 27 osób. Kolejna wycieczka skierowała się na Ojców i odbyła się miesiąc później. Wyprawy organizowano zarówno latem, jak i zimą. Początkowo w okolice Krakowa, ale także dalej na Podkarpacie i w Tatry. Od maja do sierpnia 1909 roku odbyło się w sumie 13 takich wycieczek.

Od samego początku AZS dążył do stworzenia domu turystycznego dla studentów gdzieś w górach. Od hrabiego Władysława Zamojskiego AZS uzyskał zgodę do użytkowania budynku u ujścia Doliny Kościeliskiej. Potem wynajęto willę przy ul. Łukaszówki 4 w Zakopanem, gdzie stworzono 40 miejsc noclegowych. Warunki były dosyć prymitywne. Brakowało np. urządzeń sanitarnych, ale i tak dom noclegowy cieszył się wielką popularnością. Zawiadywał nim członek AZS Józef Oppenheim (1887-1946), który nota bene był także narciarzem i ratownikiem górskim.

15 listopada 1909 roku odbyło się kolejne Walne Zebranie. Władze związku przedstawiały się następująco: Wacław Majewski – przewodniczący, Walery Goetel – zastępca, Władysław



Walery Goetel Fot. Henryk Schabenbeck Źródło: Wikipedia

Pawlica – sekretarz, Ludwik Janczarski – skarbnik. Pierwszym kuratorem organizacji był profesor mineralogii i petrografii Józef Morozewicz (1865-1941). Pełnił swoją funkcję do 1914 roku. W 1910 roku AZS uruchomił 4 boiska do tenisa, założył akademicką drużynę piłkarską i sekcję szermierczą, gdzie za niewielką opłatą można się było uczyć fechtunku. Liczba członków wynosiła wtedy 139 osób; najwięcej z Wydziału Filozoficznego. Organizacja współpracowała z innymi związkami turystycznymi i sportowymi. Między innymi Krajowy Związek Turystyczny udzielił AZS-owi wsparcia na utrzymywanie wspomnianego domu turystycznego w Zakopanem (Czesław Michalski, *Akademicki Związek Sportowy w Krakowie. Część I 1909-1915*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2007).

Struktura i rozwój organizacyjny AZS

Zgodnie z przyjętym statutem AZS członkowie dzielili się na zwyczajnych, honorowych i założycieli. Członkami pierwszego typu mogli być studenci i pracownicy uczelni, o ile zapłacili wpisowe w wysokości 4 koron. Pojawił się jednak problem: kiedy kończyło się naukę, traciło się przynależność do organizacji. Zmiany wprowadzone w statucie w 1912 roku dopuszczały istnienie tzw. członków wspierających. Absolwenci UJ, o ile opłacili roczną składkę, mogli korzystać z infrastruktury związku i oferty sportowo-turystycznej. Działacze byli uprawnieni także do udziału w wyborach, zabierania głosu na zebraniach, zgłaszania uwag i zażeń oraz noszenia odznaki związkowej. Członkowie honorowi nie mieli początkowo czynnego i biernego prawa wyborczego, potem to zmieniono. Kandydatom nie stawiano żadnych barier klasowych, narodowościowych, światopoglądowych czy politycznych (Tamże). Jedynym warunkiem było opłacenie składki i przestrzeganie regulami-

nów. Kto chciał należeć do poszczególnej sekcji, musiał opłacić dodatkową składkę.

Głównymi organami AZS były Walne Zgromadzenie i Zarząd, nazywany początkowo Wydziałem. Ten pierwszy pełnił funkcje uchwałodawcze, a ten drugi uchwałodawcze i wykonawcze. Wydział składał się z prezesa, zastępcy, skarbnika, gospodarza i czterech członków. Do zarządu należeli także naczelnicy sekcji. Aktualizacja z 1912 roku rozbudowała zarząd do 12 osób. Spotykali się oni co najmniej raz w miesiącu. Wydział zajmował się kierowaniem działalnością AZS: wykonywał uchwały Walnego Zgromadzenia, przygotowywał sprawozdania z działalności, rozpatrywał skargi i prośby członków, uchwalał regulaminy, zarządzał majątkiem Związku, gromadził składki członkowskie, przyjmował, zawieszał i wykluczał członków, powoływał i rozwiązywał sekcje, uzupełniał wakaty w Wydziale (zasada kooptacji). Do kompetencji prezesa należało reprezentowanie Związku na zewnątrz, zwoływanie Walnych Zgromadzeń i posiedzeń Zarządu oraz przewodniczenie im. Podpisywał wraz z sekretarzem wszystkie pisma i rachunki. Nad finansami AZS czuwała dodatkowo Komisja Kontrolująca, składająca się z prezesa i trzech innych członków. Spory wewnątrz organizacji rozstrzygał Sąd Honorowy. Kadencja wszystkich władz trwała 1 rok. Walne Zgromadzenia musiały się odbyć w terminie do 15 listopada każdego roku akademickiego. Sekcje miały znaczną autonomię. Ich budżet składał się z dochodów własnych i subwencji Wydziału.

Członkom AZS przysługiwał bezpłatny lub ze zniżką udział w wycieczkach, kursach, zawodach sportowych i treningach. Studenci mogli bezpłatnie korzystać z biblioteki, czyteln i oraz sprzętu sportowego (wyjątkiem był sprzęt narciarski). Mieli znaczne upusty na zakup sprzętu sportowego w wyznaczonych sklepach i wytwórniach. Byli także uprawnieni do zniżek kolejowych (nawet 50%) i preferencyjnych cen w schroniskach górskich. W pierwszym roku istnienia AZS liczba członków wyniosła 65 studentów (2,3% ogółu). Cztery lata później było to już 318 studentów (9,9% ogółu studiujących na UJ). Po Majewskim kolejnymi prezesami byli słuchacz filozofii Józef Grabowski, a po nim Tadeusz Krzyżanowski.

Status członków założycieli dzierżyli profesorowie: bakteriolog Odo Bujwid (1857-1942), prawnik Ksawery Fierich (1860-1928), geolog Edward Janczewski (1887-1959), lekarz i farmakolog Józef Łazarski (1854-1924), stomatolog Wincenty Łepkowski (1866-1935), pierwszy kurator Józef Morozewicz (1865-1941), mikrobiolog i lekarz Julian Nowak (1865-1946), medyk Stanisław Pareński (1843-1913), prawnik Józef Rosenblatt (1853-1917), lekarz Maksymilian Rutkowski (1867-1947), okulista Bolesław Wicherkiwicz (1847-1915). Członkami honorowymi byli: profesor medycyny Roman Nitsch (1873-1943), Wacław Majewski (pierwszy prezes) i Józef Grabowski (drugi prezes).

Jak już wspomniano, pierwszą utworzoną sekcją była ta odnosząca się do sportów zimowych. Później powstały kolejno wioślarska, szermiercza, tenisowa, footballowa, kolarska, fotograficzna. W 1913 roku dołączyły sekcje: krajoznawczo-turystyczna, strzelecka i łyżwiariska.

AZS nie był dotowany przez władze Galicji. Środki czerpał ze składek, darowizn, dochodów z wynajmu obiektów i urzędzeń, z organizacji imprez sportowych i turystycznych, wycieczek, pikników, zabaw tanecznych, prelekcji, sprzedaży sprzętu sportowego, przewodników turystycznych, widokówek, kalendarzy, znaczków organizacyjnych, reklam i ogłoszeń. AZS odpłatnie dokonywał także pomiarów meteorologicznych w Zakopanem. Otrzymywał subwencję z Krajowego Związku Turystycznego. Darowizny pochodziły najczęściej od profesorów, m.in. R. Nitscha czy M. Rutkowskiego. Pierwszy lokal AZS mieścił się w sali nr 2 Collegium Novum. Przystań wioślarska znajdowała się



Wacław Majewski Źródło: Biogramy.Ludzie AZS muzeum azs.pl

przy dawnym pałacu Lasockich w Dębniakach, a wspomniany Dom Turystyczny w Zakopanem.

Piszę o tym, żeby pokazać, że za pozornie skromnymi działaniami, stoi zazwyczaj spora machina organizacyjna. Tak było od samego początku AZS. Naturalnie dziś struktury Związku są znacznie bardziej rozbudowane.

Ze sportem było im do twarzy

Pierwszy prezes AZS Wacław Majewski urodził się 1882 roku w Płocku. Tam zdał maturę, po czym rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim w Warszawie. Ze względu na strajk szkolny przeniósł się w 1905 roku na Uniwersytet Jagielloński. Studia ukończył w 1910 roku, a stopień doktora medycyny uzyskał w 1915 roku. Oprócz AZS, związany był z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim. Wraz z Władysławem Kurylukiem, Władysławem Pawlicą, J. Nowakiem i braćmi Goetlami (Walerym i Ferdynandem) dokonał pierwszego zimowego przejścia Babiej Góry z Zawoi na Orawę. Wspólnie z W. Kurylukiem trawersował Babią Górę na karpalach, czyli raketach śnieżnych. Był aktywny w Karpackim Towarzystwie Narciarzy. Wraz z kolegami W. Pawlicą, Mariuszem Zaruskim oraz Stanisławem Zdybem dokonał pierwszego zimowego wejścia na Skrajny Granat. W lutym 1914 roku Majewski zdobył samotnie Baraniec Wielki. A były to inne wyprawy niż te, które znamy teraz. Chociażby bez specjalistycznego sprzętu.

W AZS-ie był aktywny nie tylko w sekcji narciarskiej, ale też wioślarskiej. W tekście pt. *Na Wiśle i Dunajcu (III Sprawozdanie AZS w Krakowie za roku 1911/12)* opisał wyprawę z sierpnia 1912 roku z Krakowa do Nowego Sącza. Na cztero-wiosłowej łodzi o nazwie „Luba” studenci przepłynęli 409 km. Wyprawa była daleka od współczesnych wyobrażeń. Majewski wraz z kolegami płynęli początkowo pod prąd, walcząc o każdy kilometr. Zatrzymywali się u przypadkowych chłopów, którzy mieszkali blisko brzegu. Często łódź musieli przenosić przez przeszkody lub walczyć, żeby w wirach nie rozbić się o głazy.

W kolejnym sezonie Majewski miał na swoim koncie rekord. Przepłynął 2361 km. W 1911 roku został członkiem honorowym krakowskiego AZS, a listopadzie 1912 roku członkiem honorowym Sekcji Wioślarskiej tego Związku.

W latach 1925-1930 był przewodniczącym Sekcji Narciarskiej Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Stanisławowie. Starał się o rozbudowę sieci schronisk w Karpatach Wschodnich. W latach 1926-1932 był wiceprezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. W kolejnych latach pozostawał aktywny w jego strukturach. Działał także w Wojewódzkiej Komisji Turystycznej we Lwowie i Polskim Czerwonym Krzyżu. Podczas II wojny światowej przebywał właśnie w tym mieście, gdzie pracował w pogotowiu ratunkowym. Pod koniec 1945 roku trafił do Krakowa, a potem do Jaworzna, gdzie pracował do emerytury. Od 1951 roku mieszkał w Rajczy. Uprawiał turystykę górską niemal do końca swoich dni. Zmarł 22 sierpnia 1977 roku.

W swoim życiu uzyskał kilka odznaczeń państwowych: Medal Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości (1929), Złoty Krzyż Zasługi (1938), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1948), Odznakę Zasłużonego Działacza Turystyki (1963), Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej (1964).

Zastępcą Majewskiego był Walery Florian Goetel, który urodził się w 1889 roku w Suchej. W 1907 roku podjął studia w zakresie geologii i paleontologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1910-1912 uczył się na Uniwersytecie Wiedeńskim. W 1912 roku wyjechał na Kaukaz, by uczestniczyć w wyprawie geologicznej. Doktorat uzyskał w 1913 roku w Wiedniu. W 1916 roku habilitował się w Krakowie. Pracował najpierw na UJ, potem na AGH. Był nawet prorektorem i rektorem tej uczelni. Naukowo zajmował się budową geologiczną Tatr. Działał na rzecz utworzenia parków narodowych w górach. Włączył się w spór polsko-czechosłowacki o Jaworzynę. Interesował się kulturą mniejszości, np. Łemków w Karpatach. Był twórcą nowej gałęzi nauki – sozologii, połączenia kwestii ochrony przyrody z racjonalnym użytkowaniem zasobów. Odbił wiele podróży naukowych. O niektórych z nich można przeczytać w książce pt. *Ze wspomnień podróżników* (Warszawa 1958).

W latach 1928-1934 roku pracował jako redaktor rocznika poświęconego górcom pt. „Wierchy”. Podobnie jak Majewski, także Goetel działał w Towarzystwie Tatrzańskim. Nie tylko w Sekcji Turystycznej, ale także Sekcji Ochrony Tatr, Komisji do Robót w Tatrach czy Klubie Wysokogórskim. W latach 1935-1947 był prezesem PTT. W latach 1950-1972 był działaczem Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i jego członkiem honorowym.

Od 1940 roku był członkiem Stronnictwa Demokratycznego. W 1945 roku został delegatem na konferencję poczdamską jako rzeczoznawca. Otrzymał tytuły doktora honoris causa od AGH (1960), Akademii Górniczej w Ostrawie (1950) i Politechniki Krakowskiej (1970). Był członkiem Polskiej Akademii Nauk (od 1964 r. jako członek rzeczywisty) i Polskiego Towarzystwa Geologicznego (jako członek honorowy). Został patronem fundacji, która zajmowała się ochroną środowiska. Zmarł w Krakowie w 1972 roku.

W swoim życiu otrzymał kilka orderów i odznaczeń, m.in.: Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (1925), Złoty Krzyż Zasługi (1931), Medal 10-lecia Polski Ludowej (1955), Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego, Wielki Srebrny Medal Société Nationale d'Acclimatation de France czy Międzynarodową Nagrodę im. Tienhovena Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Bonn.

Jeśli chodzi o trzeciego z założycieli AZS Kraków – Władysława Pawlicę – to był prawdziwym góralem z Poronina,



Władysław Pawlica Źródło: Biogramy .Ludzie AZS muzeum azs.pl

urodzonym 28 maja 1886 roku. Jego ojciec był przewodniczącym Związku Górali. W 1908 roku Pawlica ukończył studia pod kierunkiem prof. Morozewicza (kuratora AZS). W 1913 obronił doktorat i pracował w katedrze mineralogii UJ. Jego prace przyczyniły się do poznania tatrzańskich skał krystalicznych.

Na nartach nauczył się jeździć najprawdopodobniej w Krakowie, w okolicach 1907 roku. Były to wtedy tzw. narty lilienfeldzkie – zaopatrzone w metalowe wiązania, a podczas jazdy podpierano się kijem bambusowym (por. W. Goetel, *Na nartach przed pięćdziesięciu laty*, „Wierchy” nr 26) – szerszej publiczności nieznane.

Pawlica był przewodniczącym Sekcji Narciarskiej w latach 1909-1910 oraz 1912-1914. Był też towarzyszem na wymienionych wcześniej wyprawach górskich. Podczas nich robił zdjęcia, które wydano w albumie *W górach – ku pamięci Władysława Pawlicy* w 10. rocznicę śmierci (Drukarnia Narodowa, Kraków 1929). W 1918 roku podjął pracę jako geolog w Państwowym Instytucie Geologicznym. Zmarł przedwcześnie w 1919 roku.

Wojna

Wybuch I wojny światowej na pewien czas przerwał działalność AZS. Większość studentów wcielono bowiem do armii austriackiej. Ci, których nie zmobilizowano, wstąpili do Legionów Polskich. Wiele z nich zginęło. Pod koniec 1916 roku oży-

wiła się sekcja narciarska. Władysław Pawlica poprowadził kurs narciarski według szkoły norweskiej. Odbłyły się też wycieczki turystyczne po Tatrach i w okolice Krakowa.

W 1918 roku powstała myśl, by z krakowskiego AZS stworzyć osobną narciarską jednostkę wojskową, która miałaby patrolować Tatry. Według *Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej* inicjatorem był Jan Gadomski (1889-1966), narciarz i instruktor narciarski. „Jaki taki stawał i przecierał oczy, patrząc na to góralskie wojsko. Chłopy dobrane, rosłe, kapelusiki z orlim piórem, ino portek cyfrowanych chybiało. A obok nich gęby tak dobrze znane: wygi narciarskie i turyści, co niejedną ściankę i komin górski wytarli. Czekały, liny, narty, a do tego karabin” (Ludwik Leszko, *Gdy śpiący rycerze w Giewoncie zbudzili się i przypięli narty*, „Życie sportowe” nr 8/1946). Do oddziału należeli więc lokalni górale i działacze AZS. Dowódcą był kapitan Władysław Ziętkiewicz (1892-1940), pionier skialpinizmu, powołany do armii austriackiej przeszedł wszystkie stopnie wojskowej kariery w jednostkach górskich, zyskując wszechstronne wyszkolenie i zostając na koniec szefem kompanii.

Kompania Wysokogórska wchodziła w skład 3. Pułku Strzelców Podhalańskich. Jej celem, oprócz służby granicznej, był także wywiad. Instruktorami w jednostce byli członkowie AZS, m.in.: taternik Mieczysław Świerż, Zdzisław Rittersschild, bramkarz Cracovii Stefan Popiel, bracia Aleksander i Kazimierz Schielowie, dziennikarz sportowy Stanisław Fächer, dr Bolesław Macudziński, Ignacy Bujak, artysta malarz Wacław Wąsowicz i Bogdan Krzemieński. Sanitariuszkami były także działaczki Związku. Studentki wyróżniały się znakomitymi umiejętnościami narciarskimi.

W Kompanii uczono jazdy na nartach przy wykorzystaniu dwóch kijków. Zdaniem Ludwika Leszko, to właśnie Kompania dała początek późniejszemu Polskiemu Związkowi Narciarskiemu. Oddział miał także swoje zasługi w budowie i naprawie schronisk i tras wycieczkowych. Poruszanie się w wojskowym i narciarskim rynsztunku wymagało siły i sprawności.

Dalsze dzieje Związku

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powstały oddziały AZS w kolejnych miastach: w Warszawie (1918), Poznaniu (1919), Wilnie i Gdańsku (1921), Lwowie i Lublinie (1922). Łączna liczba członków AZS wynosiła wówczas około trzech tysięcy. W dniach 18–19 marca 1923 roku, podczas zjazdu w Warszawie, powołano podmiot koordynujący działalność wszystkich lokalnych AZS – Centralę Polskich AZS. Jej pierwszym prezesem mianowano Stefana Grodzkiego, a na siedzibę CP AZS wybrano Warszawę. Nastąpił kolejny etap rozwoju organizacji, która narodziła się w Krakowie.

Książki nadesłane

Tomasz WITKOWSKI, *Przepędźcie guru, którzy radzą, jak żyć i inne eseje*, Wyd. Bez Maski, Wrocław 2024.

Aleksandra ZIOŁKOWSKA-BOEHM, *Melchior Wańkowicz – przypomniany*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024.

Stanley E. GONTARSKI, *Beckett. Przewodnik*, tłum. Piotr Szymor, Wyd. UŁ, Łódź 2024.

Piotr KOŁODZIEJCZYK, *Tam, gdzie mieszka wiatr. Archeologiczne zagadki Bliskiego Wschodu*, Wyd. UJ, Wyd. Bo.wiem, Kraków 2024, seria: ARCHEO.

Gotfryd Peter RAUSCHNICK, *Listy z podróży po Mazurach i Warmii w 1814 roku*, tłum. i wstęp Rafał Wolski, Oficyna Retman, Archiwum Państwowe w Olsztynie, Dąbrówno–Olsztyn 2024.

Agnieszka CHWIAŁKOWSKA, *Smajewski / Sima. Nieuchwytny portret artysty*, Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata, Wyd. Tako, Warszawa–Toruń 2024.

Grzegorz BRYDA, *Cyfrowa socjologia jakościowa. Odkrywanie językowego obrazu świata życia codziennego*, Wyd. UJ, Kraków 2024.

Janusz SŁODCZYK, *Planowanie i budowa miast w dziejach świata. Historia urbanistyki*, Wyd. UO, Opole 2024.

Przemysław CZAPLIŃSKI, *Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976-2020*, WL, Kraków 2024.

Olga SITARZ, *Model prawnokarnej reakcji i jej uzasadnienie na naruszenie i narażenie dobra prawnego w postaci życia człowieka*, Wyd. UŚ, 2024.

Fakty i emocje



Już sam tytuł książki może budzić zainteresowanie, a co dopiero jego naukowe rozwinięcie pod postacią takich rozdziałów jak: *Kryzysy migracyjny, Szczepienia przeciw Covid-19, Wojny (na Ukrainie i w Strefie Gazy)*. Każdy z tych tematów został skrupulatnie zanalizowany, obejmując aspekty kulturowe, społeczne czy medioznawcze. Zanim czytelnik zagłębi się w odautorską narrację, jest najpierw wyposażany przez Barbarę Orzeł w solidny aparat pojęciowy. Badaczka wyjaśnia na pozór proste definicje kry-

zysu, wojny lub dezinformacji, co bez wątpienia ułatwia lekturę i jest warunkiem poprawnej recepcji tekstu.

„Koń, jaki jest, każdy widzi”? Ta oczywista prawda bez wątpienia traci na oczywistości wobec błyskawicznie zmieniającego się w ostatnich latach świata mediów. Nie wystarczy już być jedynie odbiorcą informacji, konieczna jest umiejętność selekcji, a odwieczne pytanie „Czym jest prawda?” nabrało chyba jeszcze bardziej pragmatycznego charakteru. Książka opisuje nie tylko medialne i wielopłaszczyznowe status quo naukowych peregrynacji, ale stanowi edukacyjne kompendium w zakresie takich pojęć jak deep fake, AI, fake news etc. Orzeł odwołuje się do konkretnych przykładów, w których informacja lub dezinformacja ma realny wpływ na nasze życie. Absurdalną i niemal nierzeczywistą sytuacją jest chociażby wydarzenie z 2017 roku, gdy „Donald Trump nawiązał do nieistniejących zamieszek na tle rasowym w Szwecji”, po czym „rosyjska ekipa telewizyjna pojawiła się na przedmieściach Sztokholmu, w Rinkeby, i zaoferowała pieniądze miejscowym młodym migrantom za zorganizowanie zamieszek przed kamerą”. Autorka wskazuje na otwierające się nowe możliwości technologiczne – jak chociażby przypadek Davida Beckhama, który dzięki deep fake, wziął udział w kampanii przeciwko malarii i przemawiał do wielu odbiorców w ich rodzimych językach – ale przede wszystkim uczula na niebezpieczeństwa związane z kradzieżą naszej wizualnej tożsamości i jej konsekwencjami.

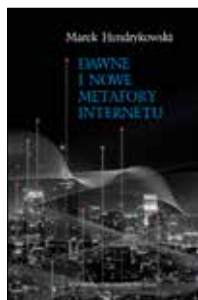
Tematyka Covid-19 została opisana zarówno w kontekście prawodawstwa i procesu dopuszczania szczepionek do użytku, jak i teorii spiskowych czy ruchów antyszczepionkowych. Oprócz oczywistych konsekwencji zdrowotnych, jakie ponieśliśmy, nie mniej groźne pozostają następstwa natury psychologicznej dla społeczeństwa, które po części okazało się mało odporne na nieprawdziwe i czasem wręcz idiotyczne teorie na zasadzie „słyszalem, że podobno...”. Opisanie tych mechanizmów poznawczych lub przynajmniej zasygnalizowanie, jak działa ludzka psychika pod wpływem fake newsów, jest mocną stroną książki.

Oczywiście nic nie zastąpi myślenia, zdrowego rozsądku i obiektywizmu, ale w dzisiejszym galimatiasie informacyjnym, nawet fragmenty tej publikacji mogą być pożyteczne i dla naukowca, i dla przeciętnego odbiorcy. Media kłamią? Oczywiście, że tak, ale przecież nie moje, tylko te związane z mitycznymi „onymi”. Orzeł wyjaśnia, że chociaż żyjemy w świecie tak ostatnio popularnego pojęcia „postprawdy”, to jego korzenie sięgają lat 90. XX wieku i obecnie synonimem prawdziwości niekoniecznie są fakty, ale emocje przesączone przez filtr naszej wrażliwości i wiedzy lub niewiedzy. Przykład konfliktu palestyńsko-izraelskiego obrazuje, że nie mniej ważna od tej militarnej jest wojna medialna, próba zohydzenia przeciwnika, wywołania uczucia nienawiści lub współczucia, czasem również szokowania bestialstwem, chociaż jednocześnie prowadzi to do desensytyzacji przemocy, czyli braku wrażliwości na obrazy wojny. Agenda setting, spirala milczenia lub Pallywood, to na pewno kilka pojęć, które warto poznać. Ciekawym zabiegiem jest umieszczenie przez autorkę kodów QR, dzięki którym możemy szybko zilustrować wiele przykładów materiałami wizualnymi.

Jacek Hnidiuk

Barbara ORZEŁ, *Kryzysy, media i emocje. Modelowanie nastrojów opinii publicznej w dobie fake newsów i sztucznej inteligencji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025, seria: Oikos.

Sieć znaczeń



Książka profesora Marka Hendrykowskiego składa się z czterdziestu tekstów oraz bibliografii. Jest obszerną analizą, w której postawiono tezę, iż metaforyczne określenia Internetu są przybierającymi najróżniejsze formy przejawami dyskursu społecznego.

Każdy rozdział to inny koncept metaforyczny, jednakże teksty nie występują w odosobnieniu, tworzą spójny obraz rozwoju Internetu od początków XX wieku do współczesności. Niemniej autor unika przeciwstawienia dawnej i teraźniejszej formy Sieci, a ukazuje jej rozwój jako wszechobecnego medium. Internet jest częścią wielu aspektów życia codziennego – od prowadzenia konta w banku, po cele czysto rozrywkowe. Jak twierdzi Hendrykowski, należy jednak pamiętać, że cyberprzestrzeń nie jest obowiązkowym elementem przynależności osoby do kultury ludzkiej.

Autor podejmuje refleksje m.in. nad ewolucją przekazu, dynamiką rozwoju czy (nie)demokracją sieciową. W publikacji szczegółowo opisano elementy Sieci, ich wzajemne zależności oraz funkcje. Interesująco przedstawiono rolę Internetu w kontekście pandemii, gdy stał się głównym kanałem kontaktu ze światem zewnętrznym. Autor podejmuje także rozważania nad aktualną kwestią sztucznej inteligencji, której początki dostrzega w technologicznych eksperymentach, takich jak komputerowe rozgrywki szachowe.

Książka ma wyraźne podłoże antropologiczne – Internet nie jest wyłącznie technologią, ale także wyjątkowym zjawiskiem kulturowym. Szczególną uwagę poświęcono sferom funkcjonowania społecznego przeniesionym do wirtualnej przestrzeni, a co za tym idzie – wspólnocie internautów, w której nie da się pozostać anonimowym.

Poprzez metaforyzację podjęta zostaje próba unaocznienia charakteru Sieci. Jednakże Hendrykowski nie pozostaje jednostronny, opisuje także wszelakie zagrożenia wiążące się z używaniem Internetu, który jest bardziej skomplikowany, niż mogłoby się wydawać.

Oczywiście książka nie jest poradnikiem dotyczącym bezpiecznego korzystania z Sieci. Niemniej lektura zwiększa świadomość zagrożeń powszechnie znanych, jak i tych rzadziej poruszanych. Są wśród nich m.in. cyfrowa agresja, inwigilacja, presja społeczna czy manipulacja. Tutaj autor stawia odważne pytanie: jak potoczyłyby się losy świata, gdyby np. Hitler i Goebbels mieli dostęp do telewizji czy Internetu?

Wiele uwagi – i słusznie – badacz poświęca zjawisku psychospołecznemu zwanemu immersją. Hendrykowski dokładnie przedstawia mechanizm procesu i podkreśla, że szybko może przeistoczyć się w uzależnienie. Potencjalny użytkownik może bowiem całkowicie zatracić się w wirtualnym świecie i utracić realną tożsamość.

Opisując zjawiska metaforyczne, autor przywołuje różne dzieła kultury, np. kinematografię czy literaturę. Krasieński nie odnalazłby się w esemesach wysyłanych do Potockiej, a okno wystawowe Wokulskiego przyciągało wzrok, służąc interesom firmy, tak jak wymyślne efekty pomagają witynom internetowym prowadzącym e-handel. Najwięcej aluzji dotyczy twórczości Stanisława Lema jako wybitnego futurologa. Autor przywołuje także filmy, np. w kontekście wspomnianej immersji, takie jak *Videodrome* Davida Cronenberga czy rodzimą *Salę samobójców* Jana Komasy.

To książka potrzebna w dobie dynamicznej cyfryzacji. Autor udowadnia, że Sieć nie jest wyłącznie technologią, ale także przestrzenią kulturową. Ze względu na swoją specyfikę książki Hendrykowskiego nie czyta się „jednym tchem”. Skłania ona do rozważań i dyskusji medioznawczych na temat, który wydaje się społecznie przyswojony.

Weronika Zuzanna Jabłoriska

Marek HENDRYKOWSKI, *Dawne i nowe metafory Internetu*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2024.

Prawdziwe dzieci nieszczęścia



Listy Maurycego i Kamila Mochnackich są tyleż piękną, co dojmująco smutną metaforą losu młodego pokolenia romantyków skazanych na wygnanie po przegranej wojnie z Rosją pod koniec 1831 roku. Mochnaccy zjawiają się w Paryżu 2 listopada i od tam regularnie i obszernie piszą listy do rodziców, które układają się w dramatyczny zapis ostatnich lat ich życia.

Kim byli? Maurycy, starszy z braci, zasłynął jako znakomity pisarz i krytyk literacki (widać to wyraźnie w jego listach, pełnych poetyckości, momentami przypominających powieść łotrzykowską). Zgromadził wokół siebie, jeszcze w przedlistopadowej Warszawie, prężne środowisko poetów, publicystów, artystów, którzy propagowali nową literaturę i sztukę, walcząc ze stereotypami i „martwą tradycją” klasycyzmu. Dziś można by go uznać za twórcę pierwszej cyganerii. W okresie powstania listopadowego i na emigracji był kontrowersyjnym politykiem; w swojej publicystyce obnażał niedolność władz rządowych, generalicji i Sejmu. Został odznaczony złotym krzyżem *Virtuti Militari*. Po klęsce powstania razem z bratem dotarł do Francji, gdzie brał czynny udział w życiu politycznym i kulturalnym emigracji oraz pracował nad dziełem swojego życia *Historią powstania narodu polskiego w roku 1830 i 1931*.

Kamil natomiast, młodszy o pięć lat, brał czynny udział w wydarzeniach Nocy Listopadowej, również odznaczony złotym krzyżem za waleczność. Skazany zaocznie przez carski sąd na śmierć, podobnie jak w przypadku brata zamienioną na wieczną tułaczkę.

Listy emigracyjne... są źródłem biograficznym emigrantów świadomie przeżywających własny los, ale to również dokumenty historyczne i polityczne okresu 1832-1834. Praca nad edycją trwała ponad 20 lat. Zawarte w książce obszernie komentarze rzeczowe ujmują obie perspektywy w równym stopniu. Trzeba podkreślić, że są one bardzo rozbudowane, ale niezbędne; stanowią wsparcie dla czytelnika spoza wąskiego grona badaczy. Odtwarzają realia czasu, wskazują na autorskie konfabulacje (głównie Maurycego) lub przedstawiają konsekwencje rodzinne. W listach pojawia się wiele nazwisk: polityków, przyjaciół, krewnych, towarzyszy broni, działaczy. Wszystkie znaczące osoby zostały przedstawione w rozdziale *Biogramy*. One również są rozbudowane, dzięki czemu jeszcze wyraźniej widać, z jak wieloma ważnymi osobami stykali się Mochnaccy, co na pewno miało wpływ na ich horyzonty intelektualne.

Listy emigracyjne... czyta się jak powieść, co jest dużym zaskoczeniem, jeśli weźmie się pod uwagę naukowy charakter zbioru. Mamy tu wszystko, co niezbędne dla romantycznej powieści w listach: dramat osobisty z tragicznym zakończeniem, uduchowione i cierpiące dusze głównych postaci, walkę w słusznej sprawie, teatr autentycznych wydarzeń, polityczne zmagania, bunt wobec relatywizmu etycznego, wygnanie, wzruszającą miłość braterską, operę, muzykę, salonowe towarzystwo.

Dzięki głównym bohaterom książka nabiera charakteru uniwersalnego. Staje się opowieścią o zagubieniu człowieka w świecie, jego próbie znalezienia się w nowoczesnej cywilizacji, która pędzi w rytm szalonego kapitalizmu. Młodzi ludzie, pełni pasji, potencjału twórczego i intelektualnego, pod każdym względem nieprzeciętni na skutek niepowodzeń, trudów codziennego życia, narastającej atmosfery niepokoju dość szybko godzą się z marnością losu, dziwaczej. „My jesteśmy dzieci nieszczęścia” – pisze Maurycy do matki.

Listy emigracyjne do rodziców to pozycja trudna pod względem emocjonalnym, doskonale przemyślana i opracowana, bardzo potrzebna na rynku wydawniczym.

Małgorzata Pawelczyk

Maurycy i Kamil MOCHNACKY, *Listy emigracyjne do rodziców (z dołączeniem listów Michała Podczaszyńskiego) 1832-1834*, oprac. Mirosław Strzyżewski, oprac. edytorskie: Agnieszka Markuszewska, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2025.

Wszyscy nadal są odwrócen



To wspaniała rzecz, gdy autor przyłapuje czytelnika na niewiedzy, wiedzy powierzchownej, pozornej wiedzy bazującej na stereotypach. Lektura najczęściej odbywa się indywidualnie i w ciszy, zatem takie ujawnienie nie obejmuje publicznego zawstydzenia – można w komfortowych warunkach przyznać się przed samym sobą do błędu, a potem po prostu dać się poprowadzić. Bogdan Rudnicki przyłapał mnie na płytkim i sztampowym rozumieniu twórczości Marka Hłaski, okazałem się jednym z tych, którzy wciąż są odwró-

ceni, choć wydaje im się, że widzą.

Marek Hłasko to pisarz, którego wielu współcześnie czytać nie chce, gdyż albo są przekonani, że kiedyś przeczytali już wszystko istotne, co stworzył, albo obiegowe opinie o nim powtarzane w mediach budują taki obraz jego życia i dorobku, że wydaje się kimś antypatycznym, a jego proza zjawiskiem ważnym głównie w kontekście historii literatury, niekoniecznie zaś godnym lektury dla niej samej. Rudnicki wskazuje na paradoksalny, smutny fakt: mimo iż Hłasko został przywrócony do kanonu (przynajmniej oficjalnie), jego obraz w oczach czytającej publiczności często jest bliższy temu, który w czasie, gdy pisarz żył na emigracji, a potem po jego śmierci przedstawiała PRL-owska propaganda. Ten wyobrażony Hłasko niepokojąco przypomina wzorowanego na nim fikcyjnego literata Jana Barda (Janusz Zakrzewski) z zakłamanego filmu Mieczysława Waśkowskiego *Epi-zod Berlin-West* (1986). Rudnicki nie tyle go odkłamuje, co poszerza spojrzenie czytelnika, a eseistyczna, dygresyjna forma znakomicie pozwala mu na zbudowanie szerokiego kontekstu dla rozumienia utworów Hłaski. Dopiero gdy pisarz jawi się już jako ważny dla polskiej literatury sam w sobie, a nie jedynie z uwagi na czas i miejsce, w którym się pojawił, przychodzi moment na pokazanie skali jego talentu na przykładzie, poprzez bardziej już zdyscyplinowaną analizę roli groteski w jego twórczości.

Najciekawszym kontekstem przywołanym w pierwszej części publikacji jest Władimir Wysocki. Rudnicki wskazuje, jak on także wprowadził do kultury (tu: radzieckiej) motywy związane z ludźmi funkcjonującymi na marginesie społeczeństwa i choć stanowiły one tylko jeden z wątków w jego dorobku, z czasem głównie z tym zaczęto go kojarzyć (do tego stopnia, że gdy pierwszy raz usłyszałem żartobliwą piosenkę o alpinistce, nie od razu poznałem go po głosie). Jego wizerunkiem także manipulowano pośmiertnie, gdy można go było prezentować jak owada zatopionego w bursztynie, jak w filmie Piotra Busłowa *Wysocki* (2011). Także współcześnie twórczość Wysockiego jest znana (poza wąskimi kręgami) dość wybiórczo, wciąż tych samych kilkanaście piosenek. Rudnicki zwraca uwagę, że podobnie jest w przypadku Hłaski, którego emigracyjne utwory, zwłaszcza *Nawrócony w Jaffie* (1966), *Opowiem wam o Esther* (1967) i *Sowa, córka piekarza* (1968) bywają podsumowywane jako „mniej istotne” przez ludzi, którzy wyraźnie ich nie czytali (są do tego stopnia nieuważni, że potrafią przekreślać tytuły czy popełniać podstawowe błędy, omawiając fabuły).

Rudnicki jasno wyraża dość katarygiczne opinie, np. regularnie przypomina zaangażowanie Mrożka i Szymborskiej w stalinowski komunizm; jego sympatie światopoglądowe (nie mylić z politycznymi) także są w miarę jasne. Można się z nim nie zgadzać, warto jednak zauważyć, że nie są to wtręty czy uwagi na stronie, ale integralny element wywodu. Zdaniem autora trwające do dziś przekłamanie w wizerunku Hłaski są także konsekwencją podziałów we współczesnym świecie literackim i częstkowych jedynie rozliczeń z przeszłością (przede wszystkim własną). Hłasko jest nie-współczesny, gdyż wciąż jest odległy, nieznany, pozornie znajomy, mimo starannych wydań jego twórczości po 1989 roku.

Marek Misiak

Bogdan RUDNICKI, *Hłasko. Nasz nie-współczesny, czyli nowy wspaniały żywot starej manipulacji*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2024.

Status społeczny w dystopii



Książka składa się z trzech części: teoretyczno-metodologicznego wprowadzenia, najobszerniejszej części analitycznej oraz wniosków. We *Wprowadzeniu* autorka przywołuje rys historyczny feminizmu pierwszej i drugiej fali wraz z klasycznymi jego dziełami. Zauważa chaos definicyjny panujący w trzeciej fali tego nurtu, a niekiedy także wewnętrzne sprzeczności ideologiczne. Sytuacja taka znajduje zresztą swoje odzwierciedlenie w pisarstwie Margaret Atwood, której aż pięć powieści podda Banaś pod analizę.

Diagnoza współczesnego feminizmu nie brzmi optymistycznie: „Paradoksalnie, narzucony przez ideologie feministyczne paradygmat równości płci w dzisiejszych czasach staje się obciążeniem, któremu kobiety muszą sprostać i tym samym stają do wyścigu z własnymi wyobrażeniami o perfekcji w każdym aspekcie ludzkiej egzystencji”.

Zasadniczą treść książki stanowi analiza. Za bazę narracji dystopijnej autorka obrała dziewięć powieści z XX i XXI wieku. W porządku chronologicznym to: *My Jewgienija* Zamiatina (1921), *Nowy wschód* Aldousa Huxleya (1932), *Rok 1984* George'a Orwella (1949), *451 stopni Fahrenheita* Raya Bradbury'ego (1953), *Opowieść podręcznej* Margaret Atwood (1985) i jej kontynuacja w *Testamentach* (2019) oraz trylogia tej samej autorki *Oryks i Derkacz* (2003), *Rok potopu* (2009), *MaddAddam* (2013). W utworach zaprezentowano obraz świata alternatywnego, który być może nadejdzie, przy czym należy pamiętać, iż jest to świat obciążony przytłaczającą tragedią o dużej uciążliwości dla życia ludzi. Świat ten wynika z obecnego stanu rzeczywistości, która potoczyła się i wyewoluowała w najgorszym z możliwych kierunków. Podstawą analizy są dialogi, sporadycznie tylko narracja z użyciem mowy zależnej. Autorkę w wypowiedziach interesują wzajemne relacje bohaterów, ich zależności, stosunku podległości wobec siebie. Badaczka wyszczególnia 11 kategorii interakcji, nie tylko typu: mężczyzna/kobieta, mężczyzna/mężczyzna, kobieta/kobieta, ale również podkategorie: status niższy, równy, wyższy, stąd tak wiele kombinacji, np. jedna z podkategorii to: kobieta o wyższym statusie z mężczyzną o niższym statusie.

Badaczka stawia trzy pytania. Pierwsze dotyczy wzrostu i zróżnicowania ról kobiet w dystopii, drugie różnic interakcji kobiet w perspektywie czasowej, trzecie otwartości kobiet na różnorodność interakcji. Metodologia badań Banaś odwołuje się do socjolingwistycznego modelu kodów językowych Basila Bernsteina. Dla przypomnienia: badacz ten uważał, iż kultura i struktury społeczne formowane są i podlegają nieustannym zmianom w procesie komunikacji. Socjolingwistyka, jego zdaniem, pozwala więc wyjaśniać i formować struktury społeczne.

Realizacją badawczych eksploracji autorki staje się raport analityczny. Każdy z dialogów, prócz analitycznego omówienia, otrzymał tabelę. W jej kolumnach znalazły się kategorie: aktorzy społeczni, ich status społeczny, poziom emocji, zróżnicowanie interesów, perspektywa dramaturgiczna, kod językowy i pozycja. Takie ujęcie jest z kolei metodologicznym zastosowaniem koncepcji dramaturgicznej Ervinga Goffmana. Dzięki tabelom łatwiej o wnioski. W prezentowanych dystopii następuje transformacja. Chronologicznie dzieła ukazują marginalizację interakcji pomiędzy mężczyznami, wysuwając na plan pierwszy kwestię dążenia kobiet do uzyskania statusu równości i niezależności. Czy dystopię sprzed bez mała stu lat, wytwór fantazji autora, można traktować jako antycypację stosunków społecznych? Socjologia i socjolingwistyka podsuwają jednoznaczny odpowiedź. Monografia Marii Banaś pozwala na wyciąganie kolejnych wniosków.

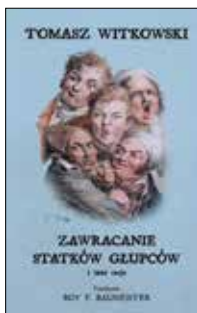
Bogdan Bernat

Maria BANAŚ, *Ewolucja dystopii. Kobieta i mężczyzna kilka dekad później*,

Wydawnictwo Politechniki Śląskiej,

Gliwice 2024.

Głos zza kulis



Tomasz Witkowski po raz kolejny rozprawia się ze współczesną psychologią oraz całą narosłą wokół niej kulturą. Blisko 30 esejów, w większości publikowanych wcześniej w krótszych wersjach w różnych czasopiśmie, zostało ujętych w cztery bloki tematyczne: *Meandry myślenia*, *Za ołtarzem nauki*, *Pod dekoracjami pop-psychologii*, *Za fasadą kultury terapeutycznej*. Sformułowanie tych tytułów sugeruje, że autor nie będzie tylko relacjonował jak jest, ale zajrzy pod podszewkę i ujawni to, co na pierwszy rzut oka niewidoczne. Tytuły zdradzają zarazem dystans i sceptycyzm wobec

popularnej psychologii, kultury terapeutycznej i pseudonauki. Witkowski pozostaje wierny nauce przez duże „N”.

Spektrum zagadnień jest szerokie, od klasycznych tematów psychologii, jak pamięć, inteligencja czy uleganie autorytetom, po problematykę najbardziej aktualną, jak „epidemia samotności”, mindfulness czy zmagania z traumą. Witkowskiego ogląd tych spraw przeczy powszechnym mniemaniom. Autor może nie tyle idzie pod prąd rozpowszechnionych tez, ile ujmując je w szerszym kontekście, problematyzuje i skłania do refleksji nad nimi, a może i do rewizji poglądów na ich temat. Tak jest m.in. w przypadku tzw. złych emocji.

Witkowski, jak chyba większość psychologów, dostrzega dobre strony złych emocji, przestrzega przed wypieraniem ich. „Korzystnych efektów negatywnych emocji jest przynajmniej tak wiele jak ofert kursów mających na celu ich pozbycie się – pisze autor. – Okazuje się, że wbrew temu, co powszechnie sądzimy, zazdrość sprzyja osiągnięciu lepszych rezultatów w szkole, poczucie winy sprawia, że zachowujemy się rozsądniej i charakteryzuje nas większe współczucie, smutek poprawia interakcje z innymi i powoduje, iż stajemy się bardziej przekonujący, a lęk sprzyja samoświadomości, umożliwia głębszą autorefleksję i wspomaga zachowania prospołeczne”. Z kolei pozytywne emocje mają też swoje ciemne strony. Najlepsza, najnaturalniejsza jest po prostu emocjonalna różnorodność – przekonuje autor.

Inna kwestia, której świadomość też już weszła do mainstreamu, dotyczy wychowywania dzieci. Nie wożenie z zajęć na zajęcia i nawet nie wizyty u psychologów najlepiej wpłyną na ich dobrostan, a pocziwe spotkania przy stole, regularne, niespieszne bycie razem. Rodzicielstwo to nie jest „projekt rozwoju produktu” – pisze obrazowo autor, sprzeciwiając się przeganiu naszego życia i emocji w mechanizmy gospodarki wolnorynkowej. O tym, jak rynek usług psychoterapeutycznych wciąga nas i „wypluwa”, pisze w tytułowym esej. W dzisiejszych czasach łatwiej niż kiedykolwiek stać się klientem usług terapeutycznych, ale naprawdę chorzy psychicznie nie mają przez to lepiej, twierdzi Witkowski. Zwróćmy zresztą uwagę, że słowo „klient” wyparło „pacjenta” w tym kontekście. Autor sprzeciwia się też wyolbrzymianiu problemów takich, jak samotność. Przecież „bycie samemu” niejedno ma imię. Czym innym jest izolacja społeczna, czym innym poczucie samotności pomimo towarzyskiego trybu życia, a jeszcze czym innym świadome odosobnienie, przypomina autor, który sam nie stroni od samotnych wypraw. Sugeruje, że lepiej jest nauczyć się bycia sam na sam ze sobą, niż martwić statystykami samotności.

Nieobcy jest też autorowi temat nauki w szkole. Czy nauczyciele dziś są przygotowani do uczenia dzieci krytycznego myślenia, do wzbudzania w nich ciekawości, mobilizowania do samodzielnego poznawania świata? Od tego zależy przyszłość nauki, psychologii, a w szerszym planie całej naszej kultury.

Anna Jawor

Tomasz WITKOWSKI, *Zawracanie statków głupców i inne eseje*,

Wydawnictwo Bez Maski,

Wrocław 2025.



rys. Sławomir Makiel

Krzysztof Goczyła

Przeciążone słowa

Żyjemy w otoczeniu słów. Płyną do nas z różnych miejsc i kierunków, różnymi mediami komunikacyjnymi, w najprzeróżniejszych formach. Niektóre z nich przypadają nam do gustu, podobają nam się, tak jak rzeczy, które chętnie kupujemy w sklepach. Niektóre słowa brzmią obco, odpychają nas od siebie niejasnym znaczeniem, skomplikowaną pisownią czy dziwnym brzmieniem. Tych nie używamy nie tylko z obawy, że użyjemy ich niewłaściwie, ale przede wszystkim dlatego, że na podoręczu czekają te nasze ulubione, znajome, przyjazne i łatwe. Jednak słowo to nie rzecz kupiona w sklepie, bo nam się spodobała. Ulubionych butów nie założymy na dłonie w roli rękawiczek – nie będą pasowały, a nasze dłonie zakomunikują to nam niezwłocznie. Ze słowami jest inaczej – ulubione słowo wstawimy wszędzie, gdzie tylko nam się podoba. Słowo nie będzie cisnąć, nie zaboli, nie zaprotestuje. I, jak każda rzecz, zbyt często używane, staje się wyświechtane, traci swoje pierwotne przeznaczenie i indywidualność.

W powszechnym użyciu jest wiele takich słów. Jednym z nich jest słowo „ciężki” i jego warianty. Właściwie teraz wszystko jest ciężkie: ciężki jest problem, ciężka jest sprawa do załatwienia, ciężka jest praca, ciężka jest sytuacja, ciężko jest rano wstać, ciężko kogoś zrozumieć, ciężko kogoś przekonać, ciężko rozwiązać problem, i w ogóle całe życie jest ciężkie. Zapominamy, że problem może trudny, niełatwy lub skomplikowany, sprawa jest poważna, sytuacja jest krytyczna albo kłopotliwa, a życie nie jest lekkie. Paradoksalnie, rzadziej słyszymy, że coś jest ciężkie tylko z uwagi na swój duży ciężar.

Ale bądźmy sprawiedliwi. W *Słowniku języka polskiego PWN* (sjp.pwn.pl), bodaj najbardziej miarodajnym kompendium wiedzy o polszczyźnie, słowo „ciężki” ma aż 15 (!) znaczeń i tylko pierwsze z nich odnosi się do fizycznego ciężaru. Pozostałe to znaczenia przenośne. Według *Słownika*... ciężki może być ktoś, kto się porusza ociężale, ciężki może być cios, praca też może być ciężka, ciężkie mogą być los i choroba, ciężkie mogą być

dowcipy i utwory artystyczne, ciężkie może być jedzenie, ciężkie może być też powietrze i chmury zwiastujące burzę, a wtedy lepiej włożyć ciężki płaszcz.

Skąd więc ten cały rwetes, skoro tyle rzeczy może być ciężkie? Ano stąd, że język polski jest tak bogaty i piękny przez swą różnorodność, że nie powinniśmy nadużywać żadnych słów, bo one na to nie zasługują. Nagminnie stosowane słowa stają się przemęczone, przeciążone rozlicznymi kontekstami, tracą swoją językową energię i wyrazistość.

Drugim słowem, a raczej słówkiem, które narzuca mi się od razu, gdy myślę o przeciążonych słowach, jest „gdzie”. Oto kilka tylko przykładów z liczego zbioru jego niepoprawnych zastosowań: „Przeczytałem doktorat, gdzie udowodniono...”, „Zaskoczyła mnie sytuacja, gdzie...”, „Obejrzałem film, gdzie grał...”, „Zawodnik osiągnął taką formę, gdzie pobił rekord...” itd., itp. Z gramatycznego punktu widzenia „gdzie” jest zaimkiem odnoszącym się do miejsca, ewentualnie kierunku (choć w tym drugim przypadku staranniejsze jest „dokąd”). Zatem w wymienionych wyżej zdaniach zamiast „gdzie” trzeba użyć innych zaimków, np. „Przeczytałem doktorat, w którym udowodniono...”, „Zaskoczyła mnie sytuacja polegająca na tym, że...”, „Obejrzałem film, w którym grał...”, „Zawodnik osiągnął taką formę, że pobił rekord...” itd., itp. Ale: „Byłem w Warszawie, gdzie zwiedziłem Zamek Królewski i zjadłem obiad w restauracji, gdzie byłem rok temu”. Słowo „gdzie” znalazło tu swoje właściwe miejsce.

W przytoczonych powyżej niepoprawnych przykładach to biedne, przeciążone „gdzie” stało się klasycznym słownym wytrychem, ofiarą swoistego lenistwa językowego. A tego koniecznie powinniśmy unikać, nie tylko z troski o te konkretne przeciążone słowa, ale przede wszystkim dla poszanowania naszego ojczystego języka. Dbajmy o język!

krissun@pg.edu.pl



PUBLICZNE UCZELNIE ZAWODOWE

Czytaj na str. 8, 49





Fot. Kamil Rojek
i Michał Walusza

Liga Akademicka AZS 2025

Czytaj na str. 18

